POLSKI RAP PRAWDZIWA HISTORIA + CO MIESIĄC PŁYTA CD

ŚLIZG

rap graffiti breakdance deskorolka

10/106 październik

www.slizg.com.pl

OSIEM STRON WIĘCEJ

GUTEK
RAP CHRZEŚCIJAŃSKI
O.S.T.R.
MOBB DEEP
BREAKDANCE SESSION

numer 10/106
październik 2004
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena: 6 PLN
(w tym 7% VAT)



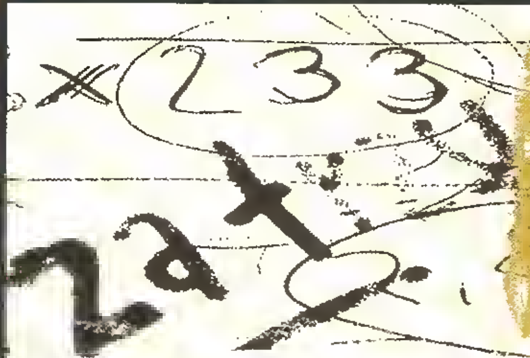
CIUCHY
BUTY
DESKI
GADŻETY

MIASTO
W TWOIM MIEŚCIE

04/05



WARSZAWA
SADYBA
WILEŃSKA
WOLA PARK
TARGÓWEK
MOKOTÓW
GDAŃSK
MADISON
MANHATTAN
MORENA
GDYNIA
BATORY
KRAKÓW
PLAZA
KROKUS
ŁÓDZ
GALERIA ŁÓDZKA
PASAŻ ŁÓDZKI
TULIPAN
SZCZECIN
GALAXY
WROCŁAW
GALERIA DOMINIKAŃSKA
BOREK
BYDGOSZCZ
GALERIA POMORSKA
KATOWICE
DTC
KOSZALIN
GALERIA EMKA
KONIN
GALERIA NAD JEZIOREM
PUŁAWY
CENTRUM HANDLOWE YETI
PŁOCK
UL. TUMSKA
TARNÓW
UL. KRAKOWSKA 6
BYTOM
PLEJADA
OSTRÓW WIELKOPOLSKI
UL. RYNEK 16
WEJHEROWO
C.H. JANTAR
TO DOPIERO POCZĄTEK...



„Dryń, dryń, wczoraj Bóg zadzwonił do mnie" – rymuje Łona na singlu z pierwszej płyty. W swoich historiach odgrywał różne role – od hydraulika otwierającego ludzkie umysły, przez największego przyjaciela tworów samochodopodobnych marki Trabant, operatora konewki, pasażera autobusu Polska wtaczającego się do Unii Europejskiej, wielbiciela długich spacerów w klapkach na przedmieścia swojego miasta – Szczecina, śmiałego interpretatora działań ojca Rydzyka. W każdej z nich wiernie towarzyszył mu Webber, producent, z którym współpracował jeszcze w oldskulowym zespole Wiele CT. Teraz razem rzucają „za trzy". Czy celnie, pewno tak, bo zapewne z błogosławieństwem.





WEBBER

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
Biologia, plastyka, muzyka (na której uczono mnie jedynie, kto i ile jakich utworów skomponował).
trzy postacie – bohaterowie:
Pilnie poszukiwani.
trzy antypatie – leszcze:
Moda z lat 80., oszuści, populizm.
trzy napoje:
Czekoladowe mleko, herbata z cytryną, whisky z colą.
trzy potrawy:
Kurczak po sajgońsku, pizza, spaghetti carbonara.
trzy programy TV:
Mało oglądam, a jeśli już, to ten zestaw – Wiadomości, Sport, Pogoda.
trzy płyty:
Notorious B. I. G. „Ready to die", Gangstarr „Moment of truth", RJD2 „Since we last spoke"
trzy filmy:
„Podejrzani", „Między słowami", „Szósty Zmysł".
trzy książki:
W. Szpilman „Pianista", B. Hrabal „Auteczko", C. Bukowski „Zapiski starego świntucha"
trzy kolory:
Czarny, granatowy, biały.
trzy cyfry:
3, 6, 9
trzy imiona:
Klaus, Wenancja, Sława
trzy napisy na murach:
„Rap cap", „DM King", „chuj"
trzy dziewczyny:
Zdzisława S., Irena J., Krystyna T.
trzy miejsca:
Pokój, studio, kabina (3 w 1)
trzy zainteresowania:
Ludzie, muzyka, koszykówka
trzy gadżety:
Gramofon, syntezator, aparat fotograficzny
trzy ulubione słowa
Ostatnimi czasy – „że tak powiem":)
trzy sukcesy:
Rzuciłem palenie, upiłem Flintstone'a, on z kolei upił mnie.
trzy porażki:
Żadnych znaczących póki co nie odnotowałem.
trzy plany na przyszłość:
Zdać sesję poprawkową, zrobić kilka bitów, odpocząć
trzy rzeczy ode mnie:
Słuchajcie dobrej muzy, bądźcie otwarci, mniej internetu, więcej świeżego powietrza. Pozdrawiam.

ŁONA

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
Trudne pytanie, zwłaszcza, że dobrze wspominam tylko lekcje polskiego.
trzy postacie – bohaterowie:
Kapral Pribiszejew, Kajko i Kokosz
trzy antypatie – leszcze:
Tadeusz Rydzyk, Roman Giertych, Henryk Jankowski.
trzy napoje:
Dwie kawy i herbata.
trzy potrawy:
W zasadzie żywię się wspomnianymi napojami.
trzy programy TV:
Kabaret Olgi Lipińskiej, Kabaret Starszych Panów i wszystkie programy publicystyczne telewizji Trwam.
trzy płyty:
Krs-one „KRS-ONE", „The songbook of Antonio Carlos Jobim" tegoż, Diana Krall „All for you"
trzy filmy:
„Dym" Wonga, „Ragtime" Formana i „Że życie ma sens" grupy „Sky Piastowskie"
trzy książki:
„Na zachodzie bez zmian" Remarque'a, „Imperium" Kapuścińskiego, „Czekając na barbarzyńców" Coetzee'ego
trzy kolory:
Ostatnio widuję tylko czerwony, pomarańczowy i zielony.
trzy cyfry:
Trzy jedynki.
trzy imiona:
Helmut, Henry, Helka (za szlajerski gest)
trzy napisy na murach:
„precz z Irakiu", „precz z komuną", „precz ze wszystkimi",
trzy dziewczyny:
„Trzy siostry" Czechowa.
trzy miejsca:
Dokładnie tyle miejsc użytkowych jest w Trabancie; dwa siedzące i jedno leżące z tyłu.
trzy zainteresowania:
Wino, kobiety i śpiew.
trzy gadżety:
Fioletowa smycz na klucze z napisem „HIP-HOP", kupiona za 3,45 w sklepie „Społem", kubek z nadrukowanym zdjęciem „ich trojga" (prezent), plastikowy kanister na wachę z opcją (tak!) na lejek (też prezent).
trzy ulubione słowa:
„w zasadzie" (to już dwa) i „generalnie",
trzy sukcesy:
Doprawdy, nie ma się czym chwalić.
trzy porażki:
Mam krótką pamięć do takich rzeczy.
trzy plany na przyszłość:
Muszę wreszcie zdać prawo karne, cywilne i administracyjne.
trzy rzeczy ode mnie:
Jak dotąd ukazały się dwie, trzecia jest w drodze.

106

INTRO INTRO

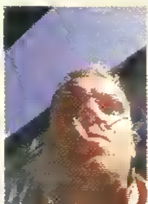


W ŚRODKU

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa ul. Brzozowa 35,
tel/fax +48(prefix)226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa 41-1500-1777-1217700-66518-0000
Dyrektor Wydawnictwa / Redaktor Naczelny: Łukasz Kowalski (rednaczkwl@slizg.com.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl),
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl)
Korekta: Paweł Gadaczek
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (szatan@slizg.com.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki (moleksicki@wp.pl)
Zespół: Rafał Wielgus, Flintstone (ef@slizg.com.pl), Fala, CNE, Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Sebastian Rerak, Krzysztof Grabowski, Yarrek, Dobry Piotrek, Sebastian Imbierowicz
Okładka: Marek Oleksicki
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Promocja: Marta Wieteska (marta.wieteska@slizg.com.pl)
Sekretariat: Aneta Haładyj (anette@slizg.com.pl)
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi

Adres redakcji: Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48(prefix)22 8254907, 8255069
e-mail: slizg@slizg.com.pl





01 felieton GLOBALNE KOWALSTWO

Bóg dał to wszystko nam...

zapewne nie zabraknie osób zdziwionych naszą okładką. może i nawet oburzonych, bo na pierwszy rzut oka widzimy na niej sacrum w otoczeniu ludzi, którzy zwykłej większości kojarzą się raczej z profanum. byłoby to jednak bardzo mylne podejście do sprawy.

Bóg jest wszędzie, a wierzą w to miliardy ludzi na całym świecie. wierzą różnie, choć wierzą tak naprawdę tak samo. dialektyka obrządku dla wielu z nich jest niezwykle istotna, w opinii wielu Bóg pozostaje jednak jeden. ten sam, niezmienny, a kres ziemskiej drogi to połączenie z nim. w ten czy inny sposób, bo przecież nie każdy zasłuży sobie na ten – w wymiarze globalnym – największy z przywilejów.

Bóg jest wszędzie, więc także w sztuce. w sztuce, w ruchach kulturowych, a więc również w hip-hopie. w amerykańskim był niemal od zawsze, a na pewno od momentu, gdy radosny hedonizm i egotrip pierwszych oldskulowych produkcji zaczął być wypierany przez rap z treścią. Bóg łączy raperów, bo przecież wspominają o nim i ci „poważni", i ci zajmujący się raczej lżejszą stroną życia. jest wspominany jako Ten, przed Którego obliczem udadzą się ofiary ulicznych strzelanin, i jako Ten, Który osądzi postępki prześmiewców, imprezowców i całej wesołej reszty. nie zabrakło w historii rapu rymowanych modlitw, tworzonych zresztą nie tylko przez przedstawicieli coraz głośniejszego za Oceanem nurtu rapu chrześcijańskiego. spójrzcie na listy podziękowań rapowych płyt. przynajmniej w ośmiu na dziesięć pojawi się odniesienie do Boga. i nie chodzi tu o to, że raperzy to jakaś szczególnie religijna grupa społeczna. raperzy to zwykli ludzie, a Bóg jest wszędzie.

w Polsce od jakiegoś czasu coraz więcej słyszy się o rapie chrześcijańskim. niestety, jako osobny nurt nie daje on jeszcze powodów do specjalnego zachwytu, gdyż poziom produkcji, zarówno pod względem przekazu, jak i muzyki pozostawia wiele do życzenia. ale już można mówić o zjawisku, a media donoszą o rapujących zakonnikach. środki przekazu pokazują to jako ciekawostkę, choć to przecież normalna sprawa, kolejny dowód na to, że rap to rzecz masowa, dla wszystkich, uniwersalny sposób artystycznej komunikacji.

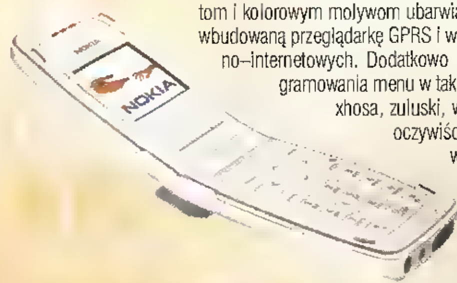
Boga w swoich tekstach wspominało i wspomina wielu polskich raperów. przedstawiciele nurtu hardkorowego, zwłaszcza sceny warszawskiej, w wielu kawałkach opowiadają o swojej wierze. robią to w sposób bezpośredni, robią to często, ale naturalnie. tak jak naturalną rzeczą dla wielu ludzi jest modlitwa. trzeba pamiętać, że kwestie religii, wiary to coś zupełnie normalnego. często wykorzystywane są do celów, które można określić, jako niecne, stają się tematem sporów o podłożu politycznym, wprowadzają podziały społeczne, bywały i bywają przyczyną wojen, ludobójstwa. nie można niestety w tym przypadku mówić o marginalnym charakterze podobnych zdarzeń, bo codziennie agencje prasowe donoszą nam o tragicznych zdarzeniach, których podłożem, tłem bądź powodem bezpośrednim jest religia. to jednak nie zmienia faktu, że religia to dla zdecydowanej większości ludzi oczywistość codzienności, a nie przyczynowy kamuflaż dla czynienia zła. a że rap to zapis życia, tej codzienności właśnie, obecność w nim Boga jest po prostu oczywista.

.:KOWALSKI:.

bizaar bazaar gadżety

gadżety NOKIA 2650

Telefon Nokia 2650 cechuje się zwartą, modną, składaną obudową. Dzięki diodom sygnalizacyjnym, kolorowemu ekranowi o dużej rozdzielczości oraz pobieranym zgodnie z upodobaniami tapetom i kolorowym motywom ubarwia komunikację. Aparat ma też wbudowaną przeglądarkę GPRS i wiele innych bajerów techniczno-internetowych. Dodatkowo ujął nas możliwością zaprogramowania menu w takich językach jak suahili, urdu, xhosa, zuluski, wietnamski, nie wspominając oczywiście o chyba wszystkich możliwych językach europejskich. Nie ma co, niezły gadżecik i fajnie wygląda.





gadżety bluza MORO JEANS

Elegancka bluza o zastosowaniu zarówno sportowym, jak i imprezowo-klubowym. Modne kolory, ciekawy design, cienki, ale ciepły materiał. W czasie jesiennych imprezek można więc być eleganckim ziomem, wzbudzać zachwyt u kobiet i zazdrość u koleżków, którzy podobnie bajeranckiego ciucha na sobie nie mają...

gadżety dres MASS



Oto nowy model spodni dresowych MASS. Dość ciekawie łączy w sobie spokojną kolorystykę i nie rzucające się w oczy, acz smakowite dodatki z ukośnymi cięciami materiału z przodu i tyłu nogawek. Spodenki mają dwie głębokie kieszenie z przodu, dwie dyskretnie zapinane kieszenie z tyłu. Krój i wzornictwo wyróżnią ten produkt zarówno na wieszaku, jak i na na osobie, która je nosi. Jeśli chcesz się nosić sportowo i czuć komfortowo tej jesieni, to jest to właściwy wybór.

gadżety buty FALLEN RIVAL

Fallen to działająca w ramach DC Shoes Co. firma Jamiego Thomasa, hardkorowego skate-speca od wielkich schodów, poręczy i wszelkiego rodzaju ulicznych przegięć. Solidne wykonanie, wygoda i surowy, trochę nawiązujący do oldskulowego designu wygląd. Jeżeli w butach zachowała się część mocy Jamiego, to gwarantują wysokie loty. Choć po ziemi również chodzi się w nich całkiem wygodnie.



gadżety spodnie MC

Jest już jesień, chłodno rano i wieczorami, a i w dzień też nie zawsze słonko przygrzewa. Czas zrzucić shorty i założyć dłuższe spodnie. Na przykład takie, jakie widzicie obok. Wygodne, uszyte z dobrego materiału, po prostu same się noszą.



gadżety ubrania CHROM





Chrom przygotował dla was nową kolekcję miejsko-sportową. Obok widzicie fajnie zaprojektowane spodnie nie tylko dla sportowców i koszulkę, której kozackie logo po prostu nas rozwaliło. Dlatego możecie przyjrzeć się mu bliżej. Oczywiście nie popieramy takich kryminalnych występków, ale patent, trzeba przyznać, niezły.



gadżety Bóg Wszechmogący

Skoro tematem przewodnim numeru jest religia, to i w gadżetach nie mogło zabraknąć jakiejś zabaweczki. Twórcy sklepu JesusChristSuperstore.com pojechali na ostro. Stworzyli figurki wszystkich najpopularniejszych bogów a także przedstawicieli kościołów i mocno je uzbroili. Widoczny obok Bóg Wszechmogący jest wyposażony w kałasznikowa, ale już na przykład Budda posiada magnum, a Sziwa – uzi. Jednak najlepsza ze wszystkiego jest figurka Allaha. Ponieważ Allah jest tym, którego nie można zobaczyć, w sprzedaży znalazło się puste pudełko...

02 felieton FALA iPODSTĘP

Nie tak dawno zadzwonił do mnie mój bliski znajomy, parający się od czasu do czasu dziennikarstwem, i pyta: Co sądzisz na temat sprzedawania kawałków w Internecie? Że akurat w tym czasie, a był to początek sierpnia, ukazała się cała masa artykułów w tygodnikach opinii, zdanie na temat miałam, może jeszcze nie wyrobione, ale już w fazie dojrzewania. Sprawcą zamieszania jest iPod. Niepozorne maleństwo, choć, jak się okazuje, solidna oręż w walce Apple z Microsoftem. Cacko mniejsze od telefonu komórkowego mieści 10 tysięcy kawałków, przy czym jego obsługa nie wymaga więcej zachodu niż pieszczenie jednym palcem (konkretnie kciukiem). Mieści się w każdą ciasną kieszeń, nawet gdy przyjdzie jej sąsiadować z chusteczkami do nosa. Maleństwo patrzy na świat cudnym ekranikiem o przekątnej kilku centymetrów. A gdy właściciel sobie z nim używa, ten rytmicznie buja ogonkiem kabelka zwieńczonego pchełkami dousznymi. iPod w dupce ma akumulatorek, który po załadowaniu starcza aż na 12 godzin muzycznych igraszek. Jeśli właściciel ma zaś ochotę na przyjemności grupowe odłącza od iPoda słuchawki a w otworek zatyka przewody od głośników i mamy all in public. Względy natury estetycznej zapewni nam wybór pięciu pastelowych kolorków obudowy.

Piosenki, które nucić będzie nam iPod trzeba, oczywista sprawa, kupić. I tu jest solidny argument za naszym owocem technologii. Zakładamy bowiem, że dzięki sklepom sprzedającym kawałki w odpowiednim formacie (a konkurencja dla iTunes rośnie każdego dnia) i ich promocjom oraz najróżniejszym usługom dodatkowym zmniejszy się tak powszechne, że aż nie postrzegane w kategoriach dobra i zła, piractwo. Może pojawi się na nowo kategoria czynu „kradzież internetowa", która dziś bywa przezroczysta nawet dla najbardziej żarliwych moralistów. Łatwo mi pewnie potępiać, bo nigdy w życiu nic z netu nie ściągnęłam... Inna sprawa, że nie umiem. Może powiecie, że gdybym umiała też ulegałabym tej, jak widać silnej, pokusie. Człowiek w końcu nie jest taki, żeby płacić za coś, co leży obok za friko.

Tymczasem ja jako dojrzewający radykał się zgodzić na to nie mogę. Ani na kradzież, bo nie można sobie popuszczać, gdy nosi się dumne miano Człowieka. Ani nawet na internetową sprzedaż muzyki.

Tak, już widzę jak pukacie się w głowę, że jakaś zacofana ta Fala, że nie wie w jakim świecie żyje i że bez względu na jej poglądy i tak pójdzie do przodu. Fakt, ale mam prawo skorzystać z mojego veta, toteż to robię. Tak jak nie zgadzam się na klonowanie człowieka i zamrażanie płodów praktykowane w zapładnianiu in vitro (i nigdy z tej metody nie skorzystam). Tak jak przysięgłam sobie pół roku temu nie wchodzić do McDonalda i słowa dotrzymałam (no raz kupiłam Owocogurt, ale się wstydzę), tak poprzysięgam nie skorzystać z mamiącego luksusem iPoda.

Rozumiem, że owiany legendą rycerz masowej kultury – konsumpcjonizm zaatakował przemysł – okej, niech wszyscy mają takie same wygodne sofy z Ikei. Media – boleję, ale skoro ktoś musi zaglądać ofierze gwałtu między nogi i takich ludzi jest większość – to w końcu ich skrzywienie. Kuchnię – niedobrze, rodzina powinna jeść razem, a jeśli osobno to przynajmniej zdrowo – współczuję wielorybom uzależnionym od skrzydełek w KFC. Ale żeby masówka i wszechpanująca doktryna gumożujstwa pochłonąć miała także kulturę – nie pozwolę!

Ludzie dzielą się chyba na dwie grupy, a ja należę do tej, która wyznaje kult oryginału. Dla której równie ważna jak sam produkt jest jego otoczka. (Takich ludzi jak ja kochają agencje reklamowe, wiem i ta świadomość mnie usprawiedliwia.) Nawet jeśli mam w domu przegrywane płyty – nie słucham ich. Tak jak nie kupuję biżuterii na wagę – to są przedmioty osobiste, definiujące moje Ja i moją grupową przynależność – jak mogłabym chcieć, żeby były byle jakie? Tańsze ale bez opakowania, jak toster z wystawy. Każdy solenizant zna przecież niepowtarzalny dreszcz podniecenia przy odpakowywaniu prezentów. Niejeden palacz powie, że najbardziej uzależniony jest od rytuału rozpakowywania kolejnej paczki fajek. Ja kocham zrywać z nowej płytki folię, łapczywie przerzucać fotki artysty i wścibsko czytać podziękowania. Bez tego nie mogę włączyć płyty. Jeśli nie pokocham jej za okładkę i klimat, jaki tworzy, nie chcę nawet wiedzieć co jest w środku. Nie mogę być niczyją fanką, jeśli nie zaintryguje mnie wykonawca jako osoba, jeśli nie wyobrażę sobie, jaki może być prywatnie i jeśli z takim wyobrażonym się nie zaprzyjaźnię. Żaden wykonawca nie stanie mi się bliski, jeżeli nie przeprowadzi mnie przez przygodę jaką opowiada cały album, który powstaje przecież zawsze na danym etapie czyjegoś życia. Słuchanie muzyki to jak rozmowa – ma wiele wspólnego z metalizyką.

Wiele można zarzucić systemowi gwiazdorskiemu w szołbiznesie. Że kreuje tandetę i nie dopuszcza alternatywy, że wykonawcy dostają amoku, bo zarabiają miliony, że wytwórnie okradają artystów. To wszystko prawda, tyle, że majorsi i ponad tysiąc niezależnych wytwórni z całego świata już podpisało umowę z iTunes. Nic się w tym bagnie nie zmieni.

Jedyne co się zmieni, to magia muzyki. Niecierpliwość czekania na kolejny album, porównywania dyskografii jednego artysty. Zaniknie możliwość rekonstrukcji klimatu danej epoki w odniesieniu do wychodzących wtedy płyt i ich stylistyki. Zaginie kolekcjonerstwo. Nikt już nie będzie śledził rozwoju artysty. Ba, nawet nie będzie jak poplotkować kto z kim i dlaczego? Dzieci nie utożsamią się z idolem, choć jeszcze dziś patrząc na jego plakat nad łóżkiem, co dzień mają siłę iść do szkoły po to, by być kiedyś takim jak on.

Co dostaniemy w zamian? W głowach pobrzmiewać będzie sieczka hitów niewiadomego pochodzenia, za którą nie będzie kryć się niczyja historia. Pożuć, pożuć i wypluć i następne... To ma być właśnie demokratyzacja dzisiejszego monopolu dyrektorów artystycznych wielkich wytwórni, którzy decydują o tym, czego ludzie będą słuchać. I może rzeczywiście w obiegu internetowym pojawi się masa nowych, pewnie nieraz wartościowych wykonawców, ale też masa syfu. Może tak gruba, że nie do przebrnięcia. Poza tym słychać argument, że często na płycie jest tylko jeden dobry kawałek a reszta to „wypełniacze", za które trzeba płacić. Osobiście nigdy nie słyszałam żadnego wypełniacza – jedynie kawałki nie wypromowane. W Internecie mają jeszcze mniejszą na to szansę.

Cóż, niektórzy chcą mieć prosto, wygodnie i ekonomicznie. Fajne do koszyka, niefajne out. W ten sposób nie dają się życiu zaskoczyć. Jest bezpiecznie. Nie trzeba nawet odrywać oczu od ziemi. Ja natomiast sobie życia bez gwiazd nie wyobrażam!

.: Fala:.

bizaar bazaar

idź do kina



ZAKŁADNIK

reż. Michael Mann

wyst. Tom Cruise, Jamie Foxx, Dennis Farina

Najnowszy film Michaela Manna, twórcy „Gorączki" i „Alego". Do taksówki Maksa w Los Angeles wsiada płatny morderca. Zabójca zmusza taksówkarza, żeby ten stał się jego szoferem na czas wykonywania pięciu zleconych wcześniej morderstw. Przed Maksem stanie zadanie uratowania własnego życia i ostatniej ofiary mordercy. W kinach od 1 października.

ANIOŁOWIE APOKALIPSY

reż. Olivier Dahan

wyst. Jean Reno, Benoit Magimel, Christopher Lee

Druga część niezłego filmu akcji „Purpurowe rzeki" (ich reżyserem był Mathieu Kassovitz). Jean Reno wciela się ponownie w rolę komisarza policji Pierre'a Niemans. Tym razem znajduje się on na tropie wyjątkowo dziwacznych morderstw rytualnych. Francuzi potrafią robić dobre kino sensacyjno – mroczne, choć zdarza się, że fabuły takich filmów są, delikatnie mówiąc, naciągane. Zobaczymy jak będzie teraz. W kinach od 8 października.

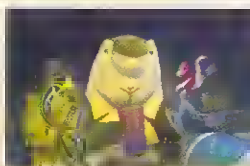


SPARTAN

reż. David Mamet

wyst. Val Kilmer, Derek Luke, William H. Macy

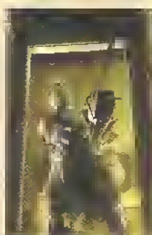
Bohaterem opowieści jest agent Secret Service, który otrzymuje zadanie uwolnienia córki prezydenta USA. W czasie prowadzenia śledztwa agent trafia na spisek rozgrywający się w Białym Domu. Temat wydaje się mocno ograny, ale jeśli bierze się za niego taki specjalista jak David Mamet, to na pewno będzie dobrze. W kinach od 8 października.



RYBKI Z FERAJNY

reż. Bibo Bergeron, Vicky Jenson

Szukaliśmy już w kinach rybki Nemo, teraz przyszedł czas na prawdziwą podwodną mafię. Tak, tak, głębiny oceanu nie są wolne od silnej ręki (płetwy?) „ludzi honoru". A gdy się z nimi zadrze, to trzeba naprawdę dołożyć wszelkich starań, by uniknąć zemsty. Mam nadzieję, że dystrybutor zdecyduje się na pokazanie choćby kilku kopii z napisami, bowiem obsada w oryginale jest imponująca: Will Smith, Robert De Niro, Renee Zellweger, Angelina Jolie i Martin Scorsese... W kinach od 15 października.



TEKSAŃSKA MASAKRA PIŁĄ MECHANICZNĄ

reż. Marcus Nispel

wyst. Jessica Biel, Jonathan Tucker, Eric Balfour

Dwadzieścia lat temu Tobe Hopper nakręcił horror, który stał się szybko klasykiem gatunku. I nieważne jak się go nazwie: slasherem, gore czy jeszcze inaczej, „Teksańska masakra..." do dziś budzi odrazę, fascynację i jeży włosy na głowie, zaś Leatherface trafił do dziwacznego panteonu filmowych zwyrodnialców. Teraz do naszych kin trafia remake tegoż filmu. Temat mocno ograny (bo jak wszystkie udane horrory pierwsza „Masakra" sprokurowała serię sequeli), zobaczymy więc jak poradzi sobie z nim debiutujący w kinie reżyser. Recenzja będzie na naszej stronie internetowej, film wchodzi do kin 22 października.

Poza tym można zobaczyć: **Kawa i papierosy**, czyli pełnometrażowa wersja krókich filmów Jima Jarmuscha; **Wysyp żywych trupów**, czyli brytyjska komediowa odpowiedź na filmy o zombiakach; **Ognista pułapka** – Joaquin Pheonix i John Travolta w roli dzielnych strażaków; **Anakondy** – sequel horroru, w którym aktorstwo było straszniejsze od gumowego tytułowego potwora, tym razem nie będzie lepiej; **El Misterio Galindez**, czyli na poważnie: opowieść o dominikańskiej dyktaturze Rafaela Trujillo, w jednej z ról Harvey Keitel.

bizaar bazaar

Festiwal Komiksu



Dla miłośników komiksu – jak zwykle w październiku – szykuje się niezły wypas, bo oto wielkimi krokami zbliża się Międzynarodowy Festiwal Komiksu w Łodzi. Piętnastą już imprezę z tego cyklu uświetnią swoją obecnością Stan Sakai (twórca „Usagiego Yojimbo") oraz Marvano (autor „Wiecznej wojny" i „Wiecznej wolności"), który miał już się pojawić na tegorocznych WSK, ale nie dojechał. Poza tym czeka nas sporo ciekawych premier. Egmont wyda m.in. nową antologię, tym razem zatytułowaną „Człowiek w probówce. Komiks, etyka, medycyna" (okładkę możecie zobaczyć obok tekstu), a także nowe albumy polskich rysowników: drugi tom „Rewolucji" Skutnika i „Ligę Obrońców Planety Ziemia" KRL-a. Poza tym ukaże się nowy komiks Gartha Ennisa „Pro" oraz kolejne części „Halloween Blues" Kasprzaka i „Daredevila" Smitha i Quesady. Mandragora wyda, pośród innych tytułów, następny tom „100 naboi". Ciekawie zapowiadają się też premiery komiksów „Golem's Mighty Swing" (Post), „Mr. Punch" Gaimana i McKeana (Mag) oraz fiński „Deszcz" (Atropos). MFK odbędzie się tradycyjnie w Łódzkim Domu Kultury w dniach 15-17 października.



MFK nie będzie też jedynym miejscem, w którym będzie można spotkać się ze Stanem Sakai. Rysownik przyjeżdża do Polski na cały tydzień i oprócz Łodzi odwiedzi również Warszawę, Kraków, Gdańsk i Poznań. Będą spotkania autorskie, możliwość zadania paru pytań rysownikowi, a także możliwość zdobycia dedykacji: we wszystkich miastach Sakai będzie rozdawał autografy w lokalnych Empikach Megastore. Fani Usagiego, ruszajcie!

bizaar bazaar

Nielegalna Akcja SLG



Jest w tym numerze nieobecna, ale tylko dlatego, by uderzyć w końcu z nową siłą. Cały czas staramy się pozyskać sponsorów na obiecany koncert, ale nie chcą promować undegroundu, potrzebują raczej głośnych nazwisk. Dlatego dogadaliśmy się z piszącym u nas DJ'em Spoksem i wkrótce dołączymy do SLG mixtape z nagraniami finalistów i nowych twarzy, co najmniej 40 min. podziemnego wypasu, w co najmniej czterdziestotysięcznym nakładzie. Czekamy więc wciąż na wasze nielegałe, apelując jednak o trochę samokrytyki i stawianie sobie poprzeczki nieco wyżej niż zazwyczaj. Oraz odrobinę porządku – od Sherlocka369 dostaliśmy np. cd-r z kopią Adobe Photoshopa zamiast płyty!!!



03 felieton FLINTSTONE
Nielegalna Warszawa

O ile większość scen rządzi się jakimiś mniej lub bardziej logicznymi prawami, panuje na nich jakiś porządek to obraz nielegalnej sceny warszawskiej przypomina witraż twórcy z niedużą ilością talentu, ale za to z zupełnie przyzwoitą psychozą maniakalno-depresyjną. Przyjrzyjmy się paru klinicznym przypadkom – bez ksyw, bez reklamy i antyreklamy, żeby czytelników nie ograniczyć do warszawiaków i tekst miał wymiar bardziej uniwersalny, naświetlający pewne mechanizmy.

Choć chyba tylko w tym mieście możliwe jest, żeby „koncert pożegnalny" grał zespół, który nic nie osiągnął, który widziałem na konkursie młodych talentów i składał się z mc nie umiejących przestać wchodzić sobie w głos, a cały sens jego występu polegał na tym, by przyprowadzona publiczność czuła się potrzebna.

Chyba tylko w tym mieście najbardziej licząca się polska bitwa freestyle'owa mogła dostać obsadę gramofonową, której pojawiające się zewsząd głosy krytyki nie przeszkadzają w pielęgnowaniu własnego samozadowolenia, i wykorzystuje wyrobioną medialnie markę tamtej imprezy, by produkować się po klubach parę miesięcy po niej. Co z tego, że freestyle'owcy dostali beaty, które ich zagłuszały, na ich 60 sekund pakowały się wokale, a przeskakująca igła wybijała z rytmu... Pamiętam dobrze jednego z tych dj'ów – rymował w jednym z tych dziwnych osiedlowych trzyliterowych składów, których nikt nie bierze na poważnie. Był nawet w klipie z budżetem porównywalnym do tygodniowej pensji sałowej. Pamiętam go też z osiedlowego klubu, już stał za deckami. Klub był dresiarską meliną, miał okres „rapowej świetności", teraz znowu jest dresiarską meliną, jak to się mówi, koło się zamknęło. Szatnia była przerobioną kuchnią, kiedy odbierało się kurtkę, pozostawało wrażenie jakby personel zakładał ją i tarzał się w sajgonkach. Nie będzie mi jej brakować, a mc/dj'a również by mi nie brakowało. Choć pamiętam, że był bardzo miły. Być może za rok będzie produkować, albo tańczyć breaka, wtedy będzie można podbić pogadać.

Co do tej wolnostylowej bitwy, miała w sobie przymiotnik „warszawska", ale reprezentacja stolicy była bardziej niż mizerna. Pozostaje się cieszyć, że panów spod Warszawy ambicja pchała na contest, tak jak tlenione blondyki spod Warszawy pcha na studia i traktowało się ich jako reprezentantów stołecznych. Co ciekawe, zawodnicy nie za specjalnie mieli czym się chwalić, jeśli chodzi o nagrane utwory. Największy liryczny brutal miał na koncie dwa nielegale z zespołem, który mógłby zapoczątkować gadkę o hip-hopolo, gdyby komuś chciało się je wydać. Właściciel najlepszego głosu na całym WBW wypuścił ostatnio nielegal, informując, że jest dla niego ważny z racji na to, że dokumentuje pięć lat jego twórczości. Wrażenia? Testosteron nieskładnie wylany na nieumiejętnie przycięte sample z Dżemu, Anity Lipnickiej, Kasi Kowalskiej. „On cierpi na nadekspresję" – tłumaczy kolega po piórze, zastanawiając się, jak wyrazić swój sąd o płycie, by nie urazić sympatycznego człowieka. Sympatyczny – nie wątpię, inteligentny – na pewno, szkoda, że bardziej świadczy o tym to, co napisał we wkładce, niż to, co zawarł na płycie. A napisał między innymi, że beaty i wokale w ogóle nie oddają jego umiejętności. Świetnie. Ciekawe, czy wypracowania z klasy podstawowej też publikuje zamiast wyrzucić?

Kolejny zespół – w momencie, kiedy po latach zaczęły się pojawiać jego średnie featuringi na słabych legalach, już nie istnieje. O najlepszym raperze z nich nic nie słychać, za to średniak moczy swoje kolejne stringi złażąc ze sceny ze łzami w oczach z kolejnych zawodów freestyle'owych. Dziewczęcy rumieniec na pyzatej buźce dałby spore powodzenie wśród niemieckich klientów w podziemiach dworca centralnego, w rapie niestety nie pomaga. Można co najwyżej osiągnąć śmieszność nagrywając jeden diss dziennie, i jak ślinę z podłogi spijać okruchy akceptacji na internetowym forum. Jeszcze dj, który swój dj'ing rozwijał naciskając przycisk „record" i „stop" w S-33, a co więcej był z tego dumny. I stracił tę robotę!!! Przechodzimy do kolejnej grupy osób – ci robią teraz coraz ciekawsze rzeczy, często instrumentalne, często bardziej abstrakcyjne, ale nikt nie będzie traktował ich na poważnie pamiętając dissy na ikony rapu, chaotyczne koncerty w maskach gazowych i próbę robienia własnego stylu z mechanicznego klepania poza beatem. Są wykonawcy nawet bardziej skrajni – tak podziemni i bezkompromisowi, że aż dziwne, że nie nagrywają wokali szeptem. Nie przeszkadza im to organizować rozreklamowanych urodzin, na które zaproszone zostają niedobitki z rodziny Wu. Uwielbiali działać poprzez prowokację, przynajmniej przez Internet, bo na żywo jeden z nich był przespokojny i raczej chciał się dowiedzieć, czy nie mógłby pisać do Ślizgu. Ich materiały lepiej dotarły do bohemy, niż do ulic, i najłatwiej usłyszeć ich siedząc przy stoliku w CDQ. Pewno będzie się o nich mówić jak o Masłowskiej: „Lekko nadpsuty kawał rapowego mięsa". Ach, ta szalona kultura studencka.

To może być wynik tego, że popularna w Warszawie była „jedyna słuszna linia programowa" i wszyscy chcieli być źli. Względnie tego, że 99,9 % ludzi, którzy coś tu umieją, zdobywa kontrakt (a 0,1% to Sfera) i podziemia innego niż trzecioligowe przez to nie ma. Nie obchodzi mnie to! Mam dość słabej, paradoksalnej wręcz undergroundowej Warszawy i tyle... Niedługo kojarzenie się z warszawskim undergroundem będzie takim wstydem jak dziś z np. Starymi Babicami.

.:Flintstone:.

bizaar bazaar
Battle of the Year



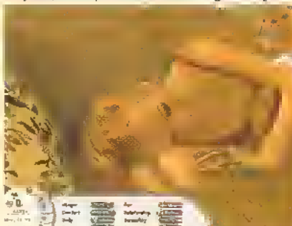
Już 23 października w Braunschweig w Niemczech odbędzie się następna impreza z cyklu finałów Battle of the Year. Wystąpi 19 ekip z całego świata: Francja – Pokemon (zwycięzca 2003), Korea – Gambler, Estonia – (eliminacje 23 września), Słowacja – Quassit X-Boys, Belgia – Dynamics, Włochy – Break the Funk, Japonia – Mortal Kombat, Nowa Zelandia – Common Ground, Bułgaria – Electric Force Crew, Izrael – Lions of Zion, Francja – Fantastik Armada, Szwajcaria – Kayonyx aka Kakadu, Dania – Natural Effects, Austria – Moving Shadows, Kanada – Supernaturalz, Rosja – Predators, Republika Południowej Afryki – Ubuntu, Niemcy – Stuttguard. Za gramofonami pojawią się: Billy Brown z Francji, Cut Nice z Holandii i Haitian Star z Niemiec. Na scenie wystąpi także Rahzel, Wildchild / Stonesthrow oraz funkowa formacja Barry Künzel feat. Montana Chrome Boy and the Apeman. Całość tradycyjnie poprowadzą Trix i Spax. Pula nagród wynosi 2500 euro. Start imprezy 18: 30. Bilety w cenie 24 euro można zamawiać na stronie www.boty.pl.

#game overload #recenzje



Singles
Flirt up Your Life
(Deep Silver/Techland)

Moi drodzy gracze. W życiu każdego prawdziwego mężczyzny nadchodzi taka chwila, że musi odłożyć wszystkie giwery (nawet rocketlauunchera, wiem, że to bardzo trudne, albo wręcz niemożliwe, ale jednak...), zostawić czołgi czy inne zabawki służące do eksterminacji, zapomnieć na moment o ratowaniu świata w pojedynkę i zająć się zwykłym życiem. Tak więc, drogi graczu, musisz uświadomić sobie, że istnieją jeszcze inne gry, nie tylko te, w których krew leje się strumieniami (okej, te są najfajniejsze). Są jeszcze tak zwane symulacje życia codziennego! Strasznie to brzmi, prawda? Ale do rzeczy. Niejeden z nas niejednokrotnie się zastanawiał, na czym polega fenomen takich Simsów, czy innych gier udających życie. Czyż prawdziwe życie nie jest ciekawsze? Fakt, że nie można w nim zrobić sejwa, lub ponownie rozegrać tę samą sytuację – ale taki jego urok.



Sam dość niechętnie zasiadam do tego typu gier – nie znajduję w nich nic ciekawego – prawdę mówiąc. Ale czasem... Tak, czasem ma się ochotę pogiercować w coś zupełnie innego. I padło tym razem na Singles – Flirt up Your Life. No i muszę przyznać... że nie trzeba tu zamartwiać się codziennymi, nudnymi sprawami (tak wstrętnymi duszy „truegamera":)), a po prostu podrywać! Tytuł zobowiązuje w końcu. Difollowo – że tak powiem – mamy parkę Linda i Mike (ale możemy zmienić bohaterów, mi szczególnie przypadł do gustu gość wyglądający jak skrzyżowanie fana metalu i rocka gotyckiego oraz panienka – intelektualistka, to dopiero parka..., choć można wybrać też feministkę!) i zabieramy się do dzieła. A im skuteczniej, tym efekty na monitorze wyraźniejsze. Tym bardziej, że i grafa nie najgorsza (choć przyznaję, ze zdziwieniem zauważyłem, że wymagania minimalne to gigowy procek). Dość dobrze rozbudowane parametry postaci potrafią nieraz naprawdę nieźle podkręcić rozgrywkę, dzięki czemu sama gra nie nudzi nawet zatwardziałych przeciwników symulacji. Cóż więcej rzec? Jeśli nie wychodzi ci podryw na żywo, spróbuj Flirt up Your Life. Choć to tylko gra, można dzięki niej opanować kilka patentów przydatnych w realu.



Doom 3
(id Software/LEM)

No i doczekaliśmy się. Z rocznym opóźnieniem, gdyż Doom 3 miał pojawić się w 2003 roku. Doczekaliśmy się następcy ojca i matki wszystkich shooterów (wiem, że Wolfi 3d był wcześniej – ale też został stworzony przez id). Już w 2001 roku pojawiły się oficjalne informacje o kolejnym Doomie, niedługo potem do sieci wyciekła baaardzo wstępna wersja gry. I wszyscy byli zachwyceni grafiką, efektami: światłem, cieniami (a jednocześnie przerażeni wymaganiami sprzętowymi). A potem cisza. Teraz, gdy Doom 3 gości już w naszych kompach (przynajmniej u tych, którzy mają procek minimum 1.5 giga, kartę co najmniej GeForce 3 i RAM-u tak około 512 – he he...) możemy ponownie przeżyć horror samotnego Marine walczącego z istotami z piekła. Gdyż zgodnie z zapowiedziami fabuła miała nawiązywać do pierwszych Doomów – czyli krótko mówiąc, jest prosta jak budowa cepa. Mars, rok 2145, baza Union Aerospace Corporation, która to otwiera wrota do piekła i nasz samotny Marine. Doom jak w mordę strzelił, a niby od jedynki minęło... coś koło dziesięciu lat, i gry też poszły do przodu. I tu właśnie jest piesek pogrzebany. Jeśli chodzi o grafikę i efekty, to Doom 3 rzeczywiście powala (zwłaszcza jak się ma wypasionego kompa), choć trzeba pamiętać, że po nowych Unrealach, Far Cry, czy nadchodzących: Half Life 2, S.T.A.L.K.E.R., już nie jest aż tak rewolucyjny. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, iż gra toczy się cały czas w zamkniętych pomieszczeniach (engine nie jest w stanie generować otwartych przestrzeni?). Scenariusz, no cóż, liniowy do bólu – i mimo iż wprost mówiono, że taki będzie – spodziewaliśmy się troszkę więcej, prawda? Jeśli chodzi o interakcję z otoczeniem, też jest słabiutko – to na pewno nie jest Red Faction, ani tym bardziej Devastation.



Fakt, że sama rozgrywka sprawia niezłą frajdę (jeśli ktoś lubi oldskulowy klimat podlany najnowszymi efektami graficznymi), naprawdę momentami można narobić w gacie. Ale też nie da się ukryć, gracze wymagający czegoś więcej od scenariusza (nawet tak liniowego), niż tylko przechodzenia z pomieszczenia do pomieszczenia i rozwalania różnych piekielnych stworów, srodze się wynudzą.

Nie myślcie, że mimo tych wszystkich zastrzeżeń, Doom 3 to gra słaba. Nie, po prostu jeśli czekasz na następcę legendy, to chcesz otrzymać coś, co stanie się równie legendarne (patrz rozczarowanie Unrealem 2, niestety słuszne). Doom 3 to bardzo dobry shooter, z niezłym napięciem, rewelacyjną grafiką i takim sobie scenariuszem.

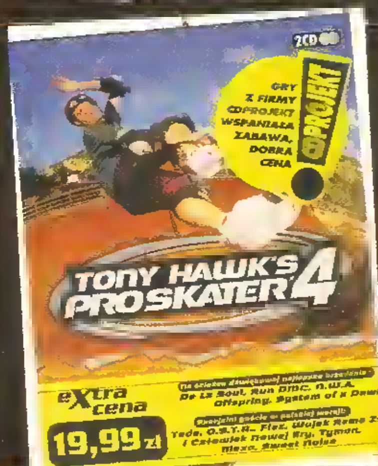


Oczywiście od razu pojawiły się też pierwsze mody do Dooma 3, m.in. zmieniające oświetlenie w grze przez podmianę granatów na latary, dające możliwość doczepienia do broni latarki, czy zwiększenie liczby graczy w multiplayerze. Ci, którzy wciąż mają Win 98 (także Win 98 Second Edition) też już nie muszą przeklinać – specjalny programik pozwala uruchomić Dooma właśnie pod tym systemem.

Tylko – no właśnie – tylko czy Doom 3 nie okaże się klapą (nie finansową – oczywiście) roku, mimo wszystko?

:gaf:.

GRY





UWAGA KONKURS!!!

W poprzednim numerze mogliście przeczytać recenzję gry Tony Hawk's Pro Skater 4. No to może chcielibyście ją (grę, a nie recenzję) mieć na własność? Dystrybutor THPS4, firma CD Projekt ufundowała dla Was 15 egzemplarzy gry i dodatkowo 5 płyt WSZ i CNE „Te-rap-ja". Musicie jednak odpowiedzieć na pytanie. Ale żeby ułatwić wam sprawę, damy dwa pytania do wyboru.

01. Napiszcie więc nam, który ze znanych skaterów użyczył swojej postaci do gry THPS4 (oprócz Tony'ego Hawka, rzecz jasna).

02. Wymień przynajmniej jednego polskiego wykonawcę, który użyczył swojej muzyki do naszej edycji THPS4.

Łatwe, prawda? No to piszcie na adres redakcji SLG, na kartkach pocztowych. Termin do końca października. Powodzenia!!!





nowe komiksy recenzje



KOMIKS MIESIĄCA

KAZNODZIEJA. DAWNE DZIEJE: ŚWIĘTY OD MORDERCÓW

Ennis – Pugh, Ezquerra
EGMONT

Wybaczcie, to będzie recenzja bardziej osobista niż zwykle, a to dlatego, że opowieść o Świętym od Morderców była pierwszym komiksem z cyklu Preacher, jaki kiedykolwiek miałem w ręku. Nie bardzo jeszcze wówczas wiedziałem kim są Caster, Cassidy i Tulip, nie dowiedziałem się też tego z oryginalnego wydania „Ancient History" (zawierało jeszcze historię Dupogębego i przypowiastkę o niecnej rodzinie Kaznodziei – te ukażą się w polskim wydaniu w następnym tomie). A jednak ponura, podszyta przeraźliwym wręcz smutkiem i grozą opowieść, o tym jak narodził się (a może raczej – jak został stworzony) Święty od Morderców, zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie, z którego długo nie mogłem się otrząsnąć. Zresztą teraz również mnie rusza, chyba nawet bardziej, pewnie dzięki temu, że wiem, jaką rolę w dziejach Kaznodziei odgrywa Święty od Morderców.

To komiks o naprawdę dzikim, zwyrodniałym i posępnym Zachodzie, chyba nawet hasło „anty-western" będzie tu za słabe. Nie jesteśmy świadkami narodzin bohaterów, ale łajdaków, najgorszych szumowin, jakie przemierzały przestrzenie Zachodu. Tu nie ma nadziei, jest tylko rozpacz, zdrada, zemsta i wściekłość tak silna, że zamraża piekielny ogień. Nie ma przebaczenia, litości ani miłości, jest za to morze przelanej krwi i ból. Pisząc historię o Świętym Ennis wzniósł się na wyżyny swojego kunsztu, a wiadomo, że potrafi naprawdę wiele. I bez przesady mogę powiedzieć, że ta inspirowana westernami (czego Ennis zresztą wcale nie ukrywa), mroczniejsza od czeluści piekieł historia, to jeden z najlepszych komiksów, jakie czytałem w życiu. (jd)



KOMIKS MIESIĄCA

1602 tom 1

Gaiman – Kubert
EGMONT

Początek XVII wieku. Anglii grozi wielkie niebezpieczeństwo i tym razem nie są to odwieczne walki z sąsiadami z kontynentu, a potężny hrabia Otto Von Doom. Swój udział ma też Wielka Inkwizycja, a zwłaszcza jej fanatyczny przywódca. Królowa Elżbieta wzywa więc na pomoc swojego zaufanego obrońcę, sir Nicholasa Fury. On musi stawić czoła zagrożeniom, ale nie będzie w tym osamotniony. U jego boku staną bowiem między innymi niewidomy bard Matthew Murdoch, potężny mistyk doktor Stephen Strange, a do stawki dołączy także grupa czarodziejów, kształcących swe moce w tajemnej szkole prowadzonej przez Carlosa Javiera...

Brzmi cokolwiek znajomo, prawda? I bardzo dobrze, bowiem nieoceniony Neil Gaiman umieścił najsłynniejszych bohaterów Marvela w realiach siedemnastowiecznej Anglii. I zrobił to naprawdę znakomicie. W rękach tego pisarza konwencja komiksowa staje się bardzo plastyczna, dostosowuje swoich bohaterów do opisywanej rzeczywistości, czasami traktując ją bardzo serio, a czasami wprowadzając elementy zabawne (np. postać młodego Petera Parquagh'a, zafascynowanego pająkami, ale pozbawionego nadludzkich mocy). Gaiman naprawdę stara się poczuć, jak traktowani byliby superbohaterowie czterysta lat temu. I udaje mu się to: niektórzy są potężni, służą Królowej (lub też siłom zła w postaci Inkwizytora), dla innych – zwłaszcza dla mutantów – płoną stosy.

Nie ma co ukrywać – bardzo lubię takie alternatywne historie. I choć nie jest to przecież pomysł nowy – wystarczy wspomnieć niedawno u nas wydane „Gotham w świetle lamp gazowych" – to jednak w wykonaniu Gaimana zmienia się w komiksową sztukę najwyższej próby. Znakomity scenariusz, opatrzony równie dobrymi ilustracjami Kuberta („Wolverine. Origin"). Komiks, który można bez wahania polecić każdemu, choć największej przyjemności będą mieli z niego czytelnicy nieco bardziej obyci w superbohaterskim uniwersum Marvela. (jd)



SPECTACULAR SPIDER-MAN #3

Jenkins – Ramos
DOBRY KOMIKS

Trzeci zeszyt serii „Spectacular Spider-Man" kończy kolejną awanturę Petera Parkera z Venomem i zaczyna nową – z Doktorem Octopusem. Dwóch bardzo ciekawych przeciwników Pająka to już wystarczająco dużo dobrego. Tym bardziej, że scenarzysta Paul Jenkins wyciska z nich sporo. Zwłaszcza Venom, a raczej Eddie Brock okazuje się postacią o wiele bardziej tragiczną i skomplikowaną niż mogło się wydawać do tej pory. Większy problem mam z ilustracjami. Humberto Ramos to zdolny rysownik, ale jego groteskowy, dynamiczny styl jakoś średnio pasuje do chwilami bardzo poważnego scenariusza. A może to po prostu rzecz gustu. Nie zmienia to jednak faktu, że „Spectacular" to seria naprawdę godna uwagi, zwłaszcza, że ostatnio na naszym rynku Spider-Man pojawiał się wyjątkowo rzadko. (jd)



ARLEKIN I WALENTYNKI

Gaiman – Bolton
EGMONT

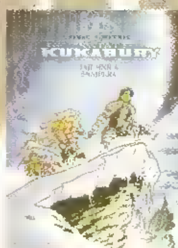
Jeszcze jeden komiks Neila Gaimana, niestety sporo słabszy od opisywanego obok „1602", nie wspominając już o „Sandmanie". Momentami makabryczna, chwilami zabawna wariacja na temat komedii dell'arte, opierająca się na dwóch głównych postaciach gatunku: Arlekinie i jego ukochanej, Kolombinie. Krótka historyjka jest napisana zgrabnie, z wyczuciem, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że ma świadczyć jedynie o niezwykłej erudycji i wiedzy kulturalnej autora. Ot, taki popis dla wtajemniczonych. Niewtajemniczonym pozostaje natomiast posłowie, objaśniające tajniki komedii dell'arte. Moim zdaniem, ciekawsze od całego komiksu. (jd)



JAN PAWEŁ II PAPIEŻ TRZECIEGO TYSIĄCLECIA

Pagot – Toppi
SALWATOR

Komiks o Papieżu. To już samo w sobie brzmi dość dziwnie, ale nieważne. Album ukazał się już trzy lata temu, ale dopiero niedawno wpadł mi w ręce, a poza tym pasuje do przewodniego tematu bieżącego numeru. Muszę przyznać, że ten komiks mnie zaskoczył. Pod koszmarną okładką ukrywa się rzecz w miarę przyzwoicie narysowana (choć do kolorystyki można mieć już duże zastrzeżenia) i solidnie napisana. Oczywiście bogata biografia Papieża wymagała bardzo skrótowego potraktowania, wskutek czego przypomina chwilami raczej telegraficzny skrót z życia i dokonań Jana Pawła II. Pamiętajmy też, że należy ten komiks traktować nie jako album dla koneserów, ale jako książeczkę informacyjną, zachęcającą do bliższego zapoznania się z dziełem Papieża. I myślę, że takie zadanie spełnia całkiem nieźle. (jd)



ŚWIAT KUKABURY TAJEMNICA SNAJPERA

Crisse – Mitric
EGMONT

Jeśli pamiętacie serię „Kukabura" i jej głównego bohatera, żołnierza Dragana Preko, to powinniście sięgnąć po kolejny cykl, tym razem opisujący wcześniejsze dzieje tejże postaci. Od chwili, gdy w dzieciństwie wylądował na tajemniczej, mroźnej planecie, Dragan wikła się w niebezpieczne wydarzenia, co w efekcie doprowadzi do jego wstąpienia do oddziałów Ligi Ziemskiej, itd., itp. „Świat Kukabury" to konfekcja, typowe francuskie rzemiosło, bez rewelacji, ale i bez wstydu. Można przeczytać w wolnej chwili. Nie ulega jednak wątpliwości, że Crisse to zdecydowanie lepszy rysownik niż scenarzysta, co udowodnił choćby w autorskiej „Kukaburze", czy w „Kryształowej szpadzie". (jd)

komiksy na dvd



NAJLEPSI Z NAJLEPSZYCH

reż. Louis-Pascal Couvelaire
MONOLITH

Pod niezbyt szczęśliwym polskim tytułem kryje się całkiem udana ekranizacja znanego i u nas komiksu „Michel Vaillant". Przypomnijmy, tytułowy bohater to najlepszy na świecie kierowca rajdowy, zmagający się nie tylko z konkurentami na torze, ale też wszelkimi przeciwnościami losu. Komiksowy cykl liczy już grubo ponad 60 tomów, można więc zastanawiać się, jak upchnąć choćby minimum w niespełna dwugodzinnym filmie. Za scenariusz zabrał się jednak sam Luc Besson, i z rozbudowanej serii wyciągnął esencję tego, czym są komiksy o Michelu Vaillancie. Trzeba przyznać, że zrobił to dobrze. Rzecz jasna w centrum wydarzeń jest morderczy, 24-godzinny wyścig w Le Mans, ale w tle dostajemy zgrabnie, choć szkicowo zarysowane relacje między postaciami, mniejsze i większe dramaty i trudności, stojące na drodze do upragnionego zwycięstwa. Owszem, nie jest to film, który na trwałe zapisze się w historii kina. Ale w końcu nie o to chodziło. Dostajemy to, czego się spodziewaliśmy: świetnie skręcone rajdy samochodowe, sporą dawkę emocji i dużo relaksu, w sam raz na jesienny wieczór. (jd)

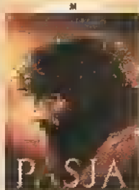
bizaar bazaar

filmy i książki



NIKOTYNA
reż. Hugo Rodriguez
MAYFLY

Weźmy ośmioro bohaterów: młodego informatyka, dwóch drobnych gangsterów, małżeństwo aptekarzy, drugie – fryzjerów i wreszcie rosyjskiego mafioza. Dołóżmy garść diamentów, kilka sztuk broni palnej i mnóstwo papierosowego dymu. Gdy umieścimy wszystkie składniki w środku nocy na ulicach Mexico City, otrzymamy całkiem przyzwoitą mieszankę. Pomysł na fabułę zdecydowanie nie jest nowy – pomyłka jednego z bohaterów wpływa na losy pozostałych uczestników rozgrywki, których drogi co chwilę się krzyżują. Ale nie jest to bynajmniej film o przypadkowości losu (choć i takiej interpretacji nie sposób się oprzeć), to po prostu kawałek porządnego kina rodem z Ameryki Środkowej. Hasło reklamowe brzmi „Życie bez filtra" i trzeba przyznać, że coś w tym jest. „Nikotyna" to film soczysty, zabawny i wciągający, choć nie uzależnia tak, jak tytułowa używka. Świetne zdjęcia i montaż, dobra muzyka, charakterystyczni aktorzy (w tym wschodząca gwiazda meksykańskiego kina, Diego Luna). Porównania do kina Guya Ritchie'ego są nieco na wyrost, „Nikotynie" do takiego „Przekrętu" choćby jeszcze daleko, ale mam nadzieję, że kolejne filmy Hugo Rodrigueza jeszcze nie raz rozpalą nasze kina. Polecam nie tylko nałogowym palaczom, w kinach film gości od 17 września. **(jd)**



PASJA
reż. Mel Gibson
MONOLITH

Być może łamy SLG nie są najlepszym miejscem do opisywania filmu takiego jak „Pasja". Jednak to na tyle ważny kawałek kina, że chyba warto o nim wspomnieć, tym bardziej, że trafił właśnie do nas w postaci kaset video i płyt DVD. To wszyscy już wiedzą, ale przypomnę: „Pasja" opisuje ostatnie godziny życia Jezusa, drobiazgowo i naturalistycznie pokazując jego męczeństwo i śmierć. Film wzbudził w swoim czasie lawinę kontrowersji, doszło do oskarżeń o trywializowanie biblijnego przekazu, nadmierną brutalność, a nawet o antysemityzm (!). Ja proponuję odrzucić na czas seansu religijne dogmaty (wiem, to niełatwe) i spojrzeć na film jak na obraz ostatnich chwil człowieka, który poświęcił wszystko w imię wyższych racji. To na pewno nie jest zgodne z intencją reżysera (swoją drogą, kto by się spodziewał, że gwiazdor „Zabójczej broni" i „Mad Maksa" pokusi się kiedyś o nakręcenie takiego filmu?), ale pozwala na bardziej obiektywne spojrzenie na wymowę dzieła. I choć „Pasja" nie jest pozbawiona wad, tym razem nie warto o nich mówić, bo ten film autentycznie porusza. I każe o sobie długo, długo myśleć. **(jd)**



ROK WILKOŁAKA
Stephen King
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Książka bardzo dla Kinga nietypowa: króciutka (w sumie jakaś godzina lektury) i ilustrowana (całkiem nieźle, autorem rysunków jest Bernie Wrightson). Dwanaście krótkich epizodów, które przedstawiają tyleż pełni i – co się z tym rzecz jasna nierozerwalnie wiąże – „wizyt" tytułowej bestii w miasteczku Tarkers Mills. Trudno mówić tu o fabule, bowiem książka jest przede wszystkim mocno symboliczna (King wybiera różne dni, które mocno siedzą w świadomości czytelników, zwłaszcza amerykańskich), a postaci i wydarzenia wręcz archetypiczne dla opowieści o wilkołakach. A jednak z mocno zakorzenionych w kulturze popularnej schematów King wyciska całkiem dużo świeżych soków, powieść jest wtedy, gdy trzeba, przerażająca i mroczna, podszyta wręcz podskórnym niepokojem. No i ta niezwykła zdolność Kinga do tworzenia postaci! Tym razem nie potrzebuje do nakreślenia psychologicznej sylwetki kilkudziesięciu stron tekstu, wystarczają mu dosłownie dwa – trzy zdania. Po prostu czuć rękę mistrza. **(jd)**



CYFROWA TWIERDZA
Dan Brown
ALBATROS / SONIA DRAGA

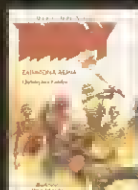
Ponieważ w Polsce wszystko dzieje się na odwrót, niż w cywilizowanym świecie, niedawno mieliśmy okazję zobaczyć na naszym rynku debiut pisarski Dana Browna, autora niezwykle poczytnych Aniołów i Demonów oraz Kodu Leonardo Da Vinci. Zdziwi się jednak ten, kto zabierze się za lekturę tej książki szukając elementów charakterystycznej dla wspomnianych pozycji Browna literatury mieszającej sensację z wątkami religijnymi.

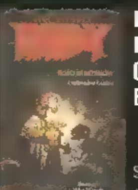
Rzecz bowiem jest o kodach. O kodowaniu wiadomości w Internecie, ściślej pisząc, i całym zamieszaniu oraz zagrożeniach, które są z tym związane. Istnieje sobie w Stanach Zjednoczonych rządowa agencja, która odpowiedzialna jest za bezpieczeństwo kraju, szukając zagrożeń w globalnej sieci. Zatrudnia najlepszych kryptologów na świecie, ale przede wszystkim ma do dyspozycji superkomputer, który w ciągu kilkunastu sekund jest w stanie uporać się z każdym, nawet najbardziej skomplikowanym kodem na świecie. Pyk i kod znikł – coś w tym stylu. Można więc spodziewać się poważnych problemów, skoro w pewnym momencie superkomp traci na rozwiązanie szyfru... kilkanaście godzin.

Jak to u Browna, czas akcji to kilkadziesiąt godzin. Jak to u niego, jest odważny główny bohater, który co prawda nie ma większego pojęcia o kodowaniu, ale jest bohaterem głównym i ma sporo na głowie. Tak się przynajmniej wydaje przez większość książki, ale więcej wam nie zdradzę, żeby nie zepsuć zabawy. Ta jest całkiem dobra. Choć Brown momentami jest autorem przewidywalnym, a uważny czytelnik rozwiąże zagadkę kilka stron wcześniej od zamieszczonej puenty, nudzić się przy tej książce nie sposób. Można za to dobrze się zrelaksować. **k.**



Nie wiem, czy Mike Mignola wymyślając postać Hellboya wiedział, że tworzy coś, co zdobędzie tak ogromną popularność. Komiksy o agentach Biura Badań Paranormalnych i Obrony są rzeczywiście znakomite, zresztą nie raz mogliście poczytać o nich w dziale z recenzjami. Gra komputerowa o Hellboyu już taka fajna nie była (no dobra, tragiczna też nie). Teraz jednak przyszła pora, by nasz bohater opanował kolejne media.





HELLBOY. ZAGINIONA ARMIA
HELLBOY. KOŚCI OLBRZYMÓW
Christopher Golden
EGMONT

Zaczynamy od książek. Niedawno ukazały się u nas dwie powieści, których bohaterem jest czerwony spec od zwalczania (kamienną pięścią) zjawisk niewyjaśnionych. Autorem obu jest amerykański pisarz i scenarzysta komiksowy (współtworzył m.in. scenariusze do serii „BBPO"), Christopher Golden. Za przyzwoleniem Mignoli i z jego małą pomocą zabrał się za beletryzację przygód Hellboya. Na szczęście nie adaptował na potrzeby książek konkretnych scenariuszy komiksowych, ale wymyślił zupełnie nowe historie. Chronologicznie wcześniejszą i, można od razu powiedzieć, słabszą jest „Zaginiona armia". Fabuła nieskomplikowana – Hellboy zostaje wysłany na Saharę, by tam walczyć z odradzającym się demonem i zaginioną od 2500 lat armią perskich wojowników. Napisane jest to dość przeciętnie i choć niby wnosi sporo do naszej wiedzy o Hellboyu (na przykład o jego życiu seksualnym), to można się zastanawiać po co. Na osłodę mamy za to jak zwykle znakomite ilustracje Mignoli. Natomiast z powieścią „Kości olbrzymów" jest o wiele lepiej. Napisana parę lat później, warsztatowo i fabularnie zdecydowanie lepsza. Akcja osadzona jest w Skandynawii i bardzo mocno oparta o nordycką mitologię – tu już jest więcej klimatu, który znamy z komiksów. Oczywiście obu powieściom dość daleko do tego, co stworzył w albumach Mignola, ale czytają się nieźle, zaś „Kości..." można z czystym sumieniem polecić nie tylko maniakom Hellboya.



HELLBOY
reż. Guillermo Del Toro
UIP

Z kart komiksu trafił też wreszcie Hellboy na duży ekran. Oczekiwałem tego filmu niecierpliwie i nie zawiodłem się, choć nie jest to też tak dobra ekranizacja, jaką mogła być. Jej ogromnym plusem jest oczywiście postać Hellboya (Ron Perlman). To rola zdecydowanie udana, dopracowana w szczegółach, przykuwająca uwagę. I słusznie, bo to w końcu Hellboy jest głównym magnesem, który ma przyciągnąć widzów. Nieco gorzej z bohaterami drugoplanowymi. Najlepiej wypada profesor Bruttenholm w wykonaniu niezawodnego Johna Hurta, sprawdziła się też Selma Blair jako Liz Sherman, dość ciekawie zarysowana jest postać Abe'a Sapiena. Ale już John Myers, agent FBI współpracujący z Biurem, to typ drętwy i papierowy. Niezbyt dobrze udali się też realizatorom naziści (którzy, jak to przystało na „Hellboya", są obok starożytnych półworów głównym zagrożeniem) i Rasputin. Generalnie jest jednak nieźle, realizatorzy wcisnęli w scenariusz jak najwięcej elementów, które kojarzą się z komiksami. Mamy więc obleśne, lovecraftowskie potwory, gadające trupy, sporo ironicznego humoru, a niektóre (niestety niezbyt liczne) sceny wyglądają jak żywcem przeniesione z prac Mignoli (który był zresztą producentem wykonawczym filmu). To, czego mi zabrakło, to nieco więcej mrocznych klimatów – „Hellboy" jest w końcu opowieścią dla raczej dojrzałych czytelników. Adaptacja zaś jest chwilami nieco zbyt infantylna, za bardzo oczywista, żeby zaskoczyć ludzi, którzy mają za sobą lekturę hellboyowych komiksów. To jednak nie przeszkadzało mi się na tym filmie dobrze bawić. W końcu chodziło o dwie godziny dobrej rozrywki, a to zadanie „Hellboy" wypełnia naprawdę nieźle. **(jd)**



IMPREZĘ ROZKRĘCA simplus TEAM

BONGOS PROMOCJA

[SIMPLUS TEAM HIP-HOP JAM]

DLA PIERWSZYCH 30 UŻYTKOWNIKÓW SIMPLUS
WEJŚCIE ZA DARMO
WEŹ SWÓJ TELEFON

25.09.2004
Wrocław – Szałass

01.10.2004
Gdynia – Ucho

02.10.2004
Białystok – Fabryka

08.10.2004
Olsztyn – Come In

09.10.2004
Lublin – Graffiti

FLEXXIP
WŁODI
FU
DJ600V

pokazy tańca break dance

dosdedos
AKTIVIST www.aktivist.pl
HIP-HOP.pl
radiostacja
98 MASS
CLINIC
ŚLIZG
VIVA
cgm.pl

nowe płyty recenzje



PŁYTA MIESIĄCA
LL COOL J
THE DEFINITION
DEF JAM

Trochę osób tu i ówdzie czepia się tego albumu, że niby wujek James już nie ten sam, co kiedyś, a ja się pytam – to co, miał się nigdy nie zmienić? Przecież to już jedenasty album tego dinozaura w 19-letniej karierze. Jest nowocześnie, może dlatego, że aż sześć z 11 tracków wyprodukował Timbaland. Co jednak trzeba przyznać muzycznej stronie albumu, nie ma tu pogoni za tym wszystkim, czego ostatnio się słucha. I co się sprzedaje. Timbo owszem, brzmi nowocześnie, ale w jego beatach sporo jest nawiązań do tego, jak kiedyś waliło się w bębenki. Przynajmniej ja słyszę choćby w „Headsprung" delikatne, ale zauważalne nawiązanie do dawnych czasów – i w rapie J'a, i w beacie Timbo.

LL mówi wyraźnie – niektórzy robią to dla braci gangsterów, ja nie wstydzę się robić kawałki dla pań. Dzięki Bogu nie robi ich zbyt wielu, ale jak już pojedzie w soft, to mamy perełki. Oczywiście, może już zanudzić kolejna rozkminka R. Kelly'ego na temat tego, co ma zamiar zrobić z koleżanką na zapleczu sceny, ale wspólny kawałek z J'em, „I'm About To Get Her" to zajebiste bujanie, rytmiczne i z pomysłem. Świetny jest też „Hush" z młodą wokalistą 7 Aurelius, jakoś tak przypominający mi nieśmiertelne „I Need Love". Miękki, ale kapitalny kawałek. Za to nieco denerwujący jest „Every Sip" z wokalami Candice Nelson, do złudzenia przypominający niedawną kooperację Smitha z J-Lo.

Mamy LL'a miękkiego, ale jest też LL konkretny, podbijający bębenek fame'u – w niesamowitym „Rub My Back". Przerymowany na luzie, wręcz leniwie, z zapraszającym do mercedesa refrenem – stare patenty sprzedają się zawsze dobrze. No i jest tu świetny, oszczędny, ale dający popalić beat Timbo. A nowoczesna, pulsująca rozpierducha w „Move Something"? Ok, ok, LL czasami za dużo gada o banałach, zwłaszcza, jak zwraca się do panienek, ale który wesoły ziom nie chciałby mieć takiego gadanego, w takim tempie i z takim pomysłem?

11 kawałków, procentowo mało szajsu. LL jest w znakomitej formie. Prawie 20 lat na rynku i wciąż ma coś do powiedzenia. No, może po latach takich sobie, ogólnie nijakich, w końcu któryś ze starych mistrzów utrzyma się na powierzchni nie tylko poprzez famę z dawnych lat, ale też dzięki dobrym współczesnym lotom? **kwl**



PŁYTA MIESIĄCA
MOBB DEEP
AMERIKAZ NIGHTMARE
ZOMBA RECORDING CORPORATION

Niedawno byli w Polsce i choć zdecydowanie za krótko, to pokazali, jak gra się hardkorowy koncert. Nie brak ludzi, który uważają, że jeżeli chodzi o uliczne brzmienie, są najlepsi. Może nie sprzedają milionów albumów, ale to chyba właśnie dzięki temu udało im się zachować ten jedyny w swoim rodzaju klimat. Mobb Deep wciąż wiedzą, jak coś powiedzieć. I mówią to.

Już pierwszy na płycie utwór tytułowy ścina z nóg. Mroczna, jednostajna produkcja Havoca, na tym monotonnie, ale dobitnie akcentowane kolejne mocne wersy. Chwilę później słyszymy już brzmienia Alchemista – delikatny funk z wokalem, mocne bębny i świetnie podane, wymienne rymy, „Win Or Lose". Havoc dał na tę płytę najwięcej beatów – świetnie miesza dawne, klasyczne mobbdeepy z tym, czego słucha się teraz. Niezła mieszanka, od kilku lat charakterystyczna dla MB – rozwój, ale również nadążanie za tym wszystkim, co dzieje się na nowojorskiej scenie. Świetnie brzmi w „Dump" gość może trochę niespodziewany, ale znakomicie wkomponowany we wschodni hardkor – Nate Dogg.

Poświęćmy dwa słowa promującemu płytę singlowemu „Got It Twisted". Słyszałem już w życiu kilka udanych beatów Alchemista, uważam tego faceta za jednego z najzdolniejszych w producenckim biznesie, ale moim zdaniem – po prostu przeszedł samego siebie. Prostota rzucająca swoim zdecydowaniem na kolana, do tego brudne, momentami wręcz niechlujne rymy i świetny refren. Banger wielkiego kalibru. Do tego jeszcze na płytce dostępna jest wersja delikatnie zremiksowana, w której gościnnie udziela się Twista.

Jeżeli chodzi o gości, to jest dość ciekawie, bo różnorodnie. Pojawia się Jadakiss w pulsacyjnym, niepokojącym „One Of Ours Part II", w elektrycznym „Real Gangstas" mordę drze Lil' John. Są też Littles i Noyd ze stałej ekipy Mobbów w utworze „Get Me", brzmiącym tak jak kiedyś brzmiało sporo produkcji z Queens. Gdy most nie był jeszcze zamknięty.

Jednak moim zdaniem na specjalną uwagę zasługuje współpraca z Kanye Westem. Raper ze stajni Jaya-Z nie jest wymieniony jako gość, bo nie usłyszymy go rapującego, pojawia się jednak z takim beatem, że można upaść i długo leżeć... Kanye generalnie ma lekkość tworzenia rozmaitych klimatów, efekt w większości przypadków jest znakomity, w „Throw Your Hands (In The Air)" przeszedł jednak samego siebie – klasyczna hiphopowa prostota zmieszana z przedziwnymi riffami gitary i instrumentów wiolinowych.

Mobb Deep potrafią wprowadzać nowe. Wciąż jednak pozostają sobą, bezkompromisowo poruszając uliczne tematy, często niełatwe. Nie dążą do tworzenia hitów za wszelką cenę, choć przecież potrafią zrobić taki „Got It Twisted". Można się jednak założyć, że ten utwór przyszedł im po prostu sam, nie starali stworzyć czegoś, co podbije listy przebojów. Pozostają sobą i wciąż robią najlepszy hardkor, jaki można sobie wyobrazić. **kowal**



DEOBE DENA
DEOBEDENA. COM
UMC

Deobe przy nieco wolniejszym nawijaniu przypominał Pezeta, w związku z czym wybrał proste rozwiązanie: przyspieszył. Niestety przy okazji wpompował adrenalinę we flow w sposób, który tylko u Małolata wypada w miarę naturalnie. A jak to brzmi u piastowskiego mc? Jak miotanie się, nerwowa pogoń za bitem. To męczy, tym bardziej, że ponakładane są na siebie ścieżki nienajczystszego wokalu. Napięcie mc przechodzi na słuchacza a ucho broni się samo i po chwili przestaje kon-

RECENZJE

NEWSY

Yo. Z przyjemnością zawiadamiam, że począwszy od niniejszego numeru, rubryka newsów w „Ślizgu" zyskała nowego headmastera. Wspomniana przyjemność jest tym większa, że jestem nim ja:) Mej radości nic nie jest w stanie zmącić. Ani tragiczny występ naszych olimpijczyków, ani oglądane codziennie w telewizorni brzydkie twarze rządzących nami panów i pań, ani nawet smutny w swej istocie fakt, że lato 2004 nieodwołalnie przeszło do historii. Tak bardzo szczęśliwy jestem, że aż się przedstawić zapomniałem. Otóż, Grabiszczy mi mówią i czuję się zaszczycony, że mogę być Waszym nowym dostawcą comiesięcznej dawki informacji o świecie hip-hopu. Pozostaje mi mieć nadzieję, iż po pierwsze, nie wyszedłem w tym intrze na zbytniego wazeliniarza, a po drugie, że po lekturze newsów będziecie zadowoleni, a Wasza żądza wiadomości w pełni zaspokojona. To tyle w sumie, jeśli chodzi o wprowadzenie, a teraz już jadziem z konkretami.

■ **Queen Latifah** wydaje we wrześniu piąty solowy album, który zatytułowała od swojego prawdziwego imienia „The Dana Owens Album". I tu niespodzianka – zamiast hip-hopu na płycie znajdą się klasyki jazzowe, soulowe i popowe. Na pierwszy ogień idzie singlowy cover „California Dreamin" The Mamas & The Papas. „Królowej" o tyle trudniej będzie wydawać z siebie potężne dźwięki, że poddała się operacyjnej redukcji piersi. „Czuję się znacznie lepiej. Nie bolą mnie plecy, a na ramionach nie mam odcisków od biustonosza". Teraz już łatwiej nam zrozumieć Pamelę :)

■ **Rick James nie żyje!** Jest on twórcą takich hitów, jak „Superfreak" i „Give It To Me Baby". Jego muzyka była wielokrotnie samplowana i to przez całą plejadę artystów (MC Hammera, Mary J. Blige, LL Cool J'a, Ja Rule'a czy Jennifer Lopez). James miał ciekawą przeszłość. Spędził niegdyś dwa lata w więzieniu za napaść na kobietę, kiedy był pod wpływem kokainy. 56-latek został znaleziony martwy w swoim domu w LA. Nie podano przyczyny zgonu, ale podejrzewa się, że dużą rolę mógł w nim odegrać niedawny powrót Jamesa do narkotyków...

■ Skoro już wspomniałem, to trzeba powtórzyć – **Talib Kweli** wydaje nowy album! Jest to czwarta jego płyta, a zatytułowana będzie „The Beautiful Struggle". Oprócz Jean Grae, Talib zaprosił do współpracy także bardziej znane panie – Mary J. Blidge oraz Faith Evans. Wśród producentów znajdą się natomiast Kayne West, Just Blaze i Hi-Tek. Premiera już 28 września!



■ **Black Eyed Peas** użyczą swej muzyki do gry „Urbz: The Sims In The City". Ścieżka dźwiękowa zawierać będzie aż dziewięć numerów z nadchodzącej płyty grupy „Monkey Business". Will. I. Am ma za zadanie zremiksować kawałki, a następnie Peas wrócą do studia, by je nagrać jeszcze raz – w języku gry zwanym Simlish. Oprócz tworzenia oprawy muzycznej grupa wystąpi także w samej grze! Will, Taboo, apl. de. ap i Fergie mają być doradcami gracza w zakresie poprawiania statusu społecznego Simów. Nie wszystko idzie jednak „Groszkom" tak gładko. W sierpniu stracili bowiem około pół miliona dolarów, kiedy spłonęło ich studio nagrań. Członkowie grupy wyszli ponoć na przerwę w czasie nagrywki, zostawiając zapalone świece. Ciąg dalszy wiadomy.

■ **Tha Alkaholiks** schodzą ze sceny! Ostatni wspólny album istniejącej od 1992 roku grupy ukaże się na początku 2005 roku, a nazwany zostanie „Firewater", czyli „Woda Ognista":) Będzie to już piąta płyta pijanych emcees. W planach jest jeszcze krążek „the best of" i kolekcja teledysków oraz pożegnalna trasa koncertowo-imprezowa. Trio

centrować się na zgrabnie poskładanych, przesadnie akcentowanych tekstach. Numery zlewają się ze sobą.

Dena robił to już jak Alchemist, robił to jak Erick Sermon, teraz Dena robi to jak Kanye. I fajnie? No niezbyt, te przyspieszone wokalne sample były już u wszystkich. Co oprócz tego – to samo rzemiosło co zawsze, numery odfiltrowane z emocji, które nawet kiedy mają być szalone jak w „oszaleliśmy", brzmią jak silenie się na coś niekonwencjonalnego. Tu zawsze czuć pot producenta, nigdy nie czuć blasku inwencji. Film „Ja, robot" pozwolił mi wyobrazić sobie przyszłość hip-hopu. Maszyny, którym dostarcza się próbki, wpaja ileś wzorców i kleją beaty. Jeżeli powstaną, powinny zostać nazwane „Denzel-2".

Prawdziwy problem nie dotyczy jednak twórców, bo ci i tak mają swój poziom, tylko tego, co jest między nimi. A raczej – czego nie ma. Mc'ing Deobe po prostu nie koresponduje z beatami Deny, tak jak nie korespondował Eldoka. Echo brzmi na nich dobrze, Jimson wręcz rewelacyjnie, ale D&D to duet wynikły raczej z rozsądku i kalkulacji, niż z magnetyzmu. Bardzo to słychać. Gospodarza zjada wspomniany Jimmy, zjada Tek, zjada Eskauebei (czas na płytę!), zjada Peude. Nie udaje się to tylko Manufakturze, która wyczynia flow i głosami coś tak potwornego, że niedługo pozostanie jej występowanie w peruczkach i z makijażem. Osobnym problemem jest Kada – ewidentnie utalentowana w kwestii aranżu wokalu, ale na płycie nie pasująca. Ile można słuchać nucenia pod nosem? Kiedy zaprasza na parkiet w „Samertajm", pozostaje wrażenie, że będzie się tańczyć fokstrota. Deobe to nie Numer Raz ani Duże Pe! Kiedy kolejny raz słyszę parafrazę refrenu „Hypnotize", to zastanawiam się, czy Kada zapomniała, że było to np. na TDF'ie, czy może ma wrażenie, że nagrywa kolejny „wyluzowany" spontan do Internetu? Szkoda, bo zepsuła najlepszy podkład Deny (funkujący bujacz tba), na którym na dodatek Deo dobrze się odnalazł. Drugi i ostatni przykład w pełni udanego funkcjonowania duetu to „Pamiętam Twarze Ich". Wreszcie jest czego posłuchać, raper dostał valium i przestał się szarpać.

Za pierwszym przesłuchaniem byłem podłamany. Z każdym kolejnym album zyskuje, co nie zmienia faktu, że pozostaje papką, bardzo średnim zestawieniem niewykorzystanego potencjału rapera z niedopasowanymi pod niego produkcjami. Flint (CS)



ABADDON
GODZINA KRZYWD
LOU & ROCKED BOYS

Weterani znów kąsają. Rzecz jasna Abaddon AD 2004 to nie ten sam zespół, jakim był dwie dekady temu i nie chodzi tylko o większą liczbę lat na karku. Muzyka prekursorów polskiego hard core'a zmieniła się. Nie można więc oczekiwać, by nowy, nagrany po reaktywacji album był powtórką z rewelacyjnego „Wet za wet".

Na rozdrożu, gdzie jeden z drogowskazów wskazuje „szybkość", a drugi – „ciężar", Abaddon wybrał drugą trasę. Nowe utwory są naprawdę potężne, wyposażone w mocarne gitarowe riffy. Trochę szkoda, że kosztem bardziej dopracowanego warsztatu ulotniła się gdzieś, znana z nagrań z lat 80., atmosfera obłędu i wyścigowa szybkość. Z drugiej jednak stron, lepiej, że Abaddon poszukuje nowych dróg, niż gdyby miał zająć się odcinaniem kuponów od przeszłości. Posługując się odwiecznym porównaniem bydgoskiej grupy do Discharge, jeżeli „Wet za wet" był dla Abaddona tym, czym dla Brytyjczyków ich LP „Why?", tak „Godzina krzywd" przypomina płytę „Shootin' Up the World". Wśród utworów, jakie złożyły się na „Godzinę krzywd" najlepsze wrażenie robią stare utwory – „Abaddon", „Zostań bohaterem" i przede wszystkim niesamowity „Zamknij się w sobie". Nowe teksty zespołu, oprócz tradycyjnych już apokaliptycznych wizji zagłady, poruszają bardziej „doraźne" tematy, takie jak polski nieporządek, wyzysk, podwójna moralność kleru itp.

Pomimo wszelkich wątpliwości, jest to naprawdę świetna płyta. Aż zacytuję jeden z utworów – „żadnych kompromisów, dosyć pierdolenia". I o to chodziło. /xSBTNx/

PS: Niebawem premiera wersji winylowej albumu.



HOUSTON
IT'S ALREADY WRITTEN
CAPITOL RECORDS

Houston ma na swoim koncie megahicior „I Like That", który utorował mu drogę na listy przebojów w Stanach, w którym to wyżywał się na publiczności do spółki z Chingym, Nate Doggiem i I-20. Sympatyczny tanecznizk tak się w USA spodobał, że został... motywem przewodnim kampanii McDonald'sa. A stąd już tylko krok do wielkiej kariery. Czy ją zrobi? Już na swój sposób zrobił, choć wątpię, by zapisał się w historii r&b na dłużej. Facet ma sympatyczny głos, nieprzesłodzony, momentami nawet dość zdecydowany, co w dzisiejszym czarnym męskim śpiewaniu za często się nie zdarza. Niestety, za głosem nie idzie jakiś wyjątkowy repertuar. Piosenećzki na tej płycie to raczej klasyczne banały, do potańczenia i poprzytulania partnerki. Niezłe wrażenie robi wersja klasyka z lat 80., „Love You Down", nieźle brzmi podjechany dancehallem rytmiczny „Keep It On The Low", oczywiście wrażenie wciąż robi „I Like That", ale poza tym... jest tak sobie. Sympatyczna płytka, której można sobie posłuchać, zapomnieć i może kiedyś do niej wrócić, chyba że akurat spadnie jej się gdzieś pod poziom najniższej półki regału...



DJ KRUSH
JAKU
SONY MUSIC WORKS

Japoński DJ i instrumentalista kolejny raz proponuje dawkę muzyki dla zdecydowanie odważnych ludzi. Jest mistrzem budowania klimatów, łagodnego wprowadzania w stan ukojenia, który za chwilę może zmienić się w nerwową zabawę tempami. Proste motywy muzyczne, często bazujące na japońskim instrumentarium, mieszają się w misternych suitach, formach na dobrą sprawę krótkich, ale brzmiących w uszach jeszcze długo po ostatnim akordzie utworu. Tu jazz miesza się z muzyką filmową, hip-hop wypełnia się z mrocznym funkiem (słyszalnym w niesamowitej pulsacji kawałków). Wszystko to jest jednocześnie bogate i oszczędne w brzmieniu. To taki paradoks, który można zrozumieć tylko słuchając uważnie tej produkcji. Podobnie zresztą, jak wcześniejszych dokonań japońskiego producenta. Krush fantastycznie bawi się wprowadzaniem monotonii – gdy wydaje ci się, że już nic więcej nie zdarzy się w utworze, nagle atakuje serią prostych, dosadnych, zniewalających dźwięków. I to atakuje dosłownie. Na płycie pojawia się kilku japońskich instrumentalistów i dwóch artystów z niezależnej wytwórni rapowej, Definitive Jux – Mr. Lif i AESOP ROCK. Rapowe kolaże wyjątkowych emcees i połamanych (zwłaszcza w „Kill Switch" z AESOP) beatów Krusha dają niezwykły efekt. To zresztą w ogóle niezwykła płyta, wymagająca czasu i sporej cierpliwości, by wydobyć z niej wszystko, co można, ale z pewnością warto poświęcić tych kilka godzin. A potem następnych... kow.

w składzie Tash, J. Ro i E-Swift chce zakończyć działalność w wielkim stylu, a następnie każdy z nich zajmie się własnymi projektami. E-Swift planuje wydać płytę z Madlibem (!), Tash chce nagrać swój drugi po „Rap Life" solowy album, zaś J. Ro szykuje się do wydania debiutanckiej solówki.



■ Przez dwa i pół roku czekaliśmy na czwarty solowy album **Eminema**. Czekać będziemy nadal, ale wiadomo już, że tylko do 16 listopada. Na ten dzień jest bowiem zapowiedziana premiera płyty pod nazwą „Encore". Brak póki co szczegółów dotyczących gości, pewny jest natomiast fakt, iż całość materiału będzie premierowa. Tymczasem Eminem i Dr. Dre troszeczkę narozrabiali podczas swojej wycieczki do Disneylandu w Orlando z córką Shady'ego, Hailie. Dzień w parku rozrywki spędzili spokojnie, zaczęło się, gdy zawitali do restauracji w hotelu Ritz-Carlton. Em miał zły humor (nie spodobała się Myszka Miki???), jego ochroniarze poturbowali zatem kelnera, który mu podpadł. Całe towarzystwo zostało wyproszone, a dodatkową przyczyną był ponoć... nieodpowiedni strój raperów. Bawią się chłopaki :)

■ Wytwórnia, która wydała na początku lat 90. pierwsze nagrania Black Moona (legendarny „Who Got The Props"), a później w ramach sub-labela Wreck Records promowała Smif-N-Wessun i Funkmaster Flexa, powraca do hip-hopu. **Nervous Records**, bo to o nich mowa, planują na początek wydać single Shyheima, Poison Pen i EPMD.



■ Wiadomości z zakręconego (i nieco zapomnianego) świata **Wu-Tang Clanu**. Pod koniec września na światło dzienne wyjdzie płyta z zarejestrowanym 17 lipca podczas festiwalu Rock the Bells wspólnym koncertem całej dziewiątki Wu z gościnnym udziałem Cappadonny, Street Life'a i Redmana. Album ma zwać się „Disciples of the 36 Chambers", a RZA wyraził nadzieję, że będzie on początkiem nowej ery Wu-Tangu. Ponadto, na 5 października planowane jest wydanie długo oczekiwanej pozycji książkowej pod tytułem „The Wu-Tang Manual". Podobno jest ona gotowa już w 80-90 %, a zawierać ma historię grupy i jej poszczególnych członków oraz wyjaśnienie numerologii i wschodnich filozofii składających się na tożsamość Klanu.

■ Nawiązując do motywu przewodniego niniejszego numeru SLG, mam dla Was interesującą wiadomość z West Palm Beach. Otóż, w tamtejszym kościele otworzono chrześcijański klub młodzieżowy o nazwie **U-Turn**, w którym co miesiąc odbywają się imprezy hiphopowe. Bez alkoholu, bez narkotyków, bez papierosów, w rytmie kaznodziejskiego rapu. Co gorsza, laski nie mogą nosić ciuchów, które odkrywałyby zbyt wiele ciała... Wróżę szybką rezygnację z tego pomysłu ze względu na niską frekwencję, szczególnie wśród płci męskiej :)



■ 21 września ukazuje się nowy album **Jean Grae**. Urodzona w RPA raperka znana jest przede wszystkim z gościnnych występów (ostatnio na „The Tipping Point" The Roots oraz na nadchodzącym albumie Taliba Kweliego, wcześniej współpracowała choćby z Masta Ace'em i Sharkeyem). Na płycie pod nazwą „This Week" skorzystała z produkcji między innymi 9th Wondera i Midi Mafii.

■ Z pogranicza hip-hopu i biznesu. **Lil Jon** właśnie wypuścił własną markę okularów przeciwsłonecznych oraz napój energetyzujący pod nazwą Crunk Juice. Foxy Brown z kolei przedstawiła swoją linię futer, których ceny dochodzić będą do 15 tysięcy dolarów. Spoko. Tymczasem Lil' Kim, nie



RED HOT CHILI PEPPERS
LIVE IN HYDE PARK
WARNER BROS. RECORDS

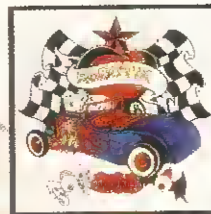
RHCP wielkim zespołem jest i co do tego pewnie nikt nie ma większych zastrzeżeń. Na muzycznym rynku mieszają od wielu lat, dochrapali się niejednej platyny i milionów fanów na całym świecie. Do Polski nie chcą jednak jakoś przyjechać, tak, że możemy pozazdrościć fanom z bardziej cywilizowanych krajów, do których jeżdżą regularnie. Żeby nam się lepiej zazdrościło, możemy sobie wrzucić ten albumik, dwupłytowy zapis koncertów, które miały miejsce w londyńskim Hyde Parku. Miały, gdyż w czerwcu RHCP grali w Lądku City aż trzy razy. W czasie koncertów zarejestrowano 26 tracków. Cóż, RHCP wiedzą, jak grać na żywo, choć ja zawsze będę się upierał, że Kiedis na scenie nie wypada zbyt przekonująco. Ale daje radę, podobnie jak reszta zespołu. Frusciante, Flea i Smith dają przy okazji znakomity popis możliwości technicznych i improwizacyjnych. Przy swoich utworach luźno bawią się aranżem, grając partie innych robią wszystko, by „pożyczone" utwory nabrały pepperowego brzmienia. A podczas grania tych gigów porwali się między innymi na takie kawałki, jak „Time Intro: Transmission" Joy Division czy „I Feel Love" Donny Summer. Na fajny żart w pewnym momencie koncertu zdecydował się Chad Smith – jako że zespół grał na Wyspach, perkusista RHCP pobębnił dobrze znane motywy Led Zeppelin, U2 i Queen, krótkie, ale fajne. Koncert za to wcale nie jest krótki i można się nacieszyć wielkimi hitami Pieprzy do bólu. Cieszcie się więc.



ARGIES
FAKE REACTION
LOU & ROCKED BOYS

Zespoły iberojęzyczne zawsze mają u mnie ogromny kredyt zaufania. Pochodzących z Buenos Aires Argies lubię o tyle bardziej, że zetknąłem się z chłopakami na żywo i okazali się wyjątkowo sympatycznymi, rozsądnymi ludźmi. Muzyka Argentyńczyków to „sam mjut", czyli melodyjny punk-rock z odrobiną ska i ogromną dawką latynoskiej zapalczywości. Argies wycinają krótkie, siarczyste pankroki z clashowym zacięciem i zaangażowanymi tekstami. Ostrze lewicowego przekazu grupy kieruje się zazwyczaj przeciw amerykańskiemu interwencjonizmowi – Jankesi obrywają choćby w „América caníbal" i przeróbce Beach Boys „Surfin' USA". Niechęć do Wujka Sama nie powinna nikogo dziwić, zważywszy, że Argentyńczycy poznali na własnej skórze wszystkie jego „dobrodziejstwa" (w przeciwieństwie do Polaków nadal platonicznie zakochanych w gwiaździsto-pasiastym micie). Sporo miejsca Argies poświęcają też ekonomicznej katastrofie swojej ojczyzny, o której śpiewają m.in. w tytułowym „Efecto reacción" i „Como desperdió usted hoy?". Właśnie te dwa utwory, obok „Otra prisión" (z chórkami jak w Bad Religion) to największe killery na płycie. Klasą dla siebie jest też „Nicaragua Sandinista", który to kawałek Argies zaadoptowali z repertuaru legendarnej baskijskiej formacji Kortatu.

W kategorii tradycyjnego, melodyjnego panczurstwa Argies są po prostu mistrzami, zostawiając takie popularne ekipy jak Rancid w tyle o kilka długości. Punk rock muy bueno! /xSBTNx/



ROBOTIX
WRAKOBILL
COSMIC REC.

Wrakobill rozjechał moje uszy. Druga płyta czołowej polskiej ekipy psychobilly idzie za ciosem debiutanckiej „Kosmicznej Odysei Helvisa". Mamy więc do czynienia z tradycyjnym psycho w punkowym wykonaniu i demonicznym emploi. Główne atuty nowych piosenek psychowców z Pułtuska to: mocne brzmienie, świetne chórki i napędzający całą tę maszynerię, pulsujący kontrabas. No i ta makabryczno-ironiczna atmosfera! Jest naprawdę nieźle, zwłaszcza przy hitach takich jak „Horrorfan", „Chucky" czy instrumentalna „Narew". Na sam koniec płyty, Robotix odpala jeszcze własną przeróbkę „Last Caress" Misfits (z rytmami ska!).

Kiedyś Arczi, perkusista Robotix powiedział mi, że Elvis żyje, ma się dobrze i mieszka w Pułtusku. Nie zdziwiłbym się gdyby w tym mieście zaszył się także i Hrabia Dracula, a fluidy obu tych panów wywarły swój wpływ na formację Robotix.

Polecam fanom rock'n'rolla, horrorów i... w ogóle wszystkim. /xSBTNx/



ARMIA
LEGENDA
METAL MIND PRODUCTIONS

Reedycja drugiej płyty zespołu Armia, nagranej na początku lat 90. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że minęło już prawie 15 lat. A jednak ten album nie zestarzał się ani trochę. Armia, klasyfikowana przecież jako zespół punkowy, przekraczała wszystkie granice, w jakich mieściła się muzyka tego gatunku. Dzięki niezwykłej współpracy członków zespołu (teraz jak nic tworzyliby rockową supergrupę, w skład Armii wchodzili wówczas m.in. Tomasz Budzyński, Robert Brylewski i Darek Malejonek) powstała płyta uduchowiona, liryczna, a jednocześnie dynamiczna i potężnie brzmiąca. Na osobną pochwałę zasługują też poetyckie, czasem trudne teksty Budzyńskiego, równie odległe od schematów punkrockowych jak muzyka zespołu. Kilkanaście lat temu album zrobił na mnie wręcz piorunujące wrażenie, podobnie zresztą jest i dziś. Ciekaw jestem jedynie, jak odbierać go będą słuchacze dziś... W każdym razie na pewno warto (może nawet trzeba) tę płytę poznać, bo jeśli miałbym ją określić tylko jednym słowem, to użyłbym po prostu jej tytułu. Legenda. (jd)

RECENZJE

NEWSY

przejmując się swymi kłopotami sądowymi (jest oskarżona o składanie fałszywych zeznań dotyczących strzelaniny, w której brali udział jej koledzy), szykuje się do wypuszczenia serii luksusowych zegarków we współpracy z Jacobem the Jewelerem.

■ W listopadzie w USA rusza szesnasta seria przygód rodziny Simpsonów. Jeden z odcinków zatytułowany będzie „Pranksta Rap" i wejdzie na ekrany na początku przyszłego roku. Bartowi udaje się dostać bez pozwolenia rodziców na koncert hiphopowy, na którym spotyka... **50 Centa**. Fifty już nagrał swój głos do odcinka, dołączając w ten sposób do artystów, którzy pojawili się w kreskówce, a m.in. są to Sting, Aerosmith i Blink 182.

■ Szykuje się nam potężna porcja gorącej kupy z południa. **New No Limit**, wytwórnia Mastera P, atakuje bowiem z czterema nowymi wydawnictwami. Na pierwszy ogień poszedł album Silkk The Shockera „Based On A True Story" (7 września). Następnie trzecią swoją płytę wydaje mały klonik tatusia, czyli Lil Romeo („RomeoLand" – 21 września). Po nim atakuje wydawnictwo składu TRU, czyli wspomnianego Silkka, Mastera P i osadzonego niedawno w więzieniu C-Murdera (cóż za odpowiednia ksywka...), a stanie się to w listopadzie. Natomiast sam szef NNL zasadza się najwyraźniej na rekord Krzysztofa Krawczyka i szykuje swój 11 już album zatytułowany „The Ghetto Bill Gates". Ufff...

■ Takie tuzy, jak Chuck D., Supernatural i Wordsworth, znajdują się wśród organizatorów konkursu **Slam Bush**, mającego na celu wyzwanie Jerzego W. Krzaka Juniora do powrotu do Teksasu, „gdzie jest jego miejsce". Dla artysty najlepiej dissującego prezydenta USA i piętnującego jego kłamstwa przewidziana jest nagroda 5 tysięcy dolara. Godna uwagi inicjatywa amerykańskich raperów. Postuluję przeniesienie jej na nasz grunt, tym bardziej, że wdzięcznych obiektów na polskiej scenie politycznej przecież nie brakuje.

■ **Pharrell Williams** również ma swoją linię ciuchów i butów – we współpracy z Reebokiem. W sierpniu firma wyszła z tym towarem poza USA. Ale nie to jest głównym wątkiem tego newsa. Otóż, gładki Pharrell stara się podobno zrobić raperkę z Aleshy, członkini popowej grupy Ms-Teeq... Zachęcił ją pewnego razu do zaprezentowania umiejętności do jego beatboksu, a z efektu był bardzo zadowolony. Następnie polecił piosenkarce zakup płyty Slick Ricka, by dzięki niej nauczyła się amerykańskiego akcentu...



■ Znany z białostockiego składu Jeden Siedem („Wielka Niewiadoma") raper **Tymi** powraca w towarzystwie Żółtego, producenta z Torunia. Ich album nazwany będzie „Znamię Doskonałości", wydany zostanie przez wytwórnie RRX Desant oraz Teiwu Label, a do sklepów trafi 27 września. Pierwszym klipem promującym płytę duetu jest „Gniew". Drugim będzie „Czy wiedziałaś" z gościnnym udziałem Lerka.

■ Drugi, bardziej rozpoznawany z członków byłego Jeden Siedem, czyli **Pih**, również szykuje się do wydania albumu. Licząc nagraną z Chadą „O Nas, Dla Was", będzie to już trzecia solówka tego emce. Wydawcą płyty nazwanej „Krew, Pot i Łzy", która światło dzienne ma ujrzeć w październiku, będzie Camey Studio. Wśród producentów wymieniani są Jajonasz, Teka i Magiera, a na mikrofonie mają pojawić się m.in. Pezet, Lerek, Mes i HST.



■ Chłopaki z **Ascetoholix** mogą mówić o dużym szczęściu. Audi A6, którym jechali Kris, Doniu, DJ Story oraz menadżer zespołu Przemysław Ziętek, uderzyło (zapewne nie samo) w przydrożne drzewo na trasie Lębork-Łeba. Hiphopowcom nie stało się nic poważnego, ucierpiał za to ich menago, który trafił na OIOM w Słupsku. Z pewnością jednak Asceci ucieszyli się na wieść, że do swych medalowych występów z ich muzyką w uszach wychodziła Otylia Jędrzejczak. „Motylia" przyznała, że w słuchawkach leciał kawałek „Suczki". Ponadto nasza mistrzyni lubi muzykę Libera i 18L.

.:Grabiszczy, Co Słowem Iłszczy:.


errorcthz.com
info : 042 6371972, 0603199388
error
error
CLOTHEZ
error
CLOTHEZ



O.S.T.R. cztery żywioły

POWIETRZE

Był taki moment, gdy obecność Ostrego w mediach sięgnęła zenitu i przypominała sytuację z antycznego już żartu o Leninie, w którym na koniec człowiek bał się otworzyć lodówkę, by nie znaleźć w niej wodza. Łodzianin gościł niemal codziennie w MTV za sprawą trzeciego w karierze albumu „Jazz w wolnych chwilach", pisały o nim wszelkie magazyny branżowe i okołobranżowe, dodatkowo kontynuował, wydawać by się mogło nieustającą od trzech lat, trasę koncertową po Polsce. Gdy tylko rozstał się z posadą prezentera w Yo! Raps, skierował energię na kolejne projekty muzyczne. Kiedy „Jazz..." trafił na półki sklepowe krążyły pogłoski, jakoby w Asfalcie czekała już kolejna gotowa płyta Adama, a w jego domowym archiwum na wszelki wypadek leżała zarchiwizowana reszta z 80 utworów, spośród których wyselekcjonowany był materiał na ostatnią płytę. Na drugim Kodeksie miał utwór „Czuję powietrze", i sam takim powietrzem się stał, po pierwsze, otaczając zewsząd, po drugie, dając przetrwać tym, którzy dusili się tandetą brzmieniową 2003, a pod jego koniec dostali podwójną dawkę tlenu. To pulsująca trąba powietrzna, wir tysiąca pomysłów. Właśnie bierze udział w dwóch nowych projektach – P.O.E. przygotowywanym razem z Emade oraz jeszcze bardziej eksperymentalnej rzeczy kreowanej z Haemem. To powiew awangardy z pokoju zadymianego codziennie jointami, wyż atmosferyczny który przyszedł tu z Kalifornii, bo trudno obu pomysłów nie zderzyć z niecodziennymi kooperacjami Madliba, manifestującym się poprzez płyty „Champion Sound" i „Madvillainy". Od niedawna jasne stało się także gdzie trafiają jego najlepsze podkłady – otóż O.S.T.R. uczynił z nich produkt eksportowy i fruną na rynek brytyjski. Znajomość z tamtejszym zespołem The Lost Souls zaowocowała stworzeniem kolektywu o nazwie Skill Mega, i trzeba przyznać, że pierwsze owoce współpracy wydają się nad wyraz apetyczne.

OGIEŃ

No dobrze, ale co robi Adam Ostrowski, kiedy nie nagrywa płyt i nie produkuje? Dla relaksu nagrywa freestyle. On po prostu urodził się by gadać, a kiedy dodać do tego talent do tworzenia rymów i wykształcenie muzyczne, powstanie mieszanka wybuchowa. Detonowana co występ krzesaną z siebie samego iskrą.

Nieodłącznym elementem show, jaki na każdy występ przygotowuje O.S.T.R. są szalone wolne style. Zresztą bardzo szybko uczynił z nich swój znak rozpoznawczy. Każdorazowo wypalając się do cna na scenie pokazał, że nie każdy polski raper podczas swojego koncertu musi gibać się autystycznie w przód i w tył, bądź nerwowo krążyć plącząc się w kable. On opanowuje scenę jak pożar. Jego freestyle ma zawsze jakiś plan. Kiedyś zaprosił na scenę losowo wybraną dziewczynę, o której nawijał przez dobre 10 minut. Słynne stało się również nawijanie o pożyczonych od publiczności czapkach. Nie trzeba oglądać wiadomości idąc na jego występ – zawsze nawiąże do najnowszych wydarzeń w linijkach, ponabija się z „autorytetów". Tak naprawdę trudno przewidzieć w którym kierunku rozprzestrzeni się ten płomień.

Kiedy O.S.T.R. zaczął się zajmować showbiznesem, wielu za najlepszego mc wolnostylowego uważało Tedego. Naturalnie więc publiczność czekała na konfrontację łódzko-warszawską licząc może na sensację pokroju konfliktu Gibon skład – Obrońcy Tytułu. Niestety panowie zawiedli wszystkich miłośników wojny, bo kiedy tylko stanęli na jednej scenie, uścisnęli sobie dłonie, wykonali przyjacielski freestyle, Warszafski Deszcz spotkał się z łódzkim Płomieniem, czego efektem był choćby utwór „Ziom za ziomem", sprawnie przypiekający ambicje kolejnych klonów. Ogień zawsze jest niespokojny. Wśród przeciwników Ostry ma opinię koniunkturalisty grającego „pod publikę", sam od dawna odpiera zarzuty mówiąc „a dla kogo mam grać? Dla Dj'a?". Z drugiej strony wydaje się osobą zbyt pochopnie angażującą się w konflikty, jak choćby ten dotyczący Dużego Pe na forum Asfaltu, czy beef z niewiele znaczącą na scenie ogólnopolskiej formacją Dwarazywu, której skłonny był poświęcić miejsce na oficjalnej płycie. Ale taki już jest. Ma się wrażenie, że na zawsze będzie płonął. Choćby miał palić mosty prowadzące do jego niedawnego Obozu.

WODA

Na szczęście większość ataków odpiera na tyle skutecznie, że kończą się już po pierwszym ciosie zadanym przez O.S.T.R.-a, zwłaszcza, że czasem potrafi być naprawdę uszczypliwy. Zmywać z pokładu, lunąć zimnym strumieniem na rozpalone głowy. Bo Ostry porywa, Ostry pali, ale przede wszystkim Ostry płynie. Jednym z elementów, które z miejsca pomogły mu znaleźć się wśród najlepszych raperów w Polsce były punchline'y, ale w parze z nimi szedł wypracowany już na debiutanckim albumie styl, nienaganna dykcja, dbałość o brzmienie, to, czego niektórym polskim raperom brak – talent i słuch. A przede wszystkim płynność i gadki i podkładu. Rozlewa się po werblach idealnie – gra głosem, gra akcentami, na chwilę zawiesza się jak fala, by chlusnąć w dół, wypełnia całym sobą przestrzenie między perkusją, basem a samplem. Parodiował flow kilku popularnych MC's z taką lekkością, jakby nosił je wcześniej w sobie. W zeszłym roku wywoływał euforię za pomocą raggamuffin-stylu skraplającego się na riddimach, a ostatnio pokazał, że ma najszybszy „wolny" w kraju brawurowo imitując Twistę z utworu Slow Jamz, deszcz słów niczym krople zagotował publiczność. Zresztą Adam jest przede wszystkim muzykiem i łatwość z jaką może zmieniać style, urozmaicać linię melodyczną wokali doskonale o tym świadczy. Kiedy już recenzenci mieli gotowe określenie „to jest flow Ostrego", on bezczelnie pokazał, że tak naprawdę może je dowolnie zmieniać. W dodatku wciąż się uczy nowych patentów i ewoluuje. Na szczęście jeszcze się nie zatracił w pogoni za doskonałością. Kiedy wydawało się, że jako producent idzie na łatwiznę opierając podkłady na przyspieszonych loopach z funkowych klasyków, wydał 42-utworową płytę przesyconą jazzem, który dla wielu potencjalnych słuchaczy jest muzyką zbyt trudną i za mało rozrywkową. Za to jak płynie, ile w tym harmonii. Kiedy wydawało się, że jest w stanie pisać tylko proste teksty z kilkoma mocnymi linijkami, on zaczął nagrywać utwory, które raczej przypominały strumień świadomości pełen podtekstów i niedomówień. Płynie jego muzyką, płyną na jego muzyce. Dostarczane ludziom z całej Polski podkłady jak życiodajna woda, pozwoliły wyrosnąć wielu zwrotkom.

ZIEMIA

Wychowywał się na jednym z największych osiedli Łodzi. Miejsca owiane złą sławą jak Bałuty, rodzą w mieszkańcach specyficzne więzi i kodeks postępowania. Ostry wydaje się być bardzo związany z ludźmi, z którymi dorastał. Podobnie zresztą jak i z miastem. W kolejnych nagraniach słychać wyraźnie, jak wiele czerpie z najbliższego otoczenia nie pozostając jednak dłużnym. Jednych wspiera finansowo, gdy zabraknie do przysłowiowego „pierwszego", innym służy pomocą techniczną przy nagrywaniu, a jeszcze innym doradzi jak doskonalić umiejętności. Jego region to jego świętość, oaza, punkt wyjścia kochany, choć czasem i nienawidzony. Czuje jego wibrację, czuje rytm jakim żyje.

Najnowszą inicjatywą Adama i znajomych z Tabasko Batalionu jest stworzenie labelu Tabasko Nagrania mającego promować lokalne grupy. Pierwszą wydaną płytą był debiutancki krążek Afrontu, który wiedział w jaką ziemię zapuścić korzenie i ufa „już tylko Ostremu". Mało kto wie, że zanim Ostry trafił do Obozu TA, współtworzył inne grupy, w tym LWC razem z Kasiną – mc należącym obecnie właśnie do Afrontu. „A miało być tak pięknie" to album, na którym można polegać. Gust O.S.T.R.-a jest niezmiennie dobry, niezmiennie odwołuje się do klasyki. To najlepsza gleba, więc nie dziwi to, że konsekwentne style trafiły na konsekwentne beaty.

***

Jest spontaniczny, otwarty, wręcz bywa ekstrawertyczny. Należy do ludzi, którzy nawet nie zauważają, jak podaje w radiu swój adres domowy, lub numer telefonu. Kiedy zaczyna mówić, nikt go nie przegada, w dodatku podczas jednej rozmowy telefonicznej jest skłonny puścić do słuchawki 20 nowych utworów. Z głową w chmurach, gardłem w ogniu, mokrymi plecami, ale czasem i twardo stojąc na ziemi. Rozwiał mit o nieuniwersalności polskich mc, spalił na wolnym wielu (choćby i na ostatnim Hip-Hop Kempie), zmył wiele brudu, jednocześnie sypiąc piaskiem w niektóre pary oczu. Cztery żywioły. O.S.T.R.

.:Wiedźma Cess (Czyste Słowa):.

THS klika

*liryka chodnika

album wkrótce...

STREFA 2
POZIOM 0
7—G06
ŚCIE

www.metoda.pl
info: tel/fax (+48) 022 575 54 25
kom: 0 501 027 167

METODASPORT



sztuka władania słowem
część 04

Wigor Mor W.A.

To już moje czwarte podejście do tematyki rapowania. Jeszcze raz chciałbym przypomnieć, że sposób, w jaki opisuję moje spostrzeżenia, to polski rap widziany moimi oczami. Bez cienia wątpliwości, w naszej rodzimej szkole wytworzyło się kilka charakterystycznych styli rymowania, dlatego nie uważam, że moje indywidualne podejście to wyznacznik dla wszystkich zainteresowanych. Jest jeszcze jedna ważna kwestia. Do większości z tych rozwiązań dobrnąłem samemu, dlatego tych, którzy mają się za samouków, nie nakłaniam do korzystania z moich spostrzeżeń, ale jeśli faktycznie mogę coś podpowiedzieć, to elegancko. Z drugiej strony staram się bardzo powoli i rozważnie stopniować dzielenie się z wami swoją wiedzą. Moja wiara w ludzi utalentowanych nie gaśnie. Jeżeli ktoś ma aspiracje do zostania rzetelnym raperem, musi mocno wierzyć w swój talent. Bez tego się po prostu nie obejdzie!

Jeśli ktoś pasjonuje się muzyką samą w sobie i chce stać się jej twórcą, powinien mieć o niej względne pojęcie. Najważniejszy ze zmysłów za to odpowiedzialny, to oczywiście słuch. Każdy wykonawca musi być na to wyczulony, a jego słuch powinien być nad wyraz wrażliwy na otaczające go zewsząd dźwięki. Pamiętaj o tym, że rap to uniwersalna muzyka łącząca w sobie pierwiastki prawie wszystkich możliwych gatunków. Jeżeli chcesz go tworzyć, musisz dużo słuchać innych nagrań, starać się rozpoznawać poszczególne instrumenty, proporcje brzmień i głośności zachowane pomiędzy nimi, jak również pomiędzy samym wokalem. Wypadałoby również wyłapywać, kiedy dany dźwięk stroi z innym oraz to, w jakiej kondycji realizacyjnej jest dane nagranie. Zazwyczaj to sam raper dobiera do swojego kawałka dany podkład, tak więc indywidualnie decyduje o tym, po jakim obszarze muzycznym będą poruszać się jego słowa. To nad wyraz istotna właściwość, ponieważ słychać po tym, na ile dany wykonawca ma wyrobiony zmysł muzyczny i czy sam potrafi do swojego repertuaru dobrać odpowiednią muzykę, a przy tym poprawnie wykonać swoje nagranie. Bardzo ważnym elementem jest sam pomysł na kawałek, który przez słuchacza zostanie zapisany w głowie jako oryginalny, w charakterystyczny sposób zinterpretowany utwór. Jak już wcześniej wspominałem, podstawą sukcesu jest umiejętność wkomponowania się danego głosu w podkład muzyczny. To ty sam podczas nagrania musisz wyraźnie w słuchawkach słyszeć, czy twój głos zgrywa się z muzyką, tworząc spójną kompozycję, czy też nie. Może być tak, że charakterystyka twojego głosu nie pasuje do podkładu, tak więc nic na siłę, ale zawsze możesz spróbować na kilka sposobów, żeby się upewnić. Najlepiej nagrywać bezustannie pod różnego rodzaju kompozycje, w których występują różne instrumenty. Można przez to określić, pod jakiego typu bity twój głos się sprawdza i nadaje im specyficzny klimat. Ja jestem zwolennikiem podejmowania muzycznych wyzwań. Staram się nagrywać pod przeróżne podkłady, ponieważ chcę, żeby moja twórczość była wszechstronna. Tak naprawdę, wszystko leży w kwestii upodobań oraz muzycznych gustów. Niektórzy wolą pisać pod dane bity, inni najpierw piszą, a potem dopasowują muzykę. Oba sposoby są właściwe, ale na etapie twoich początków zachęcałbym bardziej do pisania pod dane, dopasowane przez ciebie tempo nawet bez muzyki, a tylko z pomocą metronomu (np. klaskania). Jeżeli to muzyka porusza twoją wyobraźnię tekstową, pisz jedynie pod nią. Polecam również rymowanie pod zachodnie produkcje, co też potrafi zmobilizować, a głosy raperów w tle wcale nie muszą w tym przeszkadzać. Skoro już o samym pisaniu, to ciekaw jestem, jakie są wasze patenty na pisanie i jednoczesne układanie tekstu w danym rytmicznym rozmieszczeniu. Jeżeli macie pomysł i chcecie go szybko przelać na papier, to faktycznie nie ma na co czekać - trzeba pisać na szybkości, żeby myśli i rymy przypadkiem nie uleciały. Osobiście miałem już okazję tego doświadczyć i wierzcie, że można się poirytować, kiedy nie możesz przypomnieć sobie swoich pomysłów. Kiedy piszę tekst, automatycznie rozmieszczam go w odpowiednich podziałach rytmicznych. Przykładowo, piszę pierwsze pięć zdań i od razu przystępuję do interpretowania pod jakiś bit. Robię wszystko to, o czym mówiłem już wcześniej, czyli uwzględniam odpowiednie przerwy między słowami, wstępnie intonuję, itp. Jeżeli mam zastój, brakuje mi myśli albo rymu, to staram się nie zawieszać, tylko zaczynam na nowo rymować, do momentu zatrzymania, aż w końcu same rymy i myśli w danej chwili wreszcie się pojawiają. W taki sposób kawałek po kawałku tworzę nowy tekst i równocześnie uczę się jego optymalnej interpretacji. Po zakończeniu wypadałoby zarapować całość dla pewności jeszcze kilka razy i wtedy można uznać pracę za zakończoną.

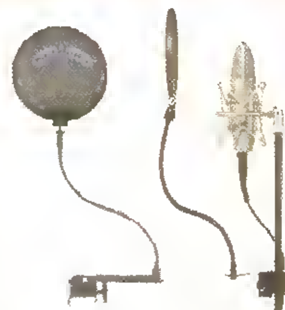
W poprzedniej części obiecałem, że będzie dużo o mikrofonach. Te informacje powinny przydać się wszystkim tym, którzy zamierzają zaopatrzyć się w to urządzenie, a zarazem umieć się nim posłużyć.

1) Profesjonalne mikrofony posiadają wykresy własnej charakterystyki. Im wykres bardziej zbliżony do linii prostej, tym lepiej (bardziej naturalnie), choć w przypadku wokali dobrze jeżeli dane pasmo jest lekko podbite w okolicach góry (5-12 kHz) i ma lekko podcięty dół, czyli bas od ok. 100 Hz w dół (niektóre mikrofony posiadają filtr górnoprzepustowy spełniający to zadanie).

2) Odległość od mikrofonu jest do wypracowania. Możesz nagrywać nawet bardzo blisko, byle nie przesterowywać sygnału. Im stoisz dalej, tym mniejsze jest zagrożenie przesterowania i możesz sobie pozwolić na głośne, donośne wokale. Zwróć uwagę, że każdy mikrofon pojemnościowy potrafi przenieść dość duże ciśnienie akustyczne jednakże stojąc blisko można tę granicę łatwo przekroczyć. Warto zainteresować się również efektem zbliżeniowym charakteryzującym się tym, że stojąc blisko mikrofonu uwydatniamy w wokalu niskie tony kosztem wysokich, a stojąc dalej - odwrotnie. Ta właściwość jest bardzo często wykorzystywana przy nagraniach lektorskich, a także w stacjach radiowych, przez co ten głos, który słyszymy, brzmi tak ciepło i przyjemnie dla ucha.

3) Starać się rapować jedną, ustabilizowaną głośnością i nie kiwać się przed mikrofonem. Dlaczego? O tym niżej.

4) Wysokość statywu winna być adekwatna do wzrostu, aby się nie garbić przed mikrofonem, ani też nie zadzierać głowy. Podczas nagrywania nie można stukać w statyw oraz tupać nogą, gdyż może to zostać zarejestrowane i nie jest zbyt łatwe do usunięcia.



rys 1. mikrofon z zainstalowanym „pop killerem"

5) Starać się nie syczeć, nie bulgotać, nie parskać, nie pluć do mikrofonu. Najważniejsze jest, by nie dmuchać w mikrofon!!! W celu zmniejszenia tych niepożądanych efektów warto zaopatrzyć się w tzw. pop killer (pończocha częściowo niwelująca działanie zgłosek wybuchowych oraz dmuchnięć, rys.1).

6) Zorientować się, jakie jest przeznaczenie mikrofonu, nie na każdym bowiem można nagrać wokalizy. Warto również zainteresować się charakterystyką mikrofonu, choć przy domowym (amatorskim) nagrywaniu wokali nie jest ona najważniejsza. Charakterystyka ta określa czułość mikrofonu na poszczególne częstotliwości względem kierunku ich pochodzenia. Od niej zależy, czy będziemy mogli się pobujać przed mikrofonem, a także czy będziemy mogli bezproblemowo nagrywać wokale równocześnie z innymi osobami.

W mikrofonach pojemnościowych najczęściej stosowana jest charakterystyka ósemkowa zbierająca wokal z obu stron (przód i tył), a tłumiąca go po bokach, albo hiperkardionalna, która zbiera głos jedynie z przodu mikrofonu. W małym domowym studio taka charakterystyka pozwala na zniwelowanie (lub zmniejszenie) pogłosu pomieszczenia, szumów dochodzących z komputera czy chociażby zza okna.

7) Przy nagrywaniu powinien być odsłuch słuchawkowy i to najlepiej ze słuchawek zamkniętych, by dźwięk z nich nie przedostawał się do mikrofonu. Pamiętać należy o tym, by nie był on zbyt głośno, bo nie usłyszy się wielu niuansów we własnym nagrywanym wokalu.

8) Słuchać samego siebie i dobierać odpowiednie proporcje głośności wokalu w stosunku do podkładu. Nie drzeć się za wszelką cenę, jeżeli się nie słyszy. W tym celu należy poświęcić kilka minut na odpowiednie ustawienie proporcji między własnym wokalem a podkładem muzycznym. Zawsze da się to zrobić i nie jest to kłopot, a wygoda dla nagrywającego i nagrywanego.

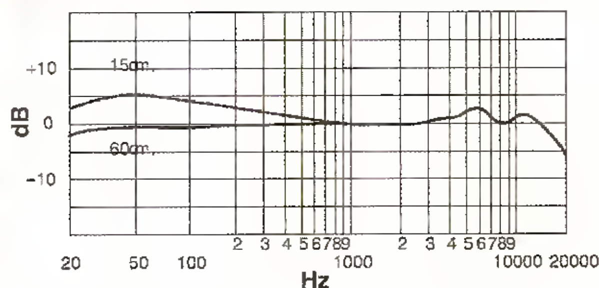
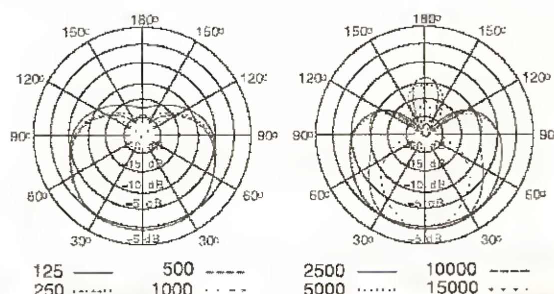


FIGURE 4. TYPICAL CARDIOID FREQUENCY RESPONSE



rys 2. Pasma przenoszenia mikrofonu dla charakterystyki sercowej. Zwróćcie uwagę na „efekt zbliżeniowy" (podbicie basu – górny rys.) oraz na charakterystykę częstotliwościową zależną od pozycji źródła dźwięku.


MOROSP
78
MORO sport


Sport
Moro


MOROSPORT
78


MOROSPO
78

the Infamous mobb deep



Mobb Deep jest ekipą znaną chyba każdemu fanowi hip-hopu. W 1995 r. wydali swoją drugą płytę (ich pierwszy album pozostał niezauważony) „The Infamous" i stało się. Nowojorski świat z okolic Queens Bridge popłynął w świat, a dzięki szczerej, ulicznej nawijce Havoca i Prodigy'ego Mobb wyrobili sobie markę i zyskali fanów na całym świecie. Przy okazji przytulili parę dolarów, co jest normalne w amerykańskim szołbiznesie. Potem wychodziły następne płyty „Hell On Earth" i „Murda Muzik", na których Mobb idealnie trafiali w wielkomiejski, ciężki klimat snując swoje opowieści z osiedli i życiowych przygód. Co płyta, to kozacka, i to bez zajawek na diamentowe domy i historii o bzdurach. Wszystko skromnie (bez przesady oczywiście) i na temat, zawsze blisko ulicy i najlepiej ze swoimi ziomkami – i co najważniejsze – szczerze wobec słuchacza – to chyba sposób Mobb Deep na istnienie na scenie już ponad 10 lat. Przy okazji umożliwili też karierę kilku ziomków ze swojej okolicy, między innymi Big Noyd. Big Noyd zagrał też główną rolę w filmie do którego scenariusz napisał Prodigy. Film ma tytuł jak trzecia płyta: „Murda Muzik" i został zrealizowany w tym samym czasie (1999 r.) jednak wydano go dopiero w 2004. W ogóle branża filmowa wydaje się bliska chłopakom. Udzielają się przy produkcji teledysków, do swoich nowych płyt dołączają dodatkowe płyty DVD. Jednak wcale nie przestają nagrywać równocześnie. W 2000 r. pojawia się solowa płyta Prodigy'ego „H.N.I.C.", jeszcze jedna płyta w całej grupy: „Infamy" i szybko rozchodzą się drogi Mobb Deep i wytwórni Loud.

Chłopaki z Queens Bridge jednak w dalszym ciągu się rozkręcają. W nowej wytwórni pojawia się dwupłytowy album „Free Agents the Murda Mixtape", na którym pojawia się wielu znajomych z QB i który wcale nie jest tak do końca mikstejpem. Potem szybko zmiana barw na wytwórnię JIVE, która wraz z kontraktem daje pieniądze i możliwości na zrobienie przez duet Prodigy – Havoc własnego studia IM3 Records i wydanie następnej płyty „Infamous Allegiance part 1", na której była cała masa gości: Alchemist, Busta Rhymes, Capone i Noreaga i wielu innych. Do płyty dołączona była też płyta DVD, prawdziwy rarytas dla fanów, prawie dwie godziny z prywatnej kamery Prodigy'ego. Zdjęcia z osiedla, z imprez, ze studia, samo prawdziwe życie Mobb Deep. Podobny materiał jest też dołączony do płyty ekipy Infamous Mobb „Blood Thicker Than Water", można znaleźć tam jeszcze więcej akcji z podwórka Queens Bridge.

Niedawno wyszła najnowsza płyta Mobb Deep „Americaz Nightmare", o której na pewno niedługo będziemy pisać w SLG, a na razie sprawdźcie krótki wywiad, którego Havoc i Prodigy udzielili nam przed swoim koncertem w warszawskiej Stodole.

Zdawaliście sobie sprawę, że jesteście tak popularni w Polsce?
Nie mieliśmy o tym pojęcia. Teraz właśnie jesteśmy w trasie. Byliśmy w Londynie, w Norwegii, w Szwajcarii. I wszędzie spotykało nas zajebiste przyjęcie. Ludzie kochają Mobb Deep, my kochamy ludzi.

Dużo podróżujecie?
To nasz drugi raz w Europie, pierwszy w Polsce. I przysięgam, że nie wiedziałem, że tu słuchają rapu, co dopiero, że znają Mobb Deep. One love, Poland!

Wiecie, że to jest jedyny wasz koncert w kraju i wielu ludzi ludzi przyjeżdża specjalnie z całej Polski, żeby was zobaczyć?
Dzięki, ludzie! To dla was gramy i robimy to, co robimy.

Lubicie grać na żywo? Gdzie się lepiej gra, w Europie czy w USA?
Europejczycy wydają się bardziej doceniać to, co robimy, nie to, że w Stanach jest słabo czy coś, ale tu ludzie bardziej się wczuwają. W Londynie ludzie wbijali się do nas na scenę, skakali sobie na głowy, musieliśmy na chwilę przerwać koncert, aż się wszystko uspokoi.

Myślicie, że ludzie na całym świecie rozumieją wasze teksty?
Chyba tak i to jest właśnie niesamowite. Znaczenie tekstów jest podobne wszędzie. Są jakieś granice kulturowe, ale sens zostaje taki sam dla wszystkich.

Teksty Mobb Deep mają zachęcać do ulicznych akcji, czy przestrzegać przed życiem na ulicy? Uczycie czegoś ludzi?
Nasze teksty są dokładnie po to, żeby można się było czegoś z nich nauczyć. Ludzie często źle nas rozumieją, myślą, że jesteśmy niewiadomo jakimi kozakami. Słyszą w kawałkach strzały, opowieści o kombinowaniu i myślą, żeby to robić naprawdę, a tu chodzi o to, żeby pomyśleć tak: posłuchaj co się dzieje, co może się stać – i pomyśl, czy chcesz tego naprawdę. Zawsze może być jakaś lepsza droga...

Niedługo wasza nowa płyta „Americaz Nightmare". Co na niej będzie?
Mobb Depp!!! Sto procent hip-hop, robimy swoje i nie oglądamy się na innych, to płynie prosto z nas i nie moglibyśmy zrobić nic innego. Sprawdźcie „Americaz Nightmare" wkrótce!

Co dalej? Jakieś solowe projekty?
Robimy swoje. Prodigy kończy swój drugi solowy album. Ja pracuję nad pierw-

szym. Mamy też plany wydawać artystów w naszym labelu Infamous Records założonym przy Jive. Będzie się dużo działo. Prodigy robi filmy...

... no właśnie, wypuściliście na rynek „Murda Muzik", film na DVD. Będziecie to jakoś kontynuować?

Pewnie. Niedługo będzie „Infamous Allegiance" część druga. Chcemy to robić i pokazywać jak wygląda ulica. I nie robi tego za nas wytwórnia czy ktoś inny. Robimy to my sami, Mobb Deep dla naszych fanów. Robimy to też po to, żeby pokazać, że nie trzeba nie wiadomo jakich środków, żeby robić takie akcje jak my. Każdy małolat może wyjść przed blok z kamerką i nagrać teledysk, tak jak my. Poza tym udzielamy się też przy produkcji profesjonalnych teledysków, np. widzieliście nowe wideo Jadakiss?

Nie, jeszcze nie.

Robiłem go. Co jeszcze? Lloyd Banks z Tony Yayo i jeszcze kilka innych.

Wiadomo już co robicie, powiedzcie teraz, czego słuchacie? Co wam się podoba ostatnio?

Jest kilku artystów, których szanujemy, ale dla nikogo nie mamy tyle respektu, co dla Mobb Deep!

Macie jakieś koneksje ze światkiem sportowym, interesujecie się deskorolką, snowboardem? Bo o tym też jest nasza gazeta...

Skateboarding to bardzo fajna rzecz, znamy paru skejterów – Chad Muska, yyyyyy.. i innych. Pozytywna sprawa.

W Polsce to właśnie wśród deskorolkowców Mobb Deep miał grupę najwierniejszych fanów. Co robi z Mobb Deep tak uniwersalny skład, że słuchają tego nie tylko hiphopowcy?

Po prostu jesteśmy sobą, po prostu hardcore. To nie jest komercyjne gówno, to jest w głębi nas i to jest prawdziwe. Ludzie to czują. Wielu raperów idzie na łatwiznę, sprzedają dużo i łatwo, rapują o bzdurach, ale już po roku, dwóch nie mają o czym nawijać, są wypłukani. My robimy to naprawdę z sercem, interesujemy się tym i wkładamy w nasz rap wszystkie siły i to się opłaca. To najszczersza prawda. Może nie sprzedajemy milionów płyt, ale ludzie nas kochają.

Dzięki za ten krótki wywiad, życzymy udanego koncertu i powodzenia. Słowo na koniec?

Dzięki dla wszystkich tych, którzy wspierali Mobb Depp przez cały czas.

.:wywiad i foto Fotoedytorrr:.







the Infamous **mobb deep**

druga edycja ogólnopolskiego konkursu pop dj zakończona sukcesem!



4 września w samo południe w Empiku MEGASTORE JUNIOR odbył się ostatni etap ogólnopolskiego konkursu młodej sztuki dj-skiej – wielki finał konkursu POP DJ!

Przesłuchania 16 finalistów – najlepszych DJ-ów z 8 miast Polski okazały się prawdziwymi muzycznymi pojedynkami granymi na żywo w obecności jury i licznie zgromadzonej publiczności. Jury oceniło profesjonalizm DJ-ów, a publika swoją reakcją potwierdziła, które miksy kołyszą najlepiej.



wielki konkurs, wielkie talenty

POP DJ to nie kolejna zwykła impreza muzyczna. Ten stworzony przez fanów i dla fanów konkurs wspierają najważniejsze hiphopowe i klubowe magazyny: Magazyn HipHop i Laif, stacja telewizyjna VIVA TV, Radio ESKA czy Empik News.

Przede wszystkim jednak o poziom i atrakcyjność konkursu dbają zaangażowane w akcję gwiazdy hiphopu i clubbingu: DJ FeelX, DJ Sorbee, DJ Poziom X.



zwycięzcy

Kto wygrał? Najlepsi z najlepszych, bo poziom tegorocznych finalistów był bardzo wysoki. Oto oni: w kategorii clubbing DJ ROCKET, w kategorii hiphop DJ EPROM. Na wygranych spadł deszcz nagród. Wyjechali z konkursu z profesjonalnym sprzętem dj-skim firmy Vestax (gramofony i miksery) i zestawami z telefonami Idea POP.







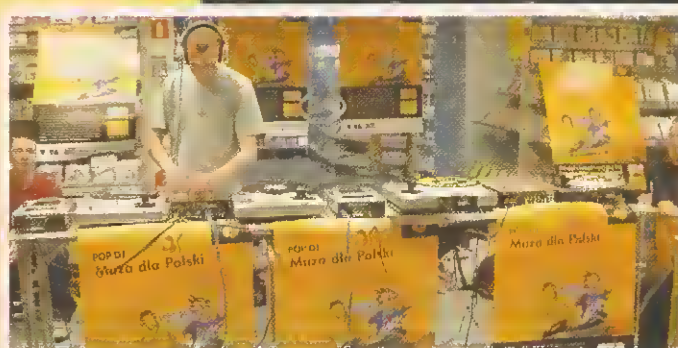
finalne afterparty gigantów!

Po konkursie w klubie Skarpa rozpoczęło się i trwało do rana finałowe afterparty z udziałem gigantów hiphopu i clubbingu. Prócz wybranych najlepszych DJ-ów drugiej edycji konkursu wystąpili także giganci hiphopu i clubbingu: Abra dAb & Gutek, Wojtas (WYP3) & Borixon, PSF, Fu, Peja & Wiśniowy, dj FeelX, Lady Marika & Frenchman, Automatik, dj Sorbee, dj Poziom X.
Na zabawę przyszło ponad 2500 osób. Nie było tej nocy gorętszego miejsca w Polsce!



dobra idea

Nie byłoby trwającego parę miesięcy konkursu i dobrej zabawy, gdyby nie główny sponsor Konkursu POP DJ, czyli Idea POP. Wszyscy, którzy bawili się w czasie konkursu wiedzą już, co to znaczy mieć dobrą Ideę. Zresztą zajrzyjcie na stronę www.popaki.pl, zobaczcie twarze mistrzów DJki 2004 oraz zdjęcia z klubu Skarpa. Aha, no i przygotujcie się na Konkurs POP DJ 2005!



Kim jest Gutek – wie każdy. Nie każdy być może jednak wie, że oprócz występów na wielu hiphopowch płytach na co dzień udziela się on w swojej formacji – Indios Bravos, którą tworzy wraz z Piotrem Banachem, niegdyś członkiem rockowej grupy Hey. „Ta nazwa oznacza w języku hiszpańskim „Indianie waleczni". My, tak jak ci właśnie Indianie, nie chcieliśmy dać się muzycznie zamknąć w rezerwatach, czyli, mówiąc mniej metaforycznie, nie chcieliśmy być „oswojeni" przez dużą wytwórnię płytową, spełniać żądań rynku" – mówi Banach. Postanowiliśmy zaprezentować na naszych łamach grupę tworzącą „niepokorne reggae", mając świadomość, iż wielu z Was może okazać się bardzo bliska.

Wasza pierwsza płyta została niezauważona, chociaż miała swoją wartość. Jak to się stało?
Banach: W tych kręgach, w których my się obracamy, ona została zauważona, wręcz uzyskała status białego kruka, płyty kultowej. A promocji nie miała z założenia. Powstawała przez 3 lata, w taki sposób, że Gutek do mnie przyjeżdżał, graliśmy na konsoli, coś próbowaliśmy śpiewać – jak nie wychodziło, graliśmy dalej na konsoli, albo oglądaliśmy filmy na video (śmiech). Krótko mówiąc, nagrywaliśmy tę płytę zupełnie bez ciśnienia, dlatego bez ciśnienia podeszliśmy również do promocji.

je się coraz bardziej przystępna. Ona jest kulturowo bardzo bliska dzisiejszemu mainstreamowi, czyli muzyce hiphopowej, która swoje korzenie ma też w reggae. To jest właśnie odkrywanie korzeni. Ludzie coraz częściej znają dancehall – na całym świecie wiedzą, kim jest Sean Paul czy Bob Marley. Ta wibracja cały czas istnieje i w tej chwili przybiera na sile. To się dzieje cyklicznie, tak, jak lata osiemdziesiąte były mocnymi latami reggae, tak i teraz następuje ich powrót.
Banach: 20 lat temu reggae w Polsce było bardzo popularne. Ja wtedy zaczynałem grać tę muzykę i pamiętam, że festiwale, na których występowałem, były zawsze bardzo oblegane, przychodziło na nie mnóstwo ludzi. Koncertów reggae było sporo, często nawet transmitowała je telewizja, a kawałki puszczało radio. Świat showbiznesu to pewna cykliczność: moda wygasa, potem się odradza, a ponieważ minęło od tamtej pory 20 lat, myślę, że przyszła pora na odrodzenie.
Chcielibyście, żeby reggae było tak popularne jak hip-hop w tej chwili?
Banach: Nie. Nie zależy mi na tym, ponieważ popularność zawsze przyciąga i w konsekwencji pojawia się mnóstwo przypadkowych ludzi, a kiedy pojawia się mnóstwo przypadkowych ludzi, koncerty przestają być misteriami. Bo jeśli odbiorcy są zaangażowani, przychodzą i świadomie słuchają, to jest to misterium. A kiedy przychodzą ludzie tylko dlatego, że jest to modne, nie może być o tym mowy. Reggae musi być muzyką walczącą, muzyką, która oddziałuje nie tylko na uszy przez melodię, ale na umysły i na serca. W momencie, kiedy stanie się popularna, zatraci swój cały przekaz, bo przekaz wpajany z każdej strony, po raz setny ten sam, traci zupełnie na wartości.
Gutek: Wystarczy spojrzeć na duże, hiphopowe spendy, które odbywają się od kilku lat (odkąd ktoś zauważył, że na tym robi się pieniądze) w każdym niemalże dużym mieście, we Wrocławiu, Poznaniu, Katowicach, Opolu... Te koncerty strasznie tracą na tym. Granie na festiwalach ma coś fajnego w sobie, ale kiedy festiwal zrzesza muzyków tylko jednego gatunku, po trzecim zespole ma się tego dość. Niestety, w Polsce poziom większości wykonawców hiphopowych jest naprawdę średni i daleko im do umiejętności scen zachodnich, dlatego słuchanie tych grup jest tak nużące. Ja np. nie mogę strawić koncertów, na których występuje nawet czołówka polskiej sceny, nie jestem w stanie obejrzeć więcej, niż dwóch występów. Uważam, że ta popularność szkodzi i bardzo wiele odbiera. Imprezy są czasami po prostu żenujące.
Więc jak ci się współpracowało z polskimi raperami, nieraz zupełnie różnymi?
Gutek: Ja akurat mam taką zdolność, że jestem w stanie wczuć się w różne klimaty, bo bardzo podoba mi się zarówno styl, jaki prezentują Vienio i Pele (słuchałem Molesty od samego początku), jak i to, co robią Dizkret, Praktik, Fisz czy Łona. Lubię czasami posłuchać PIH'a, czy Wilka, i nie mam nic przeciwko tzw. hardkorowi, chociaż nie są to rzeczy aż tak bliskie mojemu sercu. My się też znamy już kupę lat, ja jeździłem po rapowych imprezach od początku, bo kumplowałem się z Dabem, Magikiem i Joką (jeszcze za czasów, kiedy w Polsce hiphopowych zespołów było może pięć) i miałem okazję poznać tych ludzi. Zawsze oczywiście robiłem swoje. Zanim zacząłem nagrywać z hiphopowcami, miałem swoją drogę i to właśnie dzięki Piotrkowi rozwinąłem się w śpiewaniu, chociaż kiedyś wydawało mi się, że nigdy nie będę wokalistą reggae. Aż okazało się, że to ono jest najważniejsze w tym wszystkim, dlatego zaznaczam ten pierwiastek w muzyce hiphopowej – niezależnie, czy jest to rap dla tzw. intelektualistów, czy dla imprezowiczów.
To prawda, że Piotrek bardzo ci pomógł?
Gutek: Nie chcę mu za bardzo słodzić... (śmiech).
Banach: Cóż, jestem od Gutka o 14 lat starszy. Kiedy się poznaliśmy, on miał 16, ja miałem 30, w naturalny więc sposób byłem znacznie bardziej doświadczony, i muzycznie, i życiowo. Starałem się mu to doświadczenie przekazywać.
Gutek: O muzyce, o kobietach (śmiech). Nie ukrywam, że Piotrek miał duży wpływ na moją osobowość i moje spojrzenie na muzykę. Jest dużo mądrzejszy ode mnie.
Jak się poznaliście?
Gutek: Znalazł mnie dawno temu i pomyślał: „spoko, może kiedyś będzie coś z niego" (śmiech).

GUTEK & INDIOS BRAVOS







Do kogo więc płyta dotarła?
Gutek: Do ludzi związanych z muzyką reggae w Polsce, a tych jest, wbrew pozorom, całkiem sporo. Bo chociaż reggae nie gości w mediach, ma swoich stałych odbiorców, są to całe rzesze ludzi, którzy przychodzą na koncerty czy na festiwale, i do nich nasza płyta trafiła.
Banach: Jest w tej chwili nie do zdobycia, wyczerpał się nakład. Wszyscy się nas pytają, gdzie ją można dostać, a my rozkładamy ręce, bo firma, która ją wydała, nie istnieje. Jedyne, co można zrobić, to przegrać sobie od kogoś i tak właśnie ludzie robią.
Powiedzcie, czy taka działalność, wręcz podziemna, ma przyszłość?
Banach: Dla nas jak najbardziej. Nie jesteśmy zachłanni, zadowala nas to, co mamy. Wiadomo, że będziemy chcieli mieć więcej, ale nie aż tyle, żeby nie móc tego unieść. Bo jeżeli zaczyna się być bardzo popularnym i zaczyna się uczestniczyć we wszystkich wyścigach muzycznych, przynosi to w pewnym momencie więcej stresu i problemów, niż pożytku. Może to się komuś wydać nieprawdziwe, ale ja biorę odpowiedzialność za swoje słowa, bo tego zaznałem. Kiedy stajesz się popularny, nagle okazuje się, że wielu ludzi cię nie lubi za nic. Ktoś podchodzi, wytyka cię palcem i chociaż cię nie zna, nienawidzi cię tylko dlatego, że jesteś w radio czy w telewizji. A polski rynek tym różni się od zachodniego, że nie przynosi tak dużych profitów. Tam artyści, którzy odnoszą sukces, zarabiają duże pieniądze, za które kupują sobie willę, drogi samochód i mogą w ten sposób odreagować. U nas muzyka nie przynosi takich zysków i cały ten stres się po prostu nie opłaca.
Drugą płytę nagraliście po trzyletniej przerwie. Co się przez ten czas zmieniło?
Banach: My się zmieniliśmy. Gutek zaczął współpracować ze sceną hiphopową, ja jeździłem dużo po świecie, siedziałem gdzieś za granicą, wyciszałem się, uspokajałem, dochodziłem do pewnych wniosków. Nagrywaliśmy tę płytę inaczej, niż pierwszą, również w domu, również tylko we dwójkę, ale chcieliśmy już bardziej przypominać żywy zespół, taki, jaki mieliśmy w planie uruchomić na koncertach. O ile pierwszą płytę nazywaliśmy cyber-reggae, tak druga jest po prostu inspirowana muzyką reggae.
A jak jest z odbiorem reggae w Polsce, czy ta muzyka zyskuje na popularności?
Gutek: Tak, grono słuchaczy stale się zwiększa, chociażby dlatego, że coraz więcej osób ze środowiska hiphopowego chce słuchać reggae. Hiphopowi wykonawcy często dzwonią do mnie z propozycją, żebym zaśpiewał im refren, co dowodzi tego, że ta muzyka sta-

Banach: Kiedyś Gutek występował w blues-rockowym zespole Overmind i kiedy zobaczyłem go na scenie, od razu przykuł moją uwagę, ponieważ był bardzo charyzmatyczny. Na początku, kiedy już się poznaliśmy, szukaliśmy innej drogi, ponieważ śpiewał właśnie blues-rock. Ale ja zacząłem podsuwać reggae, ponieważ to od zawsze we mnie tkwiło. Ponieważ on o reggae nie miał pojęcia, wydawało mi się, że nie będzie to proste, ale okazało się inaczej. Dałem mu kiedyś, na jednej z prób, podkład reggae i powiedziałem: „spróbuj do tego". Spróbował i się udało. Z dnia na dzień powstało Indios Bravos.

Częściej jesteś kojarzony jako członek Indios Bravos, czy jako wokalista na płytach hiphopowych?

Gutek: Są ludzie, którzy słuchają Indios Bravos i nie znają moich dokonań hiphopowych, natomiast generalnie, wśród młodzieży, jestem znany jako Gutek albo od Paktofoniki („Ja to ja"), albo Gutek od Abradaba, albo Gutek od Vienia i Pelego – to są te trzy rzeczy, z którymi jestem kojarzony.

Banach: A jako ciekawostkę powiem (bo o tym się nie wspomina), że Gutek po raz pierwszy zaistniał na płycie rockowej grupy Hey.

Gutek: Tak. A druga była płyta Warszafskiego Deszczu i kawałek „Re-Relaxuje", gdzie śpiewałem chórki. Nie słychać tam mojego wokalu, tylko dźwięki.

Zawsze się zastanawiałem, gdzie tam jest Gutek.

Gutek: Widzisz, mój wokal był potraktowany instrumentalnie. Tak miało być. Kupa ludzi mi mówiła: „ale cię wyrolowali", ale to nie miał być kawałek, w którym miałem śpiewać.

Sporo podróżujecie, zgadza się?

Gutek: Jeśli chodzi o granie, Piotrek zaczął podróżować 15 lat temu...

Banach: Tak, jeździłem z różnymi zespołami, widzieliśmy kawałek świata. Gutek jeździł grać do Holandii, śpiewał na ulicach Amsterdamu (jeszcze w czasach liceum), ja jeździłem w tym samym czasie do Nowego Jorku, zwiedziliśmy też Francję, a już nie jako muzyk, ale jako poszukiwacz dźwięku, byłem w Japonii. Przez pół roku mieszkałem nawet w Paryżu. Gutek koncertował i w Londynie, i we Francji, i w Wiedniu. Mamy dzięki temu trochę porównania.

na przyswajalność dźwięków (jakby nie było, rozrywki), to już jest niedobrze. Ja wolę, kiedy ludzie mają swój gust muzyczny, nie poparty żadną gradacją społeczną. „Ja jestem w porządku i ty jesteś w porządku, bo słuchamy zespołu X, a ty jesteś kretynem, bo słuchasz zespołu Y".

Miałem na myśli, że do wielu ludzi dociera głównie to, co pokazuje telewizja, nie szukają głębiej.

Gutek: Nie wiedzą, że w Polsce można słuchać muzyki z Mongolii, kompletować nagrania z Kuby, a oprócz tego słuchać reggae i hip-hopu, nowego jak i oldschoolu. Polacy nie mają wyrobionego nawyku szukania muzyki. Wielu ludzi nie pomyśli o tym, że czasami lepiej jest wyłączyć to radio i iść do sklepu muzycznego, poszukać czegoś ciekawszego niż to, co nam podają na tacy.

Banach: Ale też nie możemy przyjąć, że wszystko to, co leci w radio i w TV, jest złe. Nie, jest bardzo wiele wspaniałych piosenek pop, tak samo jak i są koszmarne piosenki pop, ale wydaje mi się, że te koszmarne piosenki pop się nie przyjmują. Może ktoś na siłę lansować jakiegoś wykonawcę, bo taka jest akurat koniunktura, ale to nigdy nie ma przełożenia na tłumy. Wiadomo, są ludzie, którzy mają potrzebę pewnego snobizmu i zawsze będą opowiadali się za tym, za czym wypada. Gdzieś w radio usłyszą, że to jest wielkie i od razu przytakną, że to jest wielkie. Tacy ludzie zawsze byli i będą, na całym świecie. A to, o czym mówił Gutek, że nie ma potrzeby szukania muzyki, to prawda, ale to wynika z naszej narodowej cechy. Nam, Polakom muzyka zawsze była potrzebna do biesiady. Do piwa i do wódki. Najważniejszy był pełen stół, flaszka, a dopiero potem przychodziła kapela i grała.

Tylko czy ta muzyka do biesiady jest akurat najwartościowsza?

Banach: Pytanie, co to jest wartościowa muzyka i kto o tym ma decydować. Ty mi powiesz, co to jest wartościowa muzyka, ale przyjdzie ktoś inny i powie, że nie masz racji. I co, będziecie się bili? Bo argumentów tutaj nie ma. Powiesz, że twoja muzyka ma mądrzejszy tekst?

Chociażby. Nie każdy słucha muzyki tylko do biesiady.

Banach: Tak, ale czy każdy musi być koneserem muzyki? Czy jeśli ktoś nie jest koneserem muzyki, jest mniej wartościowym człowiekiem? Jedni wolą czytać książki, inni słuchać muzyki, jeszcze inni spełniają się jako wędkarze. Wracamy do tego, o czym mówiłem. Na polskiej ziemi bardzo popularne są bezsensowne napięcia na temat muzyki, wzajemne obrzucanie się błotem, jak również obrzucanie błotem artystów za to, że nagrali takie, a nie inne płyty.







Jakie odczuliście różnice w odbiorze, w mentalności zagranicznej publiczności?

Gutek: Zupełnie inna publiczność jest we Francji, a zupełnie inna w Polsce, szczególnie, że w Polsce cię ludzie rozumieją, a tam patrzą na ciebie jak na kogoś, kto przyjechał z Polski i gra sobie jakąś tam muzykę po polsku. Może im się podobać, mogą poczuć wibrację i się bujać, ale to nigdy nie będzie dla nich tyle znaczyło, co dla Polaków, którzy mogą utożsamiać się z tekstami i ich treścią.

Banach: Ja mam inne doświadczenia z Francji. W związku z tym, że jest tam duże zróżnicowanie kulturowe, pewien tygiel muzyczny, ludzie są tam bardziej otwarci. Nie ma podziałów na komercję, nie komercję, zależnych, czy niezależnych. Nie ma tak, że ktoś gra słusznie, a ktoś niesłusznie. Albo ludzie to czują i jest świetna zabawa, albo nie czują, ale wtedy nie bluzgają i nie krzyczą: „idźcie do domu", tylko po prostu wychodzą, idą do baru. Mnie się bardzo podoba publiczność na Zachodzie ze względu na to, że jest tak otwarta i podchodzi do muzyki w taki sposób, w jaki powinno się do niej podchodzić. Nie personalnie i nie na zasadzie „tego kolesia nie słuchamy, bo on jest nie nasz, patrzcie, jaką ma fryzurę i spodnie". Fajnie gra, to jest nasz. W Polsce jest z tym różnie. Jeżeli masz dready, to jesteś prawdziwym rasta, a jeżeli śpiewasz piosenkę, która prezentuje trochę inne brzmienia niż te, których użył Burning Spear w roku 1976 na Jamajce, to znaczy, że nie czujesz prawdziwego reggae. Takie głupoty.

Gutek: Na Zachodzie ludzie są dojrzalsi muzycznie, ponieważ od dawna mają kontakt z wieloma kulturami i wieloma gatunkami – w Polsce nie było tego przez wiele lat, leciała muzyka z radia, ewentualnie ludzie mieli płyty Jimiego Hendriksa i puszczali go sobie na prywatkach, dlatego mamy znacznie węższe horyzonty i dużo błędnych wyobrażeń. Prawdziwość, nieprawdziwość, oryginalność, monopol na prawdę, na rację – to wszystko powraca, i u muzyków, i u słuchaczy.

Sądzicie, że ludzie w Polsce mają wyrobiony gust muzyczny?

Gutek: Niektórzy na pewno.

Banach: Gust muzyczny jest czymś, co ma każdy. Jednemu podoba się hip-hop, drugiemu heavy metal i jeżeli ktoś opowiada się za heavy metalem, oznacza to, że ma wyrobiony gust muzyczny właśnie w taki sposób. A jeżeli chodzi o smak muzyczny, to już inna sprawa, ale ja bym nie ryzykował stwierdzenia, że ludzie nie mają smaku, bo nie podoba mi się, kiedy dziennikarze wyrokują, że ludzie są głupi, bo chcą słuchać tego wykonawcy, a nie innego, który ich zdaniem jest fajny. Nie o to chodzi. Słuchanie danej muzyki nie czyni nikogo ani mądrzejszym, ani głupszym. Jeżeli mądrość zaczyna się przekładać

Gutek: Ja nagrałem piosenkę z Dizkretem, a dla wielu raperów Dizkret jest kolesiem, z którym by nie nagrali piosenki. Może Vienio i Pele by z nim nie nagrali, ale ja nagrałem, potrafiłem nagrać i z tymi, i z tymi, i oni się cieszyli, że ze mną nagrywają. Dla mnie to jest naturalne, nie jest tak, że mogę nagrać tylko z Dizkretem, bo on jest dobry chłopak i mówi fajne rzeczy, a Vienio i Pele to najebka i zadymy. Ludzie są różni.

Wydaje mi się, że to właśnie hardkorowi raperzy mają często uprzedzenia do tych, którzy robią inny hip-hop niż oni.

Gutek: Ale to jest problem hardkorowych raperów. To nie jest ani mój, ani twój problem.

Banach: W środowisku reggae obserwujemy w tej chwili jakiś sztuczny podział na w porządku ludzi dancehall i zacofanych ludzi reggae. A nie daj Boże, jeśli to reggae ma jakiś pierwiastek rockowy czy cokolwiek innego niż to, co się dzieje na Jamajce. Dlaczego tamci ludzie, którzy słuchają dancehallu, mają mieć rację? Dlaczego to ich gust ma być tym najważniejszym gustem na świecie? Dlaczego próbują robić w ogóle jakąkolwiek gradację typu: „my jesteśmy lepsi, wy jesteście gorsi"? My robimy swoje, wy róbcie swoje. Publiczność niech oceni.

Zatem nie ma sensu mówić, że ktoś robi złą muzykę. A jeśli robi dobrą, też nie ma potrzeby mu tego mówić?

Banach: Jeżeli ja do ciebie przyjdę i zapytam, jaką robię muzykę, wtedy możesz mi powiedzieć, nawet jeśli będzie to twoim zdaniem totalne dno. Ale jeżeli ja będę szedł ulicą, a ty podejdziesz do mnie i zaczniesz mi mówić, jak źle gram, to już jest bez sensu. Jestem gotów powiedzieć Gutkowi, że źle śpiewa, jeśli on mnie o to zapyta. Tylko wtedy.

.:rozmawiał Keb (Czyste Słowa):.

.:foto www.indiosbravos.com:.

Pełna wersja: www.slizg.com.pl już za miesiąc

GUTEK & INDIOS BRAVOS


Żołnierze Pana



FPS


Evident

RAP chrześcijański raport

3miel i pierwszy raz

Jak to mówi Pezet i Zbigniew Lew-Starowicz – pierwszy raz jest tylko raz. Mój pierwszy raz z polskim chrześcijańskim rapem odbył się w 2001 za pomocą dorosłego, trzydziestoparoletniego faceta z Poznania, niegdyś perkusisty rockowego zespołu i DJ'a lokalnej rozgłośni radiowej, a nawet autora hymnu hokeistów na trawie w Sydney (co swoją drogą musiało działać, bo słuchając jego repertuaru ręka sama sięga po kij), który poczuł nagle chęć robienia hip-hopu. „Chyba każdy artysta czeka w życiu na moment, kiedy zaczyna być głęboko przekonany o tym, że to, co robi ma jakiś sens" – tłumaczył. Sens mają radiowe wersje utworów i opieka menadżerska, sens ma sprzedawanie koszulek na swojej stronie internetowej, ksywa pisana według upodobań nastoletnich internautów oraz luźne, rzucające się w oko ciuszki – ale tylko wtedy, kiedy chce się zarobić. Trudno 3miela nie zrozumieć, każdy chciałby jeździć Maybachem jak ksiądz Rydzyk i byłoby mu to wybaczone, o ile nie przez Boga, to przynajmniej przez słuchaczy. Gdyby tylko robił dobry hip-hop... Po pierwsze, Pismo Święte uczy pokory, a trzeba być wyjątkowo impertynenckim, żeby na debiucie sięgać po fragment klasycznej kolędy, po Mickiewicza, po Beethovena. Po drugie, rymowanie nie polega na wystękiwaniu wersów. „Do tego nie trzeba do końca umieć śpiewać. Wystarczy, że masz poczucie rytmu" – oświeca nas „artysta" zdradzając swoje „profesjonalne" podejście. Po trzecie, bezmyślnie i na siłę stosowana różnorodność kończy się chaosem, który nie jest w stanie zamaskować braku brzmienia, braku podstawowej wiedzy na temat perkusji w rapie, cięcia sampla. Po czwarte, rymowanie to kunszt słowa, zabawa nim, pewien jednak literacki warsztat. Dziecinność formy dorównuje infantylizmowi treści: „Dzisiaj spadła z nieba gwiazda / niezbyt duża... ale jazda / świeci się i mruga / wkrótce za nią spadła druga". W swoim nauczaniu 3miel stosuje słabe prowokacje, nieczytelną ironię, jest nieprawdopodobnie nachalny i żałośnie logopatologiczny: „nie bij dzieci szanuj Boga / nie tylko kiedy trwoga / nie zabijaj i nie kradnij / niech nie rządzą tylko ładni". „Moim zamierzeniem jest ewangelizacja wśród polskiej braci hiphopowej" – tłumaczył serwisowi Opoka, który nie zawahał się użyć małej manipulacji i stwierdzić, iż „3mielowi udało się na razie wywołać zainteresowanie i dyskusję na wszystkich znaczących hiphopowych serwisach". Jakkolwiek... bracia. W każdym razie mój pierwszy raz był nieudany, został mi niesmak tym większy, że w 2003 3miel przypomniał się kręcąc klip dla DKA.

JCS i 2HP4J

Kiedy zdążyłem otrząsnąć się po owym „początku zmian hip-hopu", nadszedł czas na kolejną szansę. Doszukałem się nagrań JCS i 2HP4J. Pierwszy zespół to prawdziwy liryczny delikates: „Grzechy są jak dzikie zwierzęta, nie wiesz, z której strony się taki przypałęta. A broni nas tylko Chrystusa Krew Prześwięta!", „Dużo Hip-Hoperom tytułów nadają / A oni nadają ciągle nadają / W radiostacji słychać jak ciągle Hip-Hop grają / Może rzeczywiście to robią nie pod fają?", czy „Walę wszystkich krytykantów mówiących do mnie / Posłuchaj tego jeszcze trochę i to ciebie rąbnie", oraz gwóźdź do trumny: „Jezus kocha Hip-Hop niezły z Niego MC / Gdyby rymował on na ziemi to wydał by CD". Wbrew logice, językowi polskiemu, płytko, banalnie i jeszcze z tą nieznośną nutką pychy i histerii, która zawsze nie pozwalała wytrwać mi na mszach. Początkowo myślałem, że to pastisz. Po 2HP4J nie chciało mi się już nawet myśleć, gdyż grupa stanowiła rozczulające kompendium tego, czego nie należy robić rapując, a brak umiejętności trzymania się na werblach był najmniejszym grzechem. „Pierwszy koncert daliśmy na Nowy Rok u nas w kościele. Było ponoć odjazdowo;)... nawet pastor klaskał do beatu" – wspominali członkowie zespołu: Soway i Tezero. Nie dziwne, twórcy E-Jaya umożliwiają sieknięcie „soczystego podkładu" w trzy minuty. Nawet głuchym.

Sodoma i Gomora

„Scenę chrześcijańską" chciałem zapomnieć tak bardzo jak Jeden Osiem L chcących zapomnieć. Wieść o tym, że w 2004 muszę do niej powrócić była więc wieścią prawdziwie hiobową. Tym razem było to proste: większość artystów zgromadzona jest wokół promującego piosenkę religijną Klubu Dobrej Muzyki (www. kdm. pl). Pierwsze wrażenie – dobrze być chrześcijańskim mc. W kościele można grać próby, bliźni nie powie złego słowa, bo nie wypada, KDM i magazyn Ruah zadbają o wylansowanie, w rozgłośniach puszczą, bo to ciekawostka,

festiwale religijne zapewnią kilka tysięcy mało wybrednych odbiorców. Trzeba się przestawić na inny nieco tor myślenia: Nie Asfalt czy Blend, a raczej Misja 3.16 i Trakt Nieba Rekords. Nie „biografie", a „świadectwa", zazwyczaj mocno sentymentalne i oparte o motyw nawrócenia z drogi złego blokersa omotanego alkoholem i dragami na drogę miłości do Pana – raczej nie będę przytaczać, ciekawych odsyłam do artykułu pana Jakimowicza w „Gościu Niedzielnym", w dużej mierze opartego na przeklejeniu ich fragmentów. Cóż dalej – właściwie to panowie nie rymują, tylko „ewangelizują", względnie „głoszą Dobrą Nowinę". Ich zespoły zaś nie rozpadają się a jedynie „dochodzi do braku miłości". Materiał o nich prowadząca nazwie „przypowieścią" nie zaś dokumentem. To tylko nomenklatura, tak naprawdę mamy do czynienia z tym samym piekiełkiem, co w wypadku świeckiego rapu. Wykonawcy mają do siebie nawzajem żale, mówią o nich, w końcu się wycofując – „bo to jednak moi koledzy i zadziałałem impulsywnie", „bo nie będę o nikim źle gadać". Nie wszyscy mają jednak spóźnione skrupuły. „Raper" M3tYu (zbieżność z robotami z gwiezdnych wojen zupełnie przypadkowa) donosi na forum, że mc B.A. nie jest właściwie chrześcijański, bo przeklął w utworze. Ów bluzg to fakt, ale zarzut jest tak kuriozalny, że wywołuje atak śmiechu. Niestety tylko u mnie, bo wywiązuje się dyskusja. Co ciekawe, drogi denuncjator promuje utwór na długim i nieumiejętnie wyciętym samplu z Evanescence. „Niby niewinna ściema, nieskasowanie biletu w autobusie, ściąganie na kartkówce, czy zła myśl dotycząca pewnej osoby – to wszystko w oczach Boga także jest grzechem i nie ma różnicy, czy popełniłeś (aś) morderstwo, czy ściemniłeś (aś) coś koledze." – obwieszcza na swojej stronie. A co z bezprawnym wykorzystaniem sampla z hitu będącego w katalogu obecnej u nas wytwórni, właściwie kradzieżą? Czy powinienem postrzegać M3tYu na równi z mordercą? Z tego wynika, że tak. Poza tym rzeczywiście morduje uszy swoim brakiem umiejętności. Na szczęście nie skrzywdzę zanadto jego subtelnego katolickiego ego. Sam przyznaje: „Nie interesuje mnie już jakakolwiek zła opinia moich „świeckich" znajomych na ten temat". Interesują go za to głosy oddane na jego utwory na mp3.wp.pl, do których namawia. Cóż za ambitny chrześcijanin.

Trzeba wiedzieć jedno: o ile u nas jednym z najdotkliwszych epitetów jest słowo „nieprawdziwy", stanowi dla gimnazjalistów wyraźny wyznacznik mówiący o tym kogo powinni przestać słuchać, tak dla rapera chrześcijańskiego niebezpieczne jest słowo „niechrześcijański". Wzburzony moderator forum KDM chciał je przypisać grupie Evident, gdyż jeden z jej członków powiedzieć miał mu rzekomo w prywatnej rozmowie: „teraz mamy inną taktykę.... media nie chcą chrześcijan, VIVA by nie puszczała naszego klipu, jak by się dowiedziała, że jesteśmy chrześcijańskim zespołem", co przy dotychczasowym tonie wypowiedzi „To nie jest nawet tak, że nagle stworzyliśmy chrześcijański hip-hop. To prawdziwa muzyka, więc ona nigdy nie uciekała od takich treści" jest dość ciekawe.

Żołnierz i poeta

Kiedy już poczuliście nieco atmosfery środowiska, warto zorientować się w wykonawcach. Liczą się właściwie Evident, FPS, B. A. i Żołnierze Pana. Gdzie niegdzie wspomina się o Misterium Verbi (trafiłem na jeden utwór – niedorobiony, nie przeszkadzające, pozbawione spięcia style, z czego jeden mocno Ashowy, rockowo zawyty refren, do tego zupełnie sympatyczny beat z fajną gitarą). O swoje miejsce walczy Andrzej Waśniewski, wrocławski muzyk, pianista, podobno eksperymentujący z elementami hip-hopu już od 15 lat i mający na koncie współpracę z FFOD.

Żołnierze Pana... Terminologia militarna kojarzy się z Masterem P, i jest to średnio pozytywne skojarzenie. Za to krzyżowanie jej z pojęciami dotyczącymi religii napawa lękiem, nasuwając na myśl krew przelaną przez fundamentalistów, bo wbrew temu do czego przyzwyczaić mogą media, fundamentaliści nie są tylko islamscy... Ewangelia niesiona do pogan i saracenów ogniem i mieczem, krucjaty okazujące się wyprawami łupieżczymi, „czarownice" na stosach, wreszcie hitlerowcy mający na pasach napis „Bóg z nami"... Cóż, nie zareagowałem najlepiej na gotycką czcionkę na stronie internetowej Żołnierzy. „Nie ważne, czy jesteś hooliganem, czy szatanistą, czy też bierzesz narkotyki! Jezus żyje i kocha Cię!" – mówi członek formacji, Vinetu, zapalając pierwszą lampkę ostrzegawczą we wbudowanym w moją głowę naturalnym wykrywaczu fanatyków. Gaszą ją udostępnione nagrania, na których poza nadużywaniem „elo" słyszę coś własnego – niezły, agresywny, wypracowany samodzielnie flow, z naturalnie wypadającym, lekkim offbeatem. Spotykamy się więc, żeby usłyszeć więcej i trochę porozmawiać. Żołnierze okazują się sympatycznym, katolicko-protestanckim duetem zorientowanym na hardcore'owy rap w rodzaju WWO, Molesty, Morwy, Wychowanych Na Błędach. Taka muzyka im się właśnie podoba, choć też i razi ich, że tuż obok nawijania o wierze, pojawiają się gadki o jointach. Jeden z członków zespołu uczy się rapu, póki co jeżdżąc na koncerty i dopowiadając, oraz ogarniając wszystkie organizacyjne kwestie. To wesoły młody człowiek. Szczególnie wesoły w momentach, w których usiłuje mnie przekonać, że w pewnym okresie Tede nie był w 3H, a na scenie angielskiej właściwie nic się nie dzieje. Prym w ŻP wiedzie Vinetu, w swojej wypracowanej przez trzy lata nawijce prezentowanej na dobrze wybranych, różnorodnych beatach (Mash2Beat z Andrychowa) doskreczowanych przez zaprzyjaźnionego Diaksa z Kwadratury Koła bardzo pewny, w rozmowie zaś powściągliwy i nieco zakłopotany.

B.A. to z kolei wizjoner i konceptualista od strony muzycznej, od tekstowej zaś niespokojny, wiecznie czymś poruszony poeta. Pierwszy nielegal z 2000 r.: „Hiphopeja" był w rodzinnej Dębicy rzeczą pionierską. Ostatnia, szósta płyta „Orient 2004" przynosi podkłady często nawiązujące do orientalnego brzmienia, brzmiące jak grane na żywo, absolutnie magnetyczne. Co chwila dodawane jest coś nowego – umiejętnie wpleciona gitara podkręcająca tempo, dziewczyna z silnym i czystym głosem, patenty reggae. Już w pierwszym numerze jazz łączy się z breakbeatem. Na tym wszystkim postawione są konstrukcje słowne, prawdziwa liryka, zawsze jednak bardzo bliska prawdzie życia. Jest czas na alegorię w rodzaju „Nowych posągów Buddy", ale również na drastyczne, mocne historie. O ile Vinetu jest jak monolit, pewny i stabilny, to B.A. skłania się do świata emocjonalnie rozchwianego, pełnego wątpliwości i poczucia krzywdy, świata bardziej ludzkiego. Zestawmy sobie wersy. B.A.: „Oto B.A. odbiera trofea, bierze co jego / Słowo szkatułę prawdy otwiera/ tam pergamin, niezgodny z tym co gwiazdami zapisane, papier bez tej hierarchii w której znany tępak, ziomek bez dorobku ma szacunek większy niż B.A., co na tej scenie był pierwszy". Vinetu: „Hip-hop ma arka a w niej odnowienie / Przekaz prawdziwy, Warszawskie podziemie / Puszczam jak siewca, co ziarno rzuca w ciebie / Reprezentując betonowe plemię". B.A.: „Świat rzeźbi rapera jak rozterki

B.A. o „rapie chrześcijańskim":



Bulwersuje mnie wypowiedź jednego „chrześcijańskiego mc", którego kiedyś spytałem, czy słuchał ostatniej płyty Pete Rocka. Na to pytanie uzyskałem dość ciekawą a zarazem wiele mówiącą wypowiedź: „nie śledzę w muzyce rockowej, ale w hip-hopie". Powiem tak: rozgraniczenie na hip-hop chrześcijański i niechrześcijański jest tylko chwytem reklamowym. Jest wiele utworów, które stanowią swojego rodzaju rapowe modlitwy i nie są to wcale kawałki tworzone przez ludzi związanych ze sceną chrześcijańską. Dlatego myślę, że rozgraniczenie na „hip-hop chrześcijański" czy „niechrześcijański" jest po prostu nietrafione. Jest wielu ludzi, których nie stać może na jasną identyfikację, ale którzy często pokazują i czują Boga w taki sposób, że żadna z tzw. „chrześcijańskich grup" nie potrafiłaby zrobić tego lepiej.

Hip-hop to hip-hop, wyznanie to wyznanie. Ja robię hip-hop od 1996 roku dla siebie, Boga, bliskich i jestem z tego dumny, bo z tych składów byłem po prostu pierwszy. Nagrałem więcej utworów niż ci wszyscy razem wzięci. Znam trochę klasyki i jestem ciekaw, czy to samo mogą powiedzieć chłopaki z ekip. Prawdziwy hip-hop to wyszukane, świeże i nowatorskie rymy – okraszone odpowiednimi środkami artystycznymi – to wyćwiczone flow i dykcja, to talent do robienia tłustych bitów, i co najważniejsze... To wiedza na temat kultury. Jeżeli ktoś nie wie kim jest np.: DJ Premier, Prodigy, Malik B, Common, itp., z przykrością podważam jego przynależność do kultury. A jak w przypadku Jeden Osiem L, prawda w końcu wypływa na wierzch i zaczynają się disy (wiem to z własnego doświadczenia z etapu, kiedy jeszcze zaczynałem). Myślę, że i one nie ominą tzw. „chrześcijańskiej sceny hip-hop". Ogólnie jest tu wiele rzeczy, które mnie kręcą (polecam coś takiego jak John Reuben, pachnie starym, dobrym i tłustym hip-hopem), są takie, które mi się nie podobają, w gruncie rzeczy prawdziwy hip-hop (tylko z perspektywy czasu będzie to obiektywne) wypowie się, kto jest ogniwem tej kultury, a kto nieudolnie kreuje wszędzie, gdzie tylko popadnie swój nędzny biznes, bo mamy w końcu na to popyt.

Vinetu o Kościele:



Kościół był w pełni sił, kiedy nie było jeszcze tradycji, potem w kościele powoli zaczął robić się Babilon, ewangelię zmieszali z tradycją. Jedno z 10 przykazań zostało np. okrojone z tego, że nie wolno sporządzać obrazów Boga. Zostało to wycięte przez Kościół Katolicki. Modlitwa do świętych jest wielkim grzechem, a kult maryjny, wszystkie objawienia to demoniczna sprawa np. dzieci, które są w transie i można je podpalać albo kłuć a one nic. Jest napisane w Piśmie Świętym o fałszywych prorokach. Kościół Katolicki to instytucja społeczna, jednak żywy Bóg tam za bardzo nie działa. Apostoł Jan w swoim liście napisał, że chciałby, abyśmy wszyscy mówili językami, kiedy katolik nawet nie wie, co to jest. W KK jest serwowana doktryna z tradycją i to wszystko (Izajasza 1 22-23, Rz 1 23-27). Kiedy Mojżesz zszedł z dekalogiem a ludzie sporządzili cielca, który symbolizował im Boga, Mojżesz rozbił tablice. U nas kobieta została uzdrowiona z depresji, która męczyła ją kilka lat i chodziła po różnych kościołach, modlili się za nią, ale uzdrowiona została dopiero jak zdjęła szkaplerz. Wniosek jest prosty, demon królowej niebios oddala ludzi od Boga, wszystkie kulty, obrządki i inne bałwochwalstwa są po prostu złe. U nas jak Duch Święty przychodzi dzieją się cuda, ludzie leżą na ziemi i płaczą, są uzdrawiani, mają żywą relację z Jezusem. Uzdrowienia z HIV czy raka to przecież dla Boga nic... Widać działanie kościoła po jego owocach, zobaczcie na Radio Maryja... Legalne pranie mózgów starszych pań, antysemicki przekaz, puszczają kazania księdza, który jest pod wpływem ducha homoseksualności, a teraz oskarżony jest o molestowanie, ale Polacy myślą, że to nie możliwe, kiedy większość księży w Polsce nawet nie zna Jezusa. I to jest straszne, zna tradycję, 1000 świętych i obrządków, ale Jezusa nie zna. W seminariach panuje duch homoseksualności i religii, Duch Święty nie działa w tym kościele... Niestety, a ludzie naiwnie wierzą... Jest to przykra sprawa, kiedy ludzie znają tradycje i doktryny, a o Jezusie pojęcia nie mają, bo każdy, kto poznał Jezusa, będzie chciał dać go innym.

(Cytowane za księgą gości na stronie www.zp.kdm.pl)

Religia w rapie świeckim



Pierwszym i nie wiem czy nie najważniejszym utworem poświęconym tematowi wiary jest „Moja obawa", z charakterystycznym podtytułem „Bądź a klęknę". Już zresztą sama nazwa Kaliber 44 jest nieprzypadkowa. Liczba czterdzieści cztery jest bowiem, jak pisze Alina Witkowska, „związana z symboliką wielu kultur – także chrześcijańskiej – w których czwórka i jej zwielokrotnienie odgrywają wielką i pozytywną rolę (cztery żywioły, cztery rzeki w Raju, czterej ewangeliści, czterdzieści dni postu Chrystusa itp.)". Mickiewicz powołał się na „dwie czwórki" w Dziadach cz. III, gdzie w widzeniu Ks. Piotra zaszyfrował w nich imię „przyszłego wskrzesiciela narodu". Utwór Joki kojarzy się silnie z Wielką Improwizacją. Opętańcze flow służy do przedstawienia kryzysu wiary, swoją ekspresją porywa do dzisiaj, jak mówi Monika Dąbrowska „nie znam nikogo u którego utwór nie wywoływał by ciarek na plecach".

Ciarki, dreszcze, a w skrajnych przypadkach kolkę wywołuje „Modlitwa" zespołu Meritum (z pierwszej „Kompilacji" Oski). Ów klasyczny przykład „rapu słownikowego" spotkał się z uznaniem, zespół JCS podlinkował nawet kiedyś jego nielegalną kopię na swojej stronie. Niewielu zauważyło, że panowie używają słów których nie rozumieją, w złych kontekstach, bez sensu. Modlitwa to „powszedni motyw co działa jak paliatyw" – pomińmy karkołomną „powszedniość motywu", wers o tyle ciekawy, że paliatyw to mało skuteczny, nie dotykający przyczyny bólu półśrodek. „Do twoich inwektyw mam serce jak skała twarde" – mieć serce do inwektyw, i to w dodatku twarde? Bez sensu. Prędzej – „Mam zbyt zakuty łeb, żeby pojąć twoje bluzgi". „Prezentuje prawdę, nigdy awangardę". Szkoda tylko, że bycie awangardą to wykraczanie poza swoje czasy i raczej powód do dumy. I w żaden sposób nie kłóci się z prawdziwością. „Nie przyjmuję niczego za drobną monetę" – chyba miało być „nie biorę niczego za dobrą monetę". Mamy więc tu katolika, który z założenia wszystko neguje. Pięknie. Coż dalej, mc uświadamia, że jest „lirycznym najemnikiem, zwykłym męczennikiem idącym swoim pantałykiem". Najemnik to człowiek, który pójdzie gdzie mu zapłacą, i obok „męczennika" wygląda dziwnie. Prawdziwym hitem jest „iść swoim pantałykiem" – pantałyk to rodzaj umownego miejsca, dawniej podwyższenia, używanego podczas tradycyjnej, staropolskiej gry w Kule, a poza tym jest to wyraz niejasny znaczeniowo, i używany jedynie w związku „zbić z pantałyku". Tutaj jest jednak „nie zbijesz mnie z tego dryfu" – panowie są znad morza i tymbardziej powinni wiedzieć, że dryf oznacza zbaczanie z obranego kursu!!! Raper musi to wiedzieć, bo przecież „nie zasypia gruszek w popiele". Boję się pomyśleć co może oznaczać „zasypiać gruszkę", ale pewno niewiele ma wspólnego z chrześcijańskim rapem. Choć może chodzi tylko o nieszkodliwe lulanie owocu? Co tam jeszcze mamy „Arete" z greki, „kontenans" z francuskiego – czysty, nieuzasadniony snobizm, i tajemnicze „adagium" – tu chodziło chyba o „adagio", czyli po prostu powolny utwór. Jakby panowie grali koncerty – słuchajcie, to jest z włoskiego i to „g" w środku wymawiamy jednak jako „dż". Ufff, i to wszystko w jednej zwrotce! Wierzący ten utwór powinni zwalczać, bo brzmi raczej jak drwina z Boga!

O niebo większym wyczuciem wykazali się wykonawcy hardcore'owi, piszący teksty bogate w odwołania do religii. Już sam „Powszedni Chleb" Zip Składu pokazuje skalę zjawiska: „Do końca z ziomalami / niech Bóg będzie z nami" (Fu), „Nie oddawaj nikomu kierowania swą osobą / jesteś jedynym kompetentnym, oprócz ciebie to się należy tylko Bogu" (Sokół), „Zip Skład załoga / rap zajawka od Boga" (Jędker), „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus na wieków wieki / w czasach niepokoju i w czasach udręki" (Felipe). Od tematu nie stroni Molesta, Bilon z Hemp Gru ma wytatuowaną na plecach trasę pielgrzymki z Warszawy do Częstochowy, Wilku wyraźnie zaznaczał w wywiadach, że wizyty w mieście Świętej Wieży wzbogaciły go duchowo, zmieniły w innego człowieka. Wiara priorytetowa jest dla Morwy – nawiązania do niej pojawiają się na wszystkich płytach. Krzyż zdobi okładkę drugiej i... plecy Łyskacza. Bonusowym utworem na trzeciej z nich: „Dla słuchaczy" jest piosenka o wszystko mówiącym tytule „Dzięki Bogu". Nawet WSP w najagresywniejszym i najbardziej nienawistnym kawałku na swojej płycie rymuje „Panie, pobłogosław ten różaniec". „Jak wierzyć mam" to najlepszy z numerów na płycie Yez Yez Yo, w swojej strukturze emocjonalnej nawiązujący do „Mojej Obawy".

„Zjawisko pt. Grammatik uświadamia nam, że tak nie jest, że ci, na których często patrzymy jedynie z perspektywy nietypowego stroju czy nietuzinkowych zachowań, też mają swoją historię, która „ogniem płonie", w tym zmagania z samym sobą i z Panem Bogiem" – pisze Ks. Andrzej Draguła do „W Drodze". W „Każdy ma chwilę" widzi „wiarę rozpaczliwą", a słowa „Dobrze wiesz, cały świat oddany Tobie / Każda minuta życia, od Ciebie je mam Marzenia, szczęście, chwile piękne i bolesne / Te z bólu krzyku dźwiękiem" ze „Znalazłem schronienie" świadczą dla niego o przejściu od niej do „afirmacji Boga jako Pana świata i losu". To ewolucja wbrew chronologii, ale nie burzmy księdzu wizji. Mimo tego, że hip-hop jest dla niego tylko „odzwierciedleniem życia blokowiska", że słowa „Ja chcę być trzeźwy, budząc się rano w wyrze / z moimi ludźmi chcę być wysoko i wyżej" czynią wg niego z Grammatika piewcę ascezy, trzeba docenić, iż podjął wysiłek i myśli ciekawie. Dopiero zaliczenie TDF'owego „Wyścigu szczurów" w poczet utworów bemowskiego zespołu i zrobienie z niego elementu układanki w analizie dyskwalifikuje artykuł merytorycznie. W „Płaczę Rymami" pada wers: „Wiem, że Bóg jest z nami, a życie jest próbą Wciąż żyjąc słowem księgi, ją czytam". Ciekawe, czy Ks. Draguła wie, że dla Eldoki tak jak i dla Włodiego jest to już inna księga. Ale Bóg nie jest inny, zmieniła się tylko jego nazwa. Islam pogodził obydwu raperów, uwrażliwił ich, oni zaś przyczynili się do jego popularyzacji.

To Bóg posłużył za metaforę w wielkim hicie Paktofoniki, który początkowo przestraszył rozgłośnie spodziewające się protestów chrześcijan na pokaz, niestety licznie reprezentowanych w naszym polskim piekiełku. Stwórca był partnerem do rozmowy telefonicznej dla Łony, która umożliwiła skonstruowanie gorzkiej satyry na ludzi, dla których „Biblia dawno już przestała być bestsellerem". Mc ze Szczecina płytę później okrutnie ironizował na temat ziejącego nienawiścią Radia Maryja, że rzekomo „ratuje polski hip-hop". Przywary kościelnej administracji bezlitośnie wykpiwa Hans z 52 Dębiec, który w kwestiach światopoglądowych wypowiada się w tonie bardzo racjonalnym i sceptycznym.

(flint)

Wertera / świat ubiera go w temat, świat mu rad udziela / szczur pustynii to B.A., twarzy nie mam – tylko szkodzi / tępiony, wyrzucany gdy posągi budzą podziw". Vinetu: „Duch moja szpada i tarcza moja / w nim moje mury i moja zbroja / Nie podatna na atak trojańskiego konia / Wokół ma radość i ma symfonia". B.A.: „Bywa czasem tak, że czuję smak samotności / niczym skazaniec, milczy różaniec przyszłości / stoją paciorki, to jakby Norwid przestał pisać / dusza jak bezludna wyspa, tylko cisza i ocean cierpienia / to B.A., z więzienia swego umysłu / gdzieś na horyzoncie stoi Chrystus". Vinetu: „Posłuchaj dzieciak, to nie męka, to Mekka / Ja wierzę w Boga, wierzę, że on czeka / oddałem mu życie, on zmienił je w przekaz". Widzicie o co chodzi?

Duch i Ewidencja

Jedno z pierwszych ujęć reportażu o pochodzącym z Bielska FPS: człowiek fikający salta w poplamionym kombinezonie na tle niedokończonego graffiti (do grupy dołączyło niedawno bialskie TSD). Grupa definiuje hip-hop w sposób nieco cyrkowy: ryzykowne pantomimy na występach, Miru i jego niekonwencjonalny, „drgawkowy" ruch sceniczny, beatboxer Pryk i bboye ze Spasiba Breakers wykorzystani do zadziwiania laików, nie zaś z potrzeby koordynowania hiphopowych elementów, wiecie, na tej samej zasadzie co połykacze ognia, i kobiety z brodami w lunaparkach. Szkoda, że koncertowy przepych idzie w parze ze studyjną prostotą, bowiem panowie ubzdurali sobie, że hip-hop musi być „prosty w słowach". Na wstępnej wersji nowego materiału (maxi singiel ma się ukazać w połowie września) słychać przynajmniej, że style ujęto wreszcie w jakieś ramy, bo mp3 na stronie miały walory głównie komiczne, szczególnie w kwestii kopiowania wyczynów „psychorapowych". Jest parę potknięć: przesadne akcentowanie, rwanie tempa, narracja obnażająca słabość formy poprzez kwiatki w stylu „Wpadł do mnie koleś mocno wyluzowany / może był nagrzany, a może najarany? / przyszedł mi pomóc, wiedział o co chodzi / wyciągnął blunta, mówi „to ci nie zaszkodzi" / szybko sięgnąłem, po czym zaciągnąłem / jeden, dwa, trzy machy już na nogi nie stanąłem". Najbardziej boli jednak, że wbrew deklaracji „piszę o tym, co przeżywam" całość treści jest płytka, uboga emocjonalnie, opierająca się o zarysy i ogólniki, a oryginalnych, plastycznych linijek w stylu „Samotny jak palec, jak księżyc na niebie / Zbyteczny zakalec na ogromnym chlebie / symbol nocnych czasów, efekt bezradności / Zwykły człowiek z lasu, z drzew obojętności" ze świecą szukać. Rekompensuje to opakowanie muzyczne – nie ma sampli, są muzycy z Big Time For The Small Band grający miękki jazz, jest wspólny „podkład" Mateusza Pospieszalskiego i Haema – nienaganny, przyjemnie chilloutowy. Bardzo przyzwoite i często obecne są skrecze (na albumie pojawia się Romek). Jest też wokalistka Pati – za mocno eksploatowana i pewno urażę divę któregoś z chórów kościelnych wychodząc na głuchego trepa – zbyt nachalna. Pojawia się również dodatkowy czynnik, który przy całej mojej niechęci do sentymentalnego odbioru rapu – w tym wypadku rusza. FPS naprawdę nie musi grać po zakładach poprawczych czy domach dziecka. Nie każą im grać dla niepełnosprawnej młodzieży, ale robią to, dając okruch szczęścia, wywołując uśmiech. „Pozytywni wojownicy" walczą jeszcze mocno amatorsko, ale już z wielkim sercem.

Kiedy dowiedziałem się, że Evident to kontynuacja JCS – pomyślałem, że Bóg nie ma jednak litości. Zaczyna się od niespodzianki – wydanego na legalu maxisingla zespołu. Talib, aFgan Zmoras – mikrofony, MirosLaw beaty. Ładna poligrafia, dobry papier, profesjonalny design. Patronat Vivy i „fachowego" portalu. Dołączony teledysk. Grzebię w sieci poszukując informacji: Evident z Morwą, Vieniem i Pelsonem przy okazji projektu FPS: „H-H Dekalog 2004", Evident nagrywający z Arką Noego, Chili my (bardzo udany rockowy zespół chrześcijański), grający przed WWO, występujący z Kają Paschalską, dający wywiad do Newsweeka. Obrotni panowie, taka chrześcijańska Elita Kaliska. A materiał? Nerwowe, ściśnieniowane namiastki flow. Dyszący i napastliwi kolesie, przegadane wersy bez konkretu w rodzaju „Zastanawiam się ile czasu mi zostało / jedno wiem, jest jego mało / ale kto wie czy będę jutro żył, czy będę gnił", wersy jakby panowie brali korepetycje u DKA. Miały być poruszające – są łzawe, miały być mądre – są kącik porad dla niezrealizowanych życiowo w magazynie PCK. Przeciąganie sylab w wyrazach, rymowanie typu mnie/się i na -uje, to i tak nic przy aFganie – nawet ukraińskie korzenie nie tłumaczą zbrodni dokonywanej na melodii języka polskiego i absolutnego rozmijania się z rytmiką podkładu. Zwłaszcza, że beaty brzmią nie jak hip-hop, ale jak typowy „polski hip-hop" – rzekomo minimalistyczne, ale przeraźliwie płytko, z tanią plastikową namiastką duszy. Jedyna osłoda to „List do ojca", gdzie chłopaki dają coś od siebie, a numer zaczynający się jak lovesong AD 1984, przyspiesza i nabiera rumieńców, by zapłonąć w refrenie. To on przekonał mnie, żeby spotkać się z zespołem, ale i tak szedłem jako ta szpilka między balony. Ale balonów nie było. Trafiłem na niepewnych, wciąż otwartych na słowa krytyki ludzi, którzy sami przyznają, że początki ich działalności nadają się do nakręcenia komedii, a maxisingiel to wynik skuteczności menadżera i zwykłego szczęścia przy szukaniu sponsora. Okazji trudno było nie wykorzystać, choć jak mówią chłopaki głupio, kiedy ludzie chcą z nimi nagrywać, i choć rymują dużo lepiej, nie mają legala. Wnioski zostały wyciągnięte – demo nowego materiału przynosi więcej ogłady i spokoju w nawijce, powolne wykuwanie stylu, które zaowocowało przy okazji odkryciem pewnej ilości charyzmy, umiejętność kombinowania flow i aranżowania go pod beat, lepsze patenty na bardziej hardcore'owe beaty, szokującą rozpiętość tematyczną. Jest już nieźle – aFgan rymujący „Jak maestro dyryguję orkiestrą twoich marzeń, słyszysz symfonię myśli i skojarzeń" i mieszczący się w beat jest wręcz nieprawdopodobnym postępem, linijki jego kolegi nawiązującego „Czarne złoto Polski, to nie węgiel lecz górnicy / gdzie są politycy, dla których człowiek się liczy? / Warszawa dla Polaków, a nie Polska dla stolicy / Czy o wolny Gdańsk warto było walczyć? / Zamiast pracy w stoczni ludzie mają strajki" mógłby śmiało podpisać Kear.

Póki co i Evidentowi i FPS'om można zaśpiewać „Nie będziesz Pete Rockiem" B. A., ale nic nie stoi na przeszkodzie, by niebawem sięgnęli po status, który osiągnął np. Freaky Tah – przyzwoitego towarzystwa dla naprawdę dobrych. Zwłaszcza, że do tych pierwszych dołączył już podobno Vinetu.

Grunwald i Termopile

„Jestem muzykiem. Gram na wszystkim, co ma czarne i białe klawisze oprócz akordeonu. Radzę sobie w różnych gatunkach, ale moją najukochańszą muzą jest jazz" – mówi o sobie Andrzej Waśniewski. Pierwszy zespół założył prawie 25 lat temu. Swoje dokonania ma na winylu, może obejrzeć własną płytę (ma ich ponad 20) na półce w Empiku. „Z rapem zetknąłem się pierwszy raz w 1980, kiedy usłyszałem o nim w radiu. Był wtedy przedstawiany jako ciekawostka – nowa zabawa brooklyńskich didżejów. Redaktorzy nie wróżyli zjawisku wielkiego rozgłosu, no i pomylili się grubo. Ja w każdym razie interesowałem się nowym zjawiskiem. Grandmaster Flash & Furious Five – rapowanie na podkładzie „Neon light" grupy Kraftwerk – to był czad! A kiedy już Quicy Jones (płyta „Back On The Block") związał się z raperami, było wiadomo na pewno, że coś jest na rzeczy" – dodaje i słowa te są jak balsam, a może raczej – dobrze napisany leksykon. Hiphopowy projekt Andy W. powstał na przełomie 1998/99. I cóż, muzycznie jest znakomicie, jest ta pulsacja i czarne brzmienie, muzyka oddycha i cieszy się sobą siedząc daleko od wyczynów wielu polskich rapowych rzeźników dźwięku. To mogłoby być kanwą polskiego Jazzmatazz. Strony wokalnej komentować jednak nie wypada. „Całe to moje „rapowanie" ma ścisły związek z moim nawróceniem" – pisze Andrzej, i trzeba przyznać, że dobrze, iż „rapowanie" włożył w cudzysłów, bo to nic ponad sylabizację i „luzik" charakterystyczny dla T-raperów znad Wisły. Andrzej zdawał sobie sprawę z własnej lirycznej niedoskonałości, pozostaje więc wierzyć, że przy okazji planowanej reaktywacji projektu Andy W. obudził się w nim talent słowotwórczo-wokalny, albo po prostu dał mówić... ale tylko muzyce.

Ep i Log

Podsumowanie rapu chrześcijańskiego nie jest proste. Przede wszystkim nie należy go demonizować. Środowiska kościelne są w stanie dotrzeć do potężnej grupy, która zamknięta jest na głos wszystkich innych i kiedy zaczyna wierzyć, zazwyczaj niestety przestaje myśleć ulegając sugestiom odnośnie tego, jak głosować, ale i co kupować. Jednak rap chrześcijański to raczej wyjątek potwierdzający regułę. Vinetu pracuje w Anglii, by pozwolić sobie na kupno beatów i godzin studyjnego czasu u Cameya, żadna szara eminencja w sutannie nie przybiega z czekami. Vienio opowiadał o tym, jak grali koncert z licznym przecież na występach FPS'em i poratowali ich pieniędzmi, dopisując sobie do kosztów pewną sumę. Okazało się, że bielskiemu zespołowi nie płacono nawet zwrotów! R. C. nie ma więc raczej komercyjnego charakteru, może w pewnym momencie próbował mieć, ale było to nierealne. Trudno też traktować zjawisko jako próbę rehabilitacji Kościoła Katolickiego, którym ostatnio wstrząsały skandale. Nie sprawia to wrażenia odgórnie sterowanego ruchu, a z hierarchią kościelną często mc nawet nie po drodze (patrz ramka: Vinetu). Większość chętnie pożegnałaby przymiotnik „chrześcijański" i nie wynika to z odwracania się od wartości. Ten problem porusza BA (patrz ramka i wywiad). To tak jakby raper-ateista był obligowany do-deklarowania braku wiary na każdej swojej płycie. Poza tym wartości chrześcijańskie są w dużej mierze wartościami uniwersalnymi, niezdrowa jest tylko przesada. Traktujmy więc tę społeczność z wyrozumiałością. Bywa jeszcze odrobinę kaleka artystycznie, ale uczy się na błędach, ma pokorę, której tak brakuje debiutantom, wprowadza inne nieco spojrzenie, odmienną refleksję, odmienny język, dodatkową dawkę dobroci. Tego zaś nigdy nie za dużo.

.:Txt: Flintstone (Czyste Słowa):.
.:Foto: Żołnierze Pana, Evident – Wiedźma Cess (Czyste Słowa); FPS, B. A. – arch. artystów:.

Portret: Scena chrześcijańskiego hh w USA



„Grits to Coffee + Bonefide, jeden czarny i jeden latynos. LA Symphony to z kolei przynajmniej 9 osób i/lub grup: Flynn, Brainwash Projects, Pigeon John, Root Beer, Joey L., Elemals, Halieyoos Fishermen... Obie grupy pochodzą naturalnie z Kalifornii, i tak naprawdę nic im nie dolega. Nie przeklinają, nie rymują o strzelaninach i panienkach, ale też nie prawią nachalnych kazań, a już muzyka niczym nie różni się od innych grup nowej kalifornijskiej fali, chyba że na korzyść. Tak że nie ma się czego obawiać. Chrześcijański hip hop potrafi być całkiem udany" – pisał dawno temu Druh Sławek odkrywając dwa zespoły mające wciąż bardzo silną pozycję na scenie chrześcijańskiej. LA Symphony współpracowało od tego czasu z tuzami pokroju Black Eyed Peas, a Pigeon John wyrósł na ogólnie szanowanego przez lubiących poszukiwać artystę. Drogi czytelniku, jak informuje okładka jego ostatniej płyty: „Gołąb Jan umawia się na randkę z twoją siostrą", a ze sobą przyprowadza gwiazdy undergroundu: Murs'a, Abstract Rude'a, Mikah 9. Błyskotliwy, bliski codziennemu życiu, ciepły, z bardzo melodyjnym a przy tym wyrazistym i charyzmatycznym stylem. Recenzent allhiphop.com porównuje beaty do tego, co mógłby zdziałać duet Lennon/McCartney w swojej późniejszej eksperymentatorskiej fazie komponowania, gdyby był zakorzeniony w hip-hopie.

Jednak wykonawcy, na których w pierwszej kolejności natknie się człowiek szukający chrześcijańskiego hip-hopu to T-Bone, Cross Movement, i Gospel Gangstaz. Ci ostatni bazują na „lejących się", przestrzennych, chilloutowych podkładach podbitych funkową pulsacją, rozbudowanych partiach wokalnych w refrenach. I dobrze by się tego słuchało, gdyby nie kopiowanie flow kalifornijskich nawijaczy z ery Death Row, z ich przeciąganiem, przyspieszaniem, dokładnie wszystkim. T-Bone, istny weteran sceny działający już od 10 lat ma w sobie więcej innowacji, choć muzycznie wciąż opiera się to bardzo na tym, co osiągnął George Clinton ze swoim Parliament, i co zostało przetrawione milion razy. Na ostatniej, wyjątkowo radosnej i zabawowej płycie „Gospelalphamegafunkyboogiediscomusic" w tytułowym utworze pojawia się sam Krs-One. Cross Movement, filadelfijskiemu kwartetowi w składzie: Phanatik, The Tonic, Tru-Life i The Ambassador bliżej już do wschodniego wybrzeża, choć silne wpływy gospel czynią muzykę grupy przystępną. Na DVD panowie tłumaczą fenomen kultury hh, strona internetowa podzielona jest na część dotyczącą nagrań i wielki panel skupiający szeroko rozumianą społeczność chrześcijańską wokół spraw pozamuzycznych. Na płytach połowa tekstów podtrzymuje wierzących w wierze, druga połowa napisana jest tak, żeby zjednać niewierzących. Męczące może być wrażenie, iż to hip-hop naprawdę niezły, ale robiony dla publiczności niehiphopowej. Choć krytycy muzyczni religijnego półświatka, do tej grupy właśnie odsyłają fanów Wu-Tang i Eminema!

Najciekawsze rzeczy dzieją się wokół wytwórni Uprok. Deepspace 5 to spora drużyna opierająca się głównie na członkach Pride i Łabklik, którzy w 1998 dogadali się z Sev Statikiem, znanym zresztą z płyty naszego Kut-O. Ich wizytówką jest album „Night we called it a Day" wydany przez Uprok. Słucha się go bardzo dobrze, bo to odpoczynek od brzmień przekombinowanych, przearanżowanych. Po prostu sampel, bas i perkusja. Surowość, ale pełna klasy. Z próbką najczęściej nie dzieje się nic, jednak słychać po niej, że przegrzebano w jej poszukiwaniu sterty winyli. Werble i stopy ułożono niezwykle starannie, z gracją, już właściwie sama linia rytmiczna z wokalami mogłaby porwać. Raperzy są bowiem bardzo zróżnicowani – od „białych", histerycznych flow w rodzaju Sage'a Francisa czy Groucha, po konkretne, bardziej rytmiczne nawijanie. Świetnie funkcjonuje to jako całość, wolne jest od fanatyzmu. Największym koszmarem mc's jest nie to, że ktoś wciąż steka w piątek, założył prezerwatywę, czy poszedł do supermarketu w niedzielę, ale sytuacja w której słuchacz „zaczyna spać, kiedy oni zaczynają nawijać". Mars III to projekt związany z Deepspace, w którego skład wchodzą Dust i Manchild. Jest ostrzejszy, z bezkompromisowym społecznym zacięciem, ofensywnie ustawionym basem, brudnymi werblami i „krwistymi" samplami. Przykładowy tekst? Np. „Alfa samiec", w którym pokazany jest macho pomiatający swoją ciężarną żoną, wykorzystujący jej uzależnienie od siebie do zdrad, pijaństw. „Nie chciałem rozwalić Ci twarzy, chciałem rozwalić twojego ducha" mówi „zwierzę, wersja 5.0". W drugiej zwrotce pokazany jest inny człowiek, wolny od „porządku ustalonego przez Maxima/Playboya, itd.", wierzący i nauczony kochać, „prawdziwy facet, wersja 6.0". To materiał hardcore'owy, bardziej zaangażowany ideologicznie i napastliwy, jednak na tyle dobry, by MF Doom odezwał się do Manchilda (mc w Mars III) z prośbą o występ na drugim „Victor Vaughn".

Obserwatorzy zwykli kwitować współczesny hip-hop chrześcijański jako coś, co zatrzymało się w klimatach hip-hopu lat 80. i może wczesnych 90. I tak właśnie to brzmi, z tym że jedni nawiązują do p-funku, starego disco, uduchowionej lekkości Native Tongues, inni zaś do drapieżności, surowości, minimalizmu, boom-bapu. A Pigeon John po prostu sampluje sobie ponury rock. Można przy tym bardzo odpocząć od złotych zębów, dziwek, szelestu kreszu, plastiku. ***(flint)***

Psalm 23



Pamiętacie czasy, kiedy „Młodzi gniewni" święcili triumfy w kinach, a hitem numer jeden był promujący ów film singiel „Gangsta's Paradise" Coolia? Pewnie niektórzy tak, ale nie to jest istotne. Wspomniany przebój zaczyna się od słów: „Idąc ciemną doliną / spojrzałem na swoje życie, zdając sobie sprawę, że nic już nie ma" jest to przeróbka jednego z najpopularniejszych cytatów pochodzących z Biblii, na który powołują się amerykańscy raperzy, czyli fragmentu Psalmu 23. W tłumaczeniu Biblii Tysiąclecia brzmi on: „Chociażbym chodził ciemną doliną / zła się nie ulęknę, bo ty jesteś ze mną". Zazwyczaj mc's sięgają po niego w numerach o twardym życiu w getcie - „Mroczny dzień, idę ciemną doliną / zła się nie lękam, każdy w końcu musi umrzeć" (Geto Boys), „Chodziłem ciemną doliną śmierci / paląc papierosy, stale, krok po kroku" (Noreaga w gościnnym występie u Kool G. Rapa na składance Soundbombing III). Motyw ten przewija się także w klasycznych utworach pokroju „Ja i moje złomy", jak 69 Boyz w kawałku „Freak Ya Down 2 Da Bass Lyrics": „Chociażbym chodził ciemną doliną / zła się nie ulęknę, bo mój człowiek jest przy mnie". Co ciekawe P. Diddy'emu tak bardzo przypadł akurat ten fragment do gustu, że wykorzystał go conajmniej dwa razy – na pośmiertnej płycie Notoriousa „Life after death vol. 2", oraz na soundtracku do filmu „Bad Boys II", gdzie zestawienie patetycznego cytatu z tradycyjną gadką Puffa wypada dość groteskowo – „Chociażbym chodził ciemną doliną / zła się nie ulęknę, bo ty jesteś ze mną / to Bad Boy dziecino, widzieliśmy wzloty i upadki, aha". Broni się natomiast najsłynniejszy konkurent Biggiego, 2pac: „Chociażbym chodził doliną piekieł, a cień za mną podążał / wiedza jest ciężka do przełknięcia, jutro oczekuje przeprosin...". Ów wers z „As the world turns" jest dość zagadkowy. Sporo dzieje się też dalej: „Modlę się do czarnego Jezusa – Proszę weź to, co ze mnie zostało".

Najczęściej artyści nie wysilają się nazbyt i po prostu przytaczają wersy nie zmieniając ich - jak choćby Wycleff Jean w utworze poświęconym swojemu ojcu, lub tylko nieznacznie ingerując. Z resztą łatwo wychwycić to w najnowszym singlu Kanye Westa „Jesus Walks": „Idę ciemną doliną, gdzie śmierć jest / ostatnie piętro, sam widok zapiera dech w piersi". Tylko niektórzy decydują się na śmielsze parafrazy, jednej z najlepszych dokonał Killah Priest w utworze „Hard Times" : „Niektórzy mówią, że dusza martwego anioła tkwi we mnie / spójrz w moje oczy – są zupełnie puste / rażeni biedą uderzani rózgą zazdrości / czają się w ciemnej dolinie / włóczą mnie za skrzydła ujrzawszy wizerunek bestii". Mroczne, prawda? ***(cess)***

RAP chrześcijański raport

B.A. B.A.

Wersy przełamanego buntu



nowa twarz

O reprezentancie dębickiej sceny – B. A. – możecie przeczytać co nieco w raporcie dotyczącym sceny chrześcijańskiej. Nie jest jednak „nową twarzą" z racji wiary, po prostu jego ewolucja z gościa nagrywającego kawałek o szkolnym nauczycielu pod podkład „Life's a bitch" Nasa, w chętnie zapraszanego do współpracy artystę jest na tyle ciekawa i przynosząca na tyle udane efekty, że postanowiliśmy dać mu szansę szerszej wypowiedzi, zaś Wam czytelnicy, coś, co pozwoli lepiej zrozumieć dwa znajdujące się na cover cd utwory.

Wiara najczęściej daje ludziom spokój, wyciszenie. Takie odniosłem wrażenie. Tymczasem dla ciebie potrafi być „nowym murem". Twoje teksty pulsują pełną gamą emocji, sporo jest w nich poczucia własnej krzywdy, niedocenienia.

Widzisz... Mogą być dwa powody. Pierwszy: generalnie, jak siadam do pisania tekstu, to mam humor samobójcy, powodowany dosłownie wszystkim – począwszy od hip-hopu, przez uczelnię, aż po ludzi, z którymi stykam się codziennie. Ten drugi jest trochę bardziej złożony. Robię hip-hop około 8 lat. Słowa „poczucie krzywdy" słyszałem niemalże z każdej strony. Już na początku nie mogłem zrozumieć, kiedy tzw. ziomek z kiepskimi rymami uważany był za kogoś lepszego. Nie mogłem zrozumieć, że ktoś, kto nie nosi modnych ciuszków jest lamusem, że według wielu hip-hop to kilka stereotypowych zachowań, itp. Ja byłem kimś innym. Spotkało mnie przez to wiele bardzo nieprzyjemnych rzeczy, przez co nierzadko traciłem wiarę. Za każdym razem siadałem w swoim małym pokoju i pisałem w poczuciu krzywdy. Robiłem wszystko, by moja liryka i bity stawały się lepsze, nie dając tym samym szans na krytykę. Powiedziałem sobie, że już nigdy nie będę się promował. Jak widzisz, wegetowałem kilka lat, nagrałem kilka płyt. Bardzo ważne jest dla mnie, że to właśnie hip-hop się o mnie upomniał, o co przecież nie prosiłem. Ogólnie rzecz biorąc: jestem indywidualnością kształtowaną przez niezrozumienie.

W jednym z utworów za metaforę, a może już właściwie alegorię, służą ci „nowe posągi Buddy". Czy nie jest ona ryzykowna w ustach chrześcijańskiego rapera i co chciałeś powiedzieć przez wers „uczą wiary, uczą wątpić"?

Jest taka świątynia Sanjusangendo w Kyoto mieszcząca 1000 posągów Buddy. To taka metafora naszego życia – człowiek ma wiele twarzy („masz twarz w tysiącu posągach"), ale sam w sobie jest jeden, podobnie jak Budda. Człowiek wpływa na to, czy jesteśmy weseli, czy smutni. Uważam, że to on w dużej mierze nas kształtuje. Właśnie dlatego metaforyczne posągi Buddy obarczam wersem „uczą wiary, uczą wątpić". A co do tzw. „chrześcijańskiego mc"... Nie boję się tego określenia, ale uważam, że jest nietrafione. Jak to mówi mój znajomy Adam Rymarz, wkrótce wierzący piekarz będzie robił „chrześcijańskie bułeczki", a mechanik naprawiał „chrześcijańskie rowery".

„Orient" i „Orient 2004" jest w znacznym stopniu oparty o brzmienia – jak sama nazwa wskazuje – orientalne. Koncepcja połączenia ich z takim przekazem i ujęcia w ramy hiphopowe jest bardzo egzotyczna...

Był taki moment, że nie potrafiłem odnaleźć inspiracji w żadnej muzyce, której słuchałem. To mnie bardzo zablokowało. Wiedziałem, że moje podkłady były wciąż na tych samych patentach, nie było w nich nic nadzwyczajnego. I tu w mojej płytotece pojawiła się jedna płytka. Na jej okładce był enigmatycznie wyglądający zamek, do którego prowadziły ogromne schody. W środku znalazłem kilka ciekawych zdjęć ozdobionych kilkoma znaczkami z charakterystyczną roślinką botaniczną. Tekst, który rozpoczynał album, leciał mniej więcej tak: „Niech potęga...". Chyba każdy już wie, że to Cypress Hill. Ta płyta dała mi nowe spojrzenie na muzykę, znalazłem inspirację. Potem musiałem jeszcze długo czekać i było warto. Zgromadziłem fantastyczne pearlowskie bity i orientalne sample. Ta nowa ozdoba nadała lepszy kształt moim tekstom. Dziś mogę się pochwalić drugim orientalnym albumem. Choć wydaje mi się, że jest on czymś, czego w hip-hopie jeszcze nie było, recenzję zostawiam Wam.

„Nie będziesz Pete Rockiem" – obwieszczasz wielu wykonawcom na scenie. Mówisz też, że „wtórna sztuka krzyczy bez pokory / to nie dzieci rapu, to rapu nowotwory!". O kim? Do kogo? Dlaczego?

Pete Rock to symbol prawdziwego hip-hopu. To filar, który powinien stanowić podporę dla ludzi związanych z kulturą. Niestety, jak pisze jeden magazyn, statystyczny hiphopowiec wychowany jest na muzyce pop. Powstaje wiele grup, których pseudo-artyzm ogranicza się jedynie do przerabiania hitów, używania tandetnych i plastikowych bitów, schematycznych i banalnych tekstów itp. Na tych ludzi mam słowa: „ile znaczą ludzie, co nie znają Ojca swego", jak również te, które przytoczyłeś w pytaniu. A co do słów „Nie będziesz Pete Rockiem"... Jest wiele młodych pereł, które nigdy nie wyjdą na światło dzienne. Dlaczego?! Bo stereotypowe i bardzo ortodoksyjne środowisko hiphopowe zamyka się na coś dobrego, ponieważ wychodzi to poza getto utartych schematów! Pomijając, że to mój osobisty hołd złożony P. R., słowa te są solidarnością z kilkoma talentami.

Wiadomo, że Pete Rock to legendarny producent, ale co w nim urzekło cię tak mocno, że aż posłużył ci za symbol?

W sumie obok niego powinienem postawić The Roots, którzy wypuścili ostatnio kolejną perełkę. A Pete Rock to rzeczywiście żywa legenda, mc, producent, symbol prawdziwego hip-hopu. Ma świetne, tłuste bity. Jego teksty są bardzo kunsztowne. Od czterech lat słucham jego nagrań i wcale się nie starzeją. Zresztą komu ja to mówię?

Nagrałeś coś w stylu osobistego podziękowania dla Commona „Róże przyjaźni najpiękniej kwitną we wspomnieniach". W życiu teraźniejszym nie kwitną więc wystarczająco pięknie? A może po prostu strach je chwycić ze względu na kolce?

Być może boję się kolców, ale to róża mi je od lat wbija.

Gościsz na swojej płycie Martę Florek z Limanowej, zdobywczynię II miejsca na międzynarodowym festiwalu muzycznym w Warnie. Jak doszło do współpracy i czy dlatego nie dograłeś do utworu żadnej zwrotki, bo onieśmielił Cię ten bardzo silny i czysty głos?

Marta ma 17 lat, świetną barwę głosu, ciekawą osobowość i w sercu czuje soul. Poznałem ją na ogólnopolskich warsztatach muzycznych, gdzie zresztą wystąpiłem z najlepszymi polskimi instrumentalistami jazzowymi. Okazało się, że mamy wspólne zdanie na kilka tematów. Potem wysłałem jej list, w którym dałem kilka podkładów. Marta oddzwoniła w dniu otrzymania przesyłki. Napisała tekst i zaaranżowała go do muzyki, śpiewając mi do słuchawki około pierwszej nad ranem. Zaprosiłem ją do studia, by zobaczyć jak to wszystko wyjdzie. Efekt przerósł moje oczekiwania. Powiedziałem jej o swoich najnowszych planach, ona wyraziła aprobatę. „Mam to w sobie" to próbka. Mogę tylko powiedzieć, że wspólnie damy słuchaczom porządną lekcję czarnej muzyki. Będzie to mała niespodzianka, ale szczegółów nie mogę zdradzić.

Chrystus ukrzyżowany na kobiecych udach jako reklama filmu Formana, „Dogma" Smitha, w której Bóg jest kobietą i pojawia się trzynasty apostoł nie wspomniany przez Biblię, gdyż był czarny, a nawet „Jestem Bogiem" Paktofoniki – wszystko to wywołało protesty środowisk dewocyjnych. A jak jest z twoją tolerancją tego typu dzieł?

Jeśli chodzi o film „Dogma", to nie mam zdania, gdyż go nie oglądałem. Jeśli chodzi o „Jestem Bogiem"... No cóż, dla mnie Magik to poeta. Każdy wieszcz budzi kontrowersje. My jednak nie dowiemy się, co czuł, co chciał wyrazić pisząc swoje teksty. Odkąd K44 zdobył popularność, słyszałem krytykę, ale powiedzmy sobie szczerze: ten, kto popełnia samobójstwo, ma zapewne jakiś poważny problem w swoim życiu. Magik drastycznie nam pokazał, że jest panem swojego losu. Moja rada: nauczmy się najpierw pomagać, potem nauczmy się rozumieć, a dopiero na końcu oceniajmy! Sparafrazuję tu mądrą wypowiedź: śpieszmy się widzieć talenty, tak szybko odchodzą!

Księża grali niedawno z raperami w piłkę nożną. Gdyby mecz się powtórzył i siedziałbyś na trybunach, komu byś kibicował?

Bardzo cieszę się, kiedy ludzi łączy idea pomocy innym. Powiem tak: nigdy nie byłem „kibicem jednego klubu". Będę kibicował każdemu, bez względu na to kim jest, jeśli bramka, do której chce kopnąć piłkę przywróci komuś metaforyczny uśmiech.

.:pytał Flintstone:.
.:foto z archiwum B.A.:.

dj SPOX scratching 06

W ciągu ostatnich kilku dni w większości moich rozmów ze znajomymi dj'ami powtarzał się temat kupowania case'ów lub toreb na płyty, jak i skrzyń na gramofony czy miksery. Padło dużo ciekawych uwag, cennych dla ludzi, którzy stoją przed wyborem opakowań na swoje zabawki. Postaram się więc co nieco przybliżyć te kwestie, aby już nie odpowiadać na pytania typu „czy lepiej kupić torbę czy case".



Case Magma na 80 płyt

Najpierw więc polecimy po płytach. Będą one jeździć z nami zawsze, bo o ile sprzęt jeszcze czasem się w klubach znajdzie, to płyty raczej wypada mieć swoje:). W związku z tym należy im zapewnić jak największy komfort podróży. Nie chodzi oczywiście o zimne napoje i poduszeczkę czy case z klimatyzacją. Ważne jest, aby podróżowały bezpiecznie i nie były narażone na uszkodzenie przez uderzenie, zgniecenie, temperaturę, deszcz etc. Odpaść powinny więc od razu wszystkie kartony, torby plastikowe, kiepskie skrzynki. Przy okazji – nigdy nie używajcie składanych skrzynek za 10 pln z hipermarketów. Jest to wspaniała rzecz na zabawki dla dziecka, NIGDY na płyty! Skrzynka taka potrafi się rozpaść od razu po włożeniu do niej płyt, nawet bez podniesienia takowej w górę, czego sam byłem świadkiem. Ale powróćmy do tematu oraz do pytania o to, czy lepszy jest case czy torba na płyty. Wszystko ma oczywiście swoje plusy i minusy – torba jest lżejsza od case'a, ale w nim nie przetrą się rączki. Torba ma dodatkowe kieszenie, case jest bezpieczniejszy dla płyt. Co można powiedzieć na pewno: gdy będziecie mieli się dostać gdzieś samolotem, wybierzcie case. Gdy chcecie zabrać ze sobą tylko jeden lekki pakunek, a w nim wszystko, raczej torbę. Od siebie mogę dodać, że widziałem już kilka rodzajów wadliwie wykonanych toreb na płyty, ale nie widziałem jeszcze źle zrobionego case'a. Z mojej wypowiedzi można pewnie wywnioskować, że jestem zwolennikiem case'ów, ale muszę powiedzieć, że używam jednego i drugiego, w zależności od imprezy, ilości płyt, czy miejsca, do którego jadę. Często dorzucam sobie też kilka płyt do plecaka, który idealnie mieści set koncertowy (jak Ty żeś to, Sewer, wyliczył:)). Wielu dj'ów wozi ze sobą i torbę i case, co pozwala im na zabieranie większej ilości płyt w dobrze ułożony wagowo sposób. Przy kupnie torby należy zwrócić uwagę na sposób mocowania rączek (po jakim czasie i przy jakim obciążeniu mają prawo się urwać), na boki, a szczególnie dno torby (czym jest wypełnione, jak wzmocnione, jak i czym szyte – widziałem kiedyś torbę znanej firmy, która z daleka wyglądała dobrze, ale główny szew od dna był tak wyprowadzony na zewnątrz, że zaczynał się przecierać po kilku postawieniach i przesunięciach po podłodze pustej torby). Co do case'a, to polecam kupić standardowy flight case (czyli z zaokrąglonymi bokami – wygodniejszy) na 80 płyt, otwierany w połowie, tzw. 50/50. Na imprezie można użyć dwóch części case'a do płyt lub stanąć na jednej w przypadku, gdy stół z gramofonami jest zrobiony dla Shaquille'a O'Neala.

Podstawową rzeczą, do kupienia której zachęcam wszystkich (niezależnie czy posiadają torbę czy case), jest specjalny, składany wózek na płyty. Zapomnijcie o wszystkich stelażowych opcjach na zakupy swojej mamy czy babci. 2 kilo ziemniaków i cukru po chodniczku do domku się dowiezie. Kilkunastokilogramowej torby lub case'a z płytami po prostu nie. Wózki na płyty robi kilka firm, można je spokojnie dostać u nas za słuszne pieniądze, a wyświadczą wam niejedną przysługę nawet niekoniecznie przy kwestiach muzycznych. Polecam jako gadżet roku dla dj'a. Niezależnie też czy w torbie czy w case'ie płyty nie lubią zbyt dużego tłoku jak i zbyt dużego luzu. Pisałem już, co dzieje się z płytami, gdy są zbyt mocno ściśnięte. Natomiast, jeśli sobie latają luzem, to też im raczej nie służy. Zrolowany ręcznik powinien pomóc. Może się zdarzyć opcja, że nie będzie kogoś stać na profesjonalny case lub torbę. Optymalnym rozwiązaniem staje się wtedy plastikowa skrzynka po mleku – załatwiamy sobie dwie sztuki, jedną na spód drugą na wieko, w obydwu wykładamy dno gąbką (na tyle, aby po założeniu jednej na drugą płyty nie miały luzu) i gotowe. Taki case klasy ekonomicznej, który również pasuje na wózek. W drugiej części opiszę wam opcje case'ów na sprzęt.



Torba Technics

Jeżeli jeździcie ze swoim sprzętem zawsze i posiadacie wygodne urządzenie do poruszania się w czasie i przestrzeni (czytaj samochód, bryka, fura, etc.), to może warto się zastanowić nad jednym case'em na cały zestaw. Jest to wprawdzie diabelnie ciężkie, ale pozbywacie się ten sposób opcji podłączania kabelków, co często jest trudne, patrząc na ustawienie sprzętu w klubach, rozmiary dj'ki. Łatwiej też jest takie coś ustawić na nierównych stołach. Jedna z firm w USA robiła jeszcze jakiś czas temu coś w stylu case'a na zestaw z nóżkami teleskopowymi wytrzymującymi ciężar i lekko amortyzującymi, ale nigdy czegoś takiego na oczy nie widziałem. Jednakże po ostatnich wyczynach naszych polskich firm produkujących skrzynie (widziałem skrzynie na harfę, kontrabas, czy, ehm, polowy warsztat rowerowo-ślusarski) sądzę, iż nie ma problemu, aby sobie coś takiego zamówić. Acz pewnie cena byłaby dość dłuuuuuga. Jeżeli jednak bardziej interesują Was opcje pojedynczych case'ów, to jest tak: najczęściej będziecie ze sprzętu zabierać mikser, który zresztą polecam brać szczególnie w miejsca nieznane i niesprawdzone. Miksery są różne, więc nie ma w zasadzie jednego rozmiaru case'a. Warto więc zamówić sobie case według wymiarów własnego miksera, bo nawet gdy będziemy go sprzedawać, to można go spokojnie puścić komuś z case'em. Mikser, jak wiadomo, jest delikatna kwestią, więc wskazane jest, aby miał wygodne miejsce pracy. Przy projektowaniu sobie case'a zwróćcie uwagę, czy będziecie do grania wyjmować mikser, czy pozostanie on w skrzynce. Jeżeli zostaje, to należy wziąć pod uwagę dostęp do kabli, wszystkich przełączników z przodu i z tyłu miksera, a także, co jest ważne, a czasem lekceważone – dostęp powietrza, bo miksery zazwyczaj mocno się grzeją. Z ogólnych wymiarów trzeba sprawdzić wysokość miksera i wymierzyć tak, aby po zamknięciu pokrywy mikser się nie przesuwał i aby gąbka nie uciskała zbyt mocno na ladery czy przełączniki. Pozostałe kwestie typu kształt, kolor, styl kątowników lub rączka są do wyboru. Co do rączki proponowałbym tylko mocowanie na śruby, aby w razie awarii można było ją wymienić. Popularne walizki narzędziowe stały się ostatnio najtańszymi opcjami na przewóz mikserów, gdyż są lekkie, tanie, wygodne i dość mocne, a po wypełnieniu dobrze gąbką można spokojnie schować tam większość typów mikserów. Ostatnią opcją są skrzynie na gramofony. Tutaj jest najmniej filozofii. Wszystkie typy gramofonów dla dj'ów mają tak zbliżone rozmiary, że w większości przypadków można zamawiać standardowy rozmiar case'a, wyjątkiem jest nowy gramofonomikser QFO Dj'a Qberta, ale to są już kosmiczne opcje. Jedno, na co warto zwrócić uwagę, to waga naszego gramofonu, gdzie przykładem może być ciężar Vestaxa PDX w stosunku Stantona 150 (właśnie – Stan Tona). Producenci skrzyń na gramofony wiedzą jak je optymalnie złożyć, a ja mogę tylko przypomnieć, że przy transporcie gramofonu należy zdjąć igłę i slipmatę, złożyć uważnie kable tak, aby ich nie przyciąć i aby nie porysowały gramofonu, sprawdzić czy w case'ie nic nie lata luzem i przyblokować talerz albo kawałkiem gąbki, który powinniście dostać z case'em, lub w przypadku jego braku – ręcznikiem. Tylko czystym.

.:dj SPOX:.



DJ muggs



Zespół Cypress Hill to legenda... Można nawet powiedzieć ikona amerykańskiego hip-hopu. Płyta „Black Sunday", która dotarła do Polski na początku lat 90. była jedną z tych, które przetarły drogę dla rapu z USA. Na pierwszych imprezach DJ'a Volta w Klubie „Alfa" wszyscy bujaliśmy się wymieniając porozumiewawcze spojrzenia w rytm „I want to get high", bądź skakaliśmy jak opętani przy „Insane in the Brain". Na początku lipca tego roku Cypress Hill nareszcie zagościło w Polsce na jedynym koncercie (Open'er Heineken Music Festival). Niestety, nie dane było mi rozmawiać z całym zespołem, ale dostałem wywiad z DJ'em Muggsem, który jest także znakomitym producentem „nastukanych", mrocznych bitów.

Widziałem koncert Cypress Hill w zeszłym roku w Hamburgu. Graliście wtedy wraz z Xzibitem, 50 Centem i Eminemem. Czy wolisz tego typu hiphopowe trasy, czy raczej festiwale takie jak ten, gdzie prezentowane są różne gatunki muzyczne?
Lubię robić różne rzeczy, zbyt wiele tego samego daje w efekcie nudę. Wiele razy gramy koncerty, na których jesteśmy tylko my i nasi tani. Potem wyjeżdżamy na wielkie trasy, takie jak ta z Eminemem i 50 Centem, a czasem gramy na festiwalach, gdzie nie wiemy nawet do końca kto będzie występował. Raz jest to Metallica, innym razem Sean Paul, bądź Pink. Ja bardzo lubię przyjeżdżać do Europy i poznawać nowych ludzi, nowe miejsca, inne jedzenie. Wchłaniasz też język i kulturę tych krajów, bo informacje w mediach pokazują to inaczej. Kiedy sam gdzieś trafiasz, to poznajesz ludzkie serca i dusze, widzisz że są dobrzy i nie opiera się to tylko na polityce jak w TV.

Kiedy słucha się waszych płyt, słychać dużo inspiracji różnymi stylami muzycznymi. Macie bardzo rockowy kawałek „Rock Superstar", na ostatnim albumie słychać reggae w utworze nagranym z synem Boba Marleya. Lubisz mieszać gatunki?
Jestem artystą i odmawiam malowania wciąż tych samych obrazów. Lubię stawiać sobie wyzwania i próbować różnych rzeczy. Nasz pierwszy album był inspirowany rockiem, ale to był cały czas rap. Myśmy wychowywali się na Run DMC, Beastie Boys, LL Cool J i Public Enemy. To wszystko było natchnione rockiem – samplowana Metallica, riffy gitarowe i rockowa perkusja – cały hip-hop taki był. Ludzie gdzieś się zagubili po drodze i myślą że to połączenie, to coś nowego. Właściwie to było na początku, dopiero potem zaczęto samplować funk i jazz. Ja dorastałem przy hh i rocku klasycznym, więc na pierwszych płytach dużo tego samplowałem, ale brałem też bluesa i soul.

Powiedz coś o ekipie Soul Assassins do której należysz, czy dużo osób w niej jest? Czym się zajmujecie?
Soul Assassins to organizacja działająca poza Cypress Hill, zrzeszająca naprawdę wielu artystów. Są to nie tylko raperzy i producenci, np. Mr. Scandalist robi nam klipy i sesje fotograficzne, oprócz tego prowadzi swoją firmę odzieżową. Cartoon dba o oprawę graficzną do różnych naszych wydawnictw. Mamy swój sklep samochodowy, robimy tam fury. No i oczywiście jest z nami jeden z najlepszych producentów hh – Alchemist. Oprócz tego mamy mnóstwo żołnierzy (śmiech). Tworzymy zespół kreatywnych umysłów mających wspólne cele. Pomagamy sobie wzajemnie. Kiedyś zlecaliśmy różne prace ludziom z zewnątrz, a oni lansowali się na tym i nie okazywali wdzięczności, więc teraz wszystko zostaje w rodzinie.

Od dawna nie kryjecie się z ziołem i otwarcie opowiadacie się za legalizacją. Czy mieliście z tego powodu jakieś problemy, odwołane koncerty?
Właściwie to zioło jest legalne (śmiech), palimy wszędzie i kiedy chcemy. Wspomagamy organizację w USA walczącą o zmianę prawa odnośnie „Mary Jane". Zbieramy dla nich hajs, aby mogli trafić do kongresu. Jak się tam dostaną, to będą uprawiać lobbing. Takie działania dały już efekt, bo w tej chwili marihuana ma medyczne zastosowania w Kalifornii i jest legalnie sprzedawana na receptę. My o jointach wspominaliśmy od bardzo dawna. Wtedy inni raperzy byli raczej anty, Dr. Dre rapował: „Don't smoke weed. It gives brotha' a brain damage", Brand Nubian też potępiali palenie, a my otwarcie mówiliśmy, że lubimy jointy. Potem wychwalanie się ziołem stało się cool i wszyscy zaczęli o tym rapować... po nas.

Wiem, że graliście w Amsterdamie na imprezie zwanej „Cannabis Cup", jak wrażenia?
Człowieku, było tego tyle, że na jakiś czas miałem dosyć (śmiech). Przynosili nam całe krzaki, jeszcze nawet nie wysuszone. Ja teraz palę już tylko okazjonalnie, nie to, co kiedyś. Lubię stan upalenia, jestem wtedy kreatywny przy tworzeniu bitów, albo joint na plaży i pełen relaks...

Czego używasz do produkcji bitów?
Działam różnie. Czasem siadam i sampluję całą noc, innym razem używam instrumentów. Szybko się nudzę, więc często zmieniam techniki, idę do przodu i patrzę, co z tego wychodzi. Jeśli chodzi o instrumenty, to na koncertach zawsze mamy perkusistę, kongi, dzwoneczki.

Kiedy byłem w LA 10 lat temu, to widziałem wszędzie uliczne gangi, dzieciaki ginęły w strzelaninach wywołanych błahostkami, tagi na murach nie kojarzyły się ze sztuką graffiti, tylko z gangami oznaczającymi strefy swoich wpływów. Czy wciąż to istnieje, czy trochę się uspokoiło?
Gangi są przerażające, jest tego coraz więcej. Teraz to po prostu nie jest już tak nagłaśniane w mediach, ale fala zbrodni rośnie trzeci rok z rzędu. Jeśli nie ma tego w newsach, to ludzie o tym zapominają. Teraz walki gangów przeniosły się nawet do bogatszych dzielnic, średnia klasa myśli, że to jest fajne, że to taka zabawa „Indianie vs. Kowboje".

Wydałeś swój album producencki „DJ Muggs presents Soul Assassins", czy planujesz jakieś dalsze solowe produkcje?
Właśnie rozkręcam swój label z ziomem z ekipy Sell Scientific, będzie się nazywał Angeles Records i tam mam zamiar wydawać mixtape'y, mam teraz projekt na miksy rockowych podkładów z hiphopowymi accapellami. Będą się tam na pewno pojawiać moje nowe rzeczy. Sprawdzajcie moją stronkę www.muggs.com! Hip-hop jest teraz w dziwnym miejscu, bo są te duże wytwórnie, a fajne niezależne labele zniknęły - Rawkus, Loud, Tommy Boy zostały wessane... Def Jam nie jest już tym, czym był kiedyś. Wszystko się zlewa w jedno, niedługo zostanie pewnie jeden mejdżers. Już nie jest potrzebny zakład stolarski i ślusarski, bo pojedziesz do jednego hangaru handlowego i kupisz tam wszystko. Wracając do tematu, to nasz lebel ma przywracać undergroundowy hh. Płyta może się sprzedać w 100000 egzemplarzy i to wystarczy, bo będzie miała swoją określoną markę i miejsce.

Czyli postawisz na nowe twarze?
Na nowe i stare też. W latach 80., kiedy widziałeś na płycie znaczek Def Jam, to łykałeś ją w ciemno, teraz tak nie jest. My chcemy nawiązać do tego zwyczaju.

Dzięki ogromne z wywiad.

.:rozmawiał CNE:.

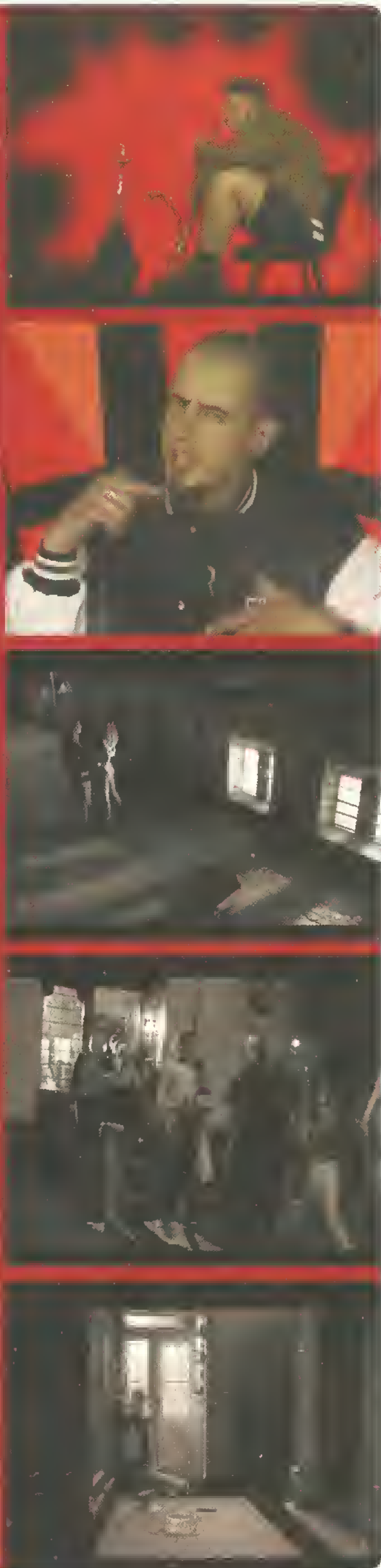


zaCNE strony

NOWE KLIPY

RED ANT FILMS





Siemka, siemanko, witamy po wakacjach!

Szybko przeleciały, ale pozostawiły na pewno wiele niezapomnianych wspomnień, które zainspirują twórców teledysków. Widzimy lekki deficyt w letnich produkcjach, no a tu już mamy jesień... Dla jednych to okres nostalgii i melancholii, deszczu na szybach i przytulanych wieczorów u boku różnych osób. Dla innych to okres wzmożonej aktywności imprezowej na domówkach, w klubach, samochodach i na kla[illegible] my normalnie w mrowisku siedzimy i tylko te klipy non-stop.

Mamy tu takie dwa cacka...

WWO „Sen"

Wy już też możecie go obejrzeć, więc nie będziemy gołosłowni. Czasem zdarza się tak, że ktoś przystępuje do pracy z pomysłem, przygotowany i z przemyślanymi planami zdjęć. Takie rzeczy widać od pierwszego ujęcia. A w tym klipie pierwsze ujęcie daje tempo konsekwentnie utrzymane do końca utworu. Mało tego, subtelnym zaskoczeniem przykuwa uwagę widza wystarczającą na kilka kolejnych obrazów. Zaskoczenie to zostało skonstruowane inscenizacją: na stole leży telefon, w pobliżu siedzi mężczyzna, dzwonek. Mężczyzna nie podnosi się przez dłuższy czas. To podnosi napięcie. Telefon odbiera inny facet, którego nie było widać na początku ujęcia. Co się stało? To właśnie magia kina. Intrygują nas: brak reakcji mężczyzny na dzwonek telefonu i uchylone drzwi, przez które wpada światło. Napięcie rośnie i z informacji, jakie posiada widz, rozładować je może tylko mężczyzna siedzący po lewej stronie kadru. Zaskakuje nas to, że rozwiązanie przychodzi z przeciwnej strony kadru. To zaskoczenie przykuwa naszą uwagę na kolejne sekwencje. Dostajemy w tym ujęciu klucz do rozszyfrowania następnych intrygujących sytuacji. W ten sposób zawiązuje się zabawa reżysera z widzem. Wiemy, że ten drugi nie ma szans, ale zadaniem reżysera jest uciekanie w taki sposób, żeby nie zostawić widza zbyt daleko. Ogromne znaczenie mają czarne przejścia niby przez mur, niby przez strop. Odpowiedni rytm tych przejść daje pauzy, oddzielające sekwencje klipu. Poza zabawą w inscenizację, niezłą sztuką popisał się operator, bardzo dbający o szczegóły, konsekwentnie obserwujący świat w kontrowym oświetleniu. Cały utwór wykonany w konwencji jednego ujęcia. W takim układzie szalenie ważne jest utrzymanie stałej prędkości ruchu kamery, tu troszeczkę musieli się chłopaki podeprzeć montażowym przyspieszeniem, ale nie jest to specjalnie rażący błąd, tym bardziej, że pojawia się kilkakrotnie i za każdym razem podprowadza nas do wydarzenia synchronicznego w obrazie i dźwięku, np. spadający TV, przed którym zatrzymuje się trójka bohaterów – ważne, że tuż przed tym, dziewczyna odwraca się lekko tyłem, trafiając idealnie pośladkami (ślicznymi) w smugę światła z okienka piwnicznego.

Myślicie, że to przypadek? Ruch aktorów na planie jest niezłą choreografią. Nie wiem na ile jest to celowe, ale zgadzają się ruchy głów aktorów mijanych przez kamerę. Gra z widzem dotrzymana do samego końca, który odchodzi powoli w nieznaną stronę. Git!

Oczywiście nie obejdzie się bez spostrzegawczości Czerwonej Mrówki. Są dwa momenty w tym klipie, przy których bolą nas oczy. Ulicą idzie Sokół – szybki, zdecydowany krok, ciemna ulica – lekki hardcore, aż tu nagle z klubu 'sponsorowanego' wypada grupa młodych ludzi... Ucieszeni jak na występach Gawędy, tanecznym krokiem wyskakują jak sprężyny – wygląda to słabo i potwornie wybija z tajemniczego, nocnego klimatu. Sokół jednak idzie dalej, skręca do klatki, wchodzi kilka stopni i... nagle w otwartych drzwiach faluje biały kabel pewnie od podglądu ze steady camu.

Ktoś może powiedzieć „ale się przyczepili!" A przyczepili się, bo diabeł tkwi w szczegółach! Klip jednak bardzo się nam podoba ;)

AbradAb „Rapowe ziarno 2 (Szyderap)"

No i doczekaliśmy się, pojawił się drugi teledysk promujący płytę Abradaba. Pierwszy wesoły i kolorowy klip z fajną grafiką. Można spokojnie powiedzieć, że grafika odnosi się do modnego ostatnimi czasy na świecie stylu 2D z elementami 3D (np. Black Eyed Peas „Hey mama"). Do tego mocna czerwień połączona z czernią i dodatki żółci oraz zieleni – to wszystko tworzy niepowtarzalny i bardzo charakterystyczny klimat. Oko widza zaczyna być wciągane w zabawę obrazami. Różne sprytne przejścia między ujęciami, zabawne scenki mocno łączące się z grafiką, wszystko to składa się na ten świetny klip. Jest jednak coś, co nie pozwala oddać się w pełni tej miłej podróży... Chodzi tu o jakość ujęć z aktorami z blueboksów. Dokładniej rzecz biorąc, światło tych materiałów jest straszne! Wszyscy „zapaleni na blachę", czyli lampa odpalona prosto w twarz i tyle. Żadnej kontry, ani nawet drugiej lampy z dołu albo z boku, cokolwiek. Nic.

Pracowanie z blueboksem jest trudne, ponieważ trzeba stworzyć osobne światło dla tła i osobne dla bohatera, tak aby wszystko dało się wykluczować i do tego trafiało w klimat grafiki lub tła docelowego. Tutaj się to troszeczkę rozminęło, no i te synchrony...

Wrażenie, które pozostaje po obejrzeniu jest bardzo dobre, a do tego Mrówka lubi „te klimaty" wizualne, więc jest happy.

No to czas na małą przerwę z Marią, więc... bucha.

PS. Jakby co to książka skarg i zażaleń leży na redant@op.pl

Tomasz Lipiński



Gdybyś miał z kimś nagrać kawałek, to z kim i dlaczego?
Gdybym miał nagrać z kimś spoza mojego naturalnego kręgu, to faktycznie miałbym problem. Jest paru gości, którzy robili coś kiedyś na bardzo wysokim poziomie, wysokim pułapie, np. Marek Grechuta, który jak nagrał pierwszą swoją płytę z zespołem Anawa, to do dzisiaj uważam, że jest to jedna z najdoskonalszych polskich produkcji muzycznych, ale dziś Grechuta jest już troszkę starszym gościem i troszeczkę nie w tej formie, z całym szacunkiem, więc trzeba byłoby się cofać w czasie, a to jest niemożliwe. Będę strzelał, powiem to, co mi przychodzi do głowy, najpierw idę według klucza: to, co pamiętam z młodości, z dzieciństwa, ludzie, którzy robili coś w Polsce kiedyś i robią dalej, to było ważne i współpraca z nimi mogła być ciekawa, np. Tadek Nalepa, znany bluesman, założyciel Breakoutów, którego piosenki i zespół pamiętam z dzieciństwa jako coś, co odstawało na korzyść od tej całej ówczesnej skomunizowanej papki. To było coś rzeczywiście oryginalnego i prawdziwego. I gdyby była taka okazja, coś bym z nim zrobił. Albo z Tomkiem Stańko, to wielki trębacz.
A Republika?
Nie. Oni reprezentowali zupełnie inne flow, bo ja i moi przyjaciele zawsze bardzo swobodnie podchodziliśmy do formy. Bardzo dużo improwizowaliśmy, zresztą do dzisiaj jak Brygada gra, to my mamy numery zrobione w sensie aranży, tylko na tyle, żeby móc wyjść i je zagrać. Na każdym koncercie numer jest grany inaczej, ma inną długość, improwizację i inną formę. Natomiast Republika była zawsze ultra zorganizowana, wyliczona matematycznie. I tutaj w ogóle się nie miksowaliśmy. Poza tym ściągali z nas (śmiech). Zawsze mnie dziennikarze pytają o to, co wartościowego się dzieje i nie ukrywam przy odpowiedzi, że najbardziej wartościowe rzeczy, jeżeli w ogóle się dzieją, to dzieją się w okolicach hip-hopu. Aczkolwiek 90 procent tego, co się w hip-hopie dzieje, nie jest tak wartościowe, a gdy mnie przyciskają do muru, mówię zawsze o Moleście i mówię o tobie i Pelem, jako o ludziach, których od pierwszej płyty uważam za bliskich w sensie spojrzenia na świat, miejsce, tego, co robicie, kontekstu społecznego itd. Nie chcę się wygłupiać, po prostu tak jest.
Każdy ma swoje ulubione gatunki muzyczne, jakie są twoje?
Ja jestem dzieckiem rocka, bo zacząłem słuchać muzyki świadomie w czasach zamierzchłych, czyli mniej więcej w 1963, a to była chyba druga klasa podstawówki. Działała wtedy Rozgłośnia Harcerska na falach krótkich i była jedyną stacją w Polsce, która puszczała aktualną muzykę rockową. To był ten pierwszy boom rockowy: The Beatles, The Kinks, The Rolling Stones. Ja po prostu wtedy oszalałem, jako małolat i w zasadzie to mi zostało na wiele, wiele lat. Druga moja fascynacja to był rock, tzw. acidowy, psychodeliczny, 1968 rok mniej więcej. To były amerykańskie kapele, które zaczęły łykać kwasy i im się tam pootwierały różne historie... Później nastąpiła trzecia wielka fascynacja, to była pierwsza połowa lat siedemdziesiątych, kiedy zacząłem słuchać jazzu i free jazzu, poprzez Johna Coltrane'a, aż po jakieś bardzo awangardowe produkcje. Zresztą to był dla jazzu znakomity czas, np. Tomek Stańko grał w duecie z fińskim perkusistą Edkiem Vesalą i grali trzy czy cztery noce w Remoncie, przy pełnych salach po pięćset, sześćset osób. Aż trudno to sobie wyobrazić, totalnie awangardowa muzyka, bez frazy, jechali po prostu... Jak skończyłem liceum kolejna fascynacja – reggae. Wspólnie z przyjaciółmi, mniej więcej w 1976, czyli wtedy, kiedy reggae nie było popularne, kiedy Marley raczkował na światowych scenach. Zaraz po tym wielka fascynacja rewolucją punkrockową, która mnie zmotywowała, żeby samemu się zająć muzyką. I to wszystko. Nigdy nie byłem fanem hip-hopu jako takiego. Wiesz jak to jest, jak zaczynasz robić muzykę i te rzeczy, które przychodzą później, to już inaczej na to patrzysz. Już ciężko jest jakoś się tym przejąć. Słuchasz tego bardziej wybiórczo, patrzysz na to z punktu widzenia profesjonalnego, czy ci to pasuje w twojej wizji czy nie. Przekroczyłeś pewien próg, stoisz tak jakby po drugiej stronie, trudno powiedzieć, że jestem fanem hip-hopu, aczkolwiek słucham go od 1986, nie nałogowo. O fascynacjach mogę mówić do momentu, kiedy sam zacząłem grać, do końca lat siedemdziesiątych.
A nowe gatunki: jungle, drum'n'bass?
A z nowych gatunków, to dokładnie to, co powiedziałeś: jungle i drum'n'bass. One wypływają z reggae, wszystko się wzięło z tych pomysłów dubowych, reggae, tylko że zostały rozwinięte tempowo, ale są mi bliskie, bo wypływają z czegoś, co znam.
Bo właściwie drum'n'bass to taki samplowy punk nowej ery...
Dokładnie. W domu zawsze konstruowałem pod łóżkiem gigantyczne subwoofery, żeby tego basu było jak najwięcej. Mama mnie goniła, sąsiadom spadały tynki i walili w ściany. Zawsze chciałem, żeby tego basu było jak najwięcej i ciągnęło mnie do tych gatunków, które opierały się na głębokim i szerokim basie.
Czy uważasz, że muzyka powinna spełniać jakieś zadanie? Czym dla ciebie jest muzyka i co chciałbyś nią przekazać?
Muzyka przede wszystkim jest po to, żeby coś niosła ze sobą. Bardzo mnie martwi, że muzyka została zredukowana w wielu przypadkach do czczej rozrywki, do konsumpcji i czegoś płytkiego. Muzyka jest czymś absolutnie magicznym i mistycznym w swej istocie, ponieważ muzyka to świat, który istnieje, który nie jest przez człowieka stworzony, który człowiek tylko odkrywa. Wchodzisz w muzykę i odkrywasz harmonię, kwinta jest zawsze kwintą, tercja jest zawsze tercją, czy znasz się na muzyce czy nie. Harmonia jest harmonią, a dysharmonia dysharmonią. Możesz używać tego wszystkiego, a tak naprawdę jest to kosmos, w który wchodzisz i musisz wejść w niego z pokorą i zacząć go odkrywać, wtedy on się dla ciebie otwiera. A w momencie jak się zaczyna używać kosmosu do czyszczenia butów, to jest pewna dysproporcja. Muzyka jest świętością, jest dla mnie formą religii. Każdy dźwięk i wibracja działa na człowieka na wielu poziomach. Dźwięk jest tak abstrakcyjny. Muzyka jest najbardziej abstrakcyjną ze sztuk. Po prostu wydajesz dźwięk i ten dźwięk działa na twoje uszy, psychikę, komórki twojego organizmu, mózgu i to jest magia, to cudotwórstwo i spłycanie tego jest dla mnie jednym z przejawów współczesnego barbarzyństwa. W związku z tym bardzo fajnie jest, gdy ktoś, kto zajmuje się muzyką, przy okazji potrafi dodać do niej jakąś treść, która ma sens. Nie jest tylko „la la, jak kocham ciebie, ślabadaba". Muzyka musi mieć treść, która daje do myślenia, która każe się zastanawiać, która otwiera ludzi, rozwija, każe pomyśleć nad sobą i całym światem. Tak ja to widzę i tak staram się robić.
Jak spotkałeś się z hip-hopem?
Tak naprawdę moje pierwsze spotkanie z hh miało miejsce w 1987 w Amsterdamie, kiedy ówczesna dziewczyna mojego zmarłego niedawno przyjaciela, pierwszego perkusisty Tiltu i Deadlocka, Lutra Jacka Lenartowicza, zapragnęła być hiphopową i tam prowadzała nas na koncerty hh do Milky Way, do Paradiso, największych klubów w Amsterdamie, gdzie ten hh był świeży i nowy. Było to coś zupełnie nowego, coś niesamowitego. Zawsze uważałem, że muzyka to musi być coś takiego, że wszyscy grają i tak dalej, a tu podkłady z różnych nośników, goście nawijają... Od razu zrozumiałem, że to jest inny rodzaj przekazu, że to bardziej poezja niż muzyka. Te podkłady są lepsze lub gorsze, bardziej lub mniej wyrafinowane, ale one się mieszczą w swojej konwencji. Natomiast to, co jest istotne, to ten przekaz, który ci goście wyśpiewują czy recytują. Moje pierwsze skojarzenie było takie, że jest to podobne do rosyjskiej poezji. Ona musiała być recytowana, nie mówiona, musiała mieć rym, rytm, wewnętrzną melodię, wewnętrzne związki brzmieniowe i poeci recytowali na stadionach. To był taki protohip-hop. To było oparte na tej samej zajawce. Oczywiście nie było bitów, ale był w tym rytm, melodia słów. Od tego czasu zacząłem się przyglądać, czekając na to, aż zaczną się pojawiać jakieś polskie produkcje. No bo skoro jest to przede wszystkim poezja, tak jak ja to widziałem, czyli przekaz słowny, to mniej dla mnie było interesujące, co mają do powiedzenia goście w Bronksie, bo oni opowiadali o swoich sprawach. Można było się dowiedzieć, jak tam jest, ale to nie miało odniesienia do tego, co tutaj się dzieje. Moje pierwsze zetknięcie z polskim hh było takie: Sławek Gołaszewski pożyczył mi kasetę, na której miał domowe nagrania Warszafskiego Deszczu i to było oczywiście nieporadne, bardzo miejscami śmieszne, ale od razu czuć było, że jest w tym paler i wiadomo było, że hh w Polsce będzie ogromną siłą. Słuchałem tej kasety na okrągło, bo to naprawdę było coś odkrywczego. Nie spodziewałem się, że jest w tym aż taka energia. I w zasadzie następne lata pokazały, że tak jest. Kiedy przyjechałem do Warszawy w 1998, kiedy startowała Radiostacja, moi znajomi zasłuchiwali się pierwszą płytą Molesty. Pierwszy raz byłem w szoku, że wszystko jest tak, jak jest. Ucieszyłem się z tego powodu, że pojawiła się kolejna generacja, która opowiada w kreatywny i dający do myślenia sposób o rzeczywistości, w której żyje, a nie jakieś pierdoły. Wiadomo, później to się zaczęło zmieniać, pojawiały się różne dziwne rzeczy, ale taka była moja historia z hh.
Grałeś w Czad Komando Tilt, z Brygadą Kryzys, prowadziłeś audycje o muzyce czadowej w Rozgłośni... Czy uważasz, że czad przynależny jest tylko gitarom, basowi i perkusji, czy odnajdujesz przesłanie czadu w innych gatunkach muzycznych?
Jak najbardziej. Formuła gitara – bas – perkusja wydaje mi się coraz mniej nośna, stała się niewolnikiem swojej konwencji. Z Robertem Brylewskim, z którym od lat gramy muzykę gitarową, uważamy, że po Nirvanie nie wydarzyło się nic w muzyce rockowej. Wszystko, co pojawiło się później, było wtórne. Słucham muzyki rockowej prawie od jej początku. Patrzę, co się dzieje w perspektywie czterdziestoletniej, jeżeli ktoś w tej chwili ma 20 lat i słucha tej muzyki od 2 lat i wydaje mu się, że słyszy coś odkrywczego, coś nowego, to ja ze swoją perspektywą widzę, że nie ma nic nowego. To wszystko się powtarza, powiela. Ludzie grają rocka po to, żeby zarobić kasę, a na to się nakłada szerszy temat. Młodym ludziom od razu są zaoferowane szufladki na wszystko. Młody człowiek dorasta i od razu musi kombinować, w którą ma wskoczyć, a najbardziej perfidne jest to, że jest też szufladka z napisem „to nie jest szufladka". Myśli, że jest wolny, a jest tak samo w szufladce i wydaje mi się, że muzyka rockowa stała się niewolnikiem swojej własnej konwencji. Obawiam się, że to samo zaczyna się dziać z hip-hopem, ponieważ nie jest on już nowym gatunkiem, istnieje ze 20 lat... Wracając do pytania, czad jest wszędzie. Mnie zawsze fascynowała w muzyce taka etniczność, ale nie etniczność rozumiana jako odniesienie do muzyki ludowej, tylko rozumiana jako stosunek do muzyki. Zresztą tak gram i tak śpiewam, niespecjalnie czysto, precyzyjnie, ale gram i śpiewam energetycznie i po prostu to jest ta etniczność. Ludzie, którzy grali gdzieś tam po wsiach czy dżungli, oni się nie starali, żeby za każdym razem było czysto i tak samo, tylko po prostu mieli jeden instrument o jednej czy dwu strunach i w to wkładali wszystko, co mieli do włożenia. To jest jak cięcie samurajskiego miecza. Gość ma taką koncentrację i taką precyzję, że nie musi tym mieczem machać, tylko wykonuje jeden ruch, a drugiemu gościowi głowa odlatuje na sto metrów. To są te klimaty, facet z bębnem jest w stanie dać więcej czadu, niż sto elektrycznych gitar albo sto samplerów. To są środki, a tak naprawdę, czy jest czad, czy go nie ma zależy, czy ty masz ten czad, czy go nie masz i czy umiesz go podać dalej.
Wyznawcy buddyzmu różnią się na tle innych religii, filozofii tym, że są otwarci na dobra cywilizacji, zdobycze techniki, nowe trendy. Czy dlatego właśnie wybrałeś Buddę?
Buddyzm jest specyficzną rzeczą, nie jest religią. Kiedy myślimy o religii, to myślimy o czymś, w co trzeba uwierzyć, a jak w to uwierzymy, to w nagrodę mamy zbawienie albo inne obiecane rzeczy. Natomiast tutaj są pewne, głębokie i psychologiczne metody pracy nad sobą, które człowiek może stosować lub nie stosować. Jeżeli je zastosuje, to ma efekty adekwatne do tego, jak je stosuje, jeżeli nie to nie. Z tego wynika, że buddyzm czy ludzie i metody buddyjskie są całkowicie otwarci, bo nie ma dogmatu. To nie jest tak, że idziesz stąd dotąd, jesteś zamknięty pomiędzy tym a tym, a co jest poza, to już nie. Jeżeli byśmy się odwołali do historycznego Buddy, który żył dwa i pół tysiąca lat temu, udostępnił metody i prawdy, on sam zawsze mówił: nigdy nie wierzcie w to, co mówię, tylko dlatego, że to mówię, ale sprawdzajcie to na wszystkie sposoby, czy to jest prawda czy nie. Jeśli sprawdzicie i uznacie, że to jest prawda, to stosujcie, a jak nie to nie. To jest zdrowe podejście. A co ciekawe, to co odkrywa teraz współczesna nauka, dzięki technologii, całkowicie się pokrywa z tym, o czym medytowali goście w jaskiniach przez dziesiątki lat metodami wewnętrznego wglądu, np. to, że gdy zaczniesz wnikać w głąb materii, to dochodzisz do tego, że ta materia jest formą energii, że tam zapierdalają jakieś ładunki energetyczne. A jak jeszcze bliżej się temu przyjrzysz, to dochodzisz do tego, że ładunki elektryczne to forma istnienia przestrzeni. To jest to samo, co mówią nauki Buddy na temat materii. Dzisiejsza nauka to wszystko potwierdza i popiera. W związku z tym nie mam powodu, żeby nie być otwartym na wszystko, bo ze wszystkiego można się czegoś nauczyć. Chcesz być człowiekiem mądrzejszym, lepszym, lepiej funkcjonującym w świecie, w społeczeństwie, lepiej rozumiejącym innych, bardziej współczującym. Proszę bardzo, to jest dla ciebie.

.:rozmawiał Vienio:.
.:foto Wojtek Antonów / WZRR:.

spin off New York 2004



Spośród licznych dj'skich konkursów, organizowanych w całych Stanach, Spin Off jest prawdziwą perełką. Zwycięzcy, oprócz niewątpliwej satysfakcji z pokonania rzeszy uczestników z całego kraju, otrzymują zacne nagrody rzeczowe i pieniężne. Finał tegorocznej, czwartej już edycji konkursu, którego głównym sponsorem i organizatorem jest największa w USA sieć sklepów z instrumentami muzycznymi „Guitar Center", odbył się 11 sierpnia w Hammerstein Ballroom, słynnej nowojorskiej sali koncertowej w sercu Manhattanu. Przy wsparciu pozostałych dobroczyńców (Nike, Numark, Warner Music Group) organizatorzy postarali się, by tegoroczna pula nagród powodowała ból głowy. Masa sprzętu, ciuchy, 10.000 $ i przede wszystkim Scion 2005 xb, pierwszy samochód, który reklamowany jest jako zbudowany z myślą o dj'ach. Daleki jestem od sugerowania, że te wszystkie fanty były głównym powodem, dla którego uczestnicy stanęli w szranki, ale jakże miły to dodatek do ciężkiego życia wymiataczy płyt, będących na artystycznym dorobku. Respekt za nagrody, przejdźmy do rzeczy.

6 finalistów z rożnych zakątków kraju kowbojów, Tomka Sawyera i Condoleezy Rice. W finale 5 minut dla każdego na pokazanie swoich umiejętności, bez bitew, co wydaje się nieco dziwne, ale pewnie były ku temu powody, choćby ten, że finaliści stoczyli już sporo bitew w czasie eliminacji. Wszyscy grali na gramofonach Numarka, co łatwo wytłumaczyć (patrz: sponsorzy). W jury autorytety, wśród nich dj Grand Wizard Theodore, któremu zawdzięczamy wynalezienie skrecza (przez przypadek zresztą).

Poziom finału wysoki i w przeciwieństwie do wielu technicznie zorientowanych konkursów, tu uczestnicy starali się też oprócz trików zagrać sety, które rozbujają publikę. Niektórym wyraźnie przeszkadzały te feralne Numarki, którym nadal daleko do starych dobrych Technicsów. Rywalizacja była zacięta, a wygrał Melvin Green znany jako dj IXL, z Minneapolis. Po zwycięstwie czekała na niego jeszcze walka o dodatkowe 5.000 $ z dotychczasowym mistrzem dj I.E. Merge z NYC, który jednak okazał się o wiele lepszy i przy poparciu swojej publiczności wygrał bitwę.

Wielką gratką były także koncerty towarzyszące finałowi. Przed nim grał gorąco przyjęty Talib Kweli z materiałem z nowej płyty „The Beautiful Struggle", na końcu główna gwiazda wieczoru, The Roots. Zagrali bezbłędnie, w pełnym energii koncercie kolejne kawałki, klasyki i nówki, przechodziły w siebie płynnie, a Black Thought bez chwili oddechu jechał jak szalony. Jest to jeden z rzadkich przykładów grup, których muzyka na żywo brzmi lepiej niż w odtwarzaczu. Niespodzianką i ukłonem w stronę Nowego Jorku było zaproszenie na scenę legend, Masta Ace'a i Mobb Deep. „Got it twisted" w wersji z żywymi instrumentami – kozak, tak jak i cała impreza. Po godzinnym koncercie zapalono światła, ludzie szybko rozeszli się do domów (rano do pracy!), a szczęśliwy zwycięzca spał tej nocy bogatszy o tytuł mistrza „Spin Off '04", kilka tysiaków i samochód. Pięknie.

.:tekst i foto Michał Mucha:.


MASS98
MASS

Everlast

Białas śpiewa bluesa...

Jest amerykańskim Irlandczykiem, który przeszedł na Islam. Jest raperem, który zaczął śpiewać. Jest facetem, który przez wiele lat żył, nie wiedząc, że jego serce to przez wrodzoną wadę tykająca bomba. A nie oszczędzał się swego czasu... Był białym raperem w czarnej do bólu stajni Ice'a-T. Jakby na niego nie patrzeć, jest jedyny w swoim rodzaju. Erik Schrody, lepiej znany jako Everlast.

Start z Cartelem

W jego domu słuchało się soulu i bluesa. Matka miała sporą kolekcję płyt, w której najwięcej albumów pochodziło z legendarnej soulowej wytwórni Motown. Najpierw słuchał tej muzyki trochę na siłę, potem okazało się, że sprawia mu to prawdziwą przyjemność. Można jednak spokojnie podejrzewać, że Erik nie wiedział wtedy jeszcze, że to bluesowo-soulowe przygotowanie spowoduje, że będzie kiedyś autorem jednego z największych zamieszań na scenie hip-hop. Zanim jednak do tego doszło...

Mieszkał w Los Angeles, w którym przez wiele, wiele lat na ulicach dominowali długowłosi, wyszminkowani rockerzy. Ten kierunek był mu jednak zupełnie nie po drodze. Erik wolał rap. Po latach przyznaje, że był dla niego formą buntu, dawał mu okazję do zamanifestowania oryginalności. Nie ograniczył się do słuchania, postanowił go sam robić. Gdy w jednym z klubów prezentował swoje umiejętności, poznał Ice'a-T, personę kreującą ruchy w rapowym światku LA. Związał się z Rhyme Syndicate Cartel, a gdy padła propozycja nagrania płyty dla wytwórni Ice'a, długo się nie zastanawiał. Album powstawał przez cały 1988 rok, Erik miał wtedy 17 lat. Premiera Forever Everlasting miała miejsce rok później. Cóż, ten album nie mógł być hitem. Więc nie był, ale o Everlaście, białym raperze ze stajni Ice'a-T mówiło się sporo.

Trzej przyjaciele ze szkoły

W szkole nie był specjalnym orłem, koncentrując się raczej na zabawie i... zabawie. Co można wynieść ze szkoły poza nauką i wspomnieniami z imprez? Znajomości. Erik dobrze czuł się w towarzystwie Daniela „Danny Boy" O'Connora i Leora „DJ Lethal" Dimanta. Dwóch Irlandczyków i Łotysz trzymało ze sobą dość mocno, a po klapie pierwszej solówki, Erik zaproponował, by znajomość imprezową, zmienić w... zespół. W krótkim czasie przewinęło się kilka nazw, stanęło na House Of Pain.

Do dziś mówi się o nich, że byli prekursorami rapu chuligańskiego. Browar, imprezy, rozpierduchy, ogólna jazda bez trzymanki. Wszystko to przy dźwiękach jednego z największych hitów w historii rapu – „Jump Around". Nie można napisać, by był to jakiś specjalnie wysublimowany kawałek. Beat prosty jak konstrukcja cepa, słowa niespecjalnie mądre i głośne skandowanie nawołujące do skakania podczas imprezy. Genialność tego kawałka polega jednak na tym, że wchodzi do głowy w ułamku sekundy i już stamtąd nie wychodzi. Imprezowy banger z najwyższej półki, do tego idealnie pasujący do image'u, który lansowali House Of Pain. Chuligański rap... Przy takim hicie nie dziwi, że wydany w 1992 album zatytułowany po prostu House Of Pain rozszedł się w wielkim nakładzie. Aha, niektórzy myślą, że tytuł albumu to Fine Malt Lyrics. Błąd, takie słowa pojawiają się na okładce, ale to hasło z logo zespołu, które zaprojektował Danny Boy.

Jeden z Assassinów

Pierwsze lata działalności to bliska współpraca z Cypress Hill. House byli wymieniani jako zespół z ekipy Soul Assassins, którą na początku tworzył właśnie Cypress, grupa naszego bohatera i Funkdoobiest. W produkcjach słychać było wzajemne inspiracje, DJ CH, Muggs, czuwał nad kawałkami House'ów, wzajemne featuringi nie były rzadkością. Z czasem ten układ nieco się popieprzył, doszło nawet do tego, że bodajże na Temples Of Boom CH słychać wyraźnie, jak w pewnym momencie B-Real mówi: „House Of Pain is not down with us...". Z czasem układy się poprawiły, ale to zupełnie uboczna historia i może kiedyś do niej wrócimy. No, może jeszcze jedna ciekawostka. Z Soul Assassins powiązany był również duet dwóch małolatów, o dość kretyńskiej nazwie – The Whooliganz. Małolaci dojrzewali sobie pod skrzydełkami B-Reala, który poznał ich, gdy nagrywali w studiu QDIII (syn Quincy Jonesa). Everlast z kolei pojawił się w kawałku „Hit The Deck" z b-strony singla „Put Your Handz Up". Zapowiadany debiut płytowy małolatów nigdy się nie ukazał, ale jeden z nich dość mocno wszedł w scenę hip-hop, gdyż to nikt inny, jak The Alchemist, jeden z bardziej wziętych amerykańskich producentów. To jeszcze tylko dodam, że drugi jest synem słynnego aktora, Jamesa Caana...

Wróćmy jednak do Everlasta. Pierwsza płyta HOP była wielkim przebojem, później jednak nie było już tak różowo. Kolejne dwie, Same As It Ever Was (1994) i Truth Crushed To Earth Shall Rise Again (1996), już takimi przebojami nie były. Zespół zmienił się, grał bardziej zdecydowanie, Everlast miał coraz bardziej wyrobiony, ciężki styl swojego rapu. Z mocnych tekstów zniknęły nawiązania do pierdół, beaty Lethala nabierały wyjątkowego, charakterystycznego stylu. HOP stawał się rap aktem coraz bardziej wyrazistym, wprowadzając do swoich kawałków elementy ragga (choć w delikatnej dawce), eksperymentując. Byli coraz bardziej uznaną marką, sprzedawali sporo płyt, ale do sukcesu z roku 1992 było daleko. A hit okazał się przekleństwem, bo doszło do tego, że Everlast i spółka chcieli uciec od „Jump Around", robić nowe rzeczy. Tymczasem publiczność często przychodziła na koncerty właśnie dla tego kawałka, a wytwórnia Tommy Boy również wolałaby sprzedawać miliony, a nie nawet setki tysięcy...

Coś zaczęło się też psuć w samym zespole. Do dziś podkreślają swoje dobre kontakty, ale coś było na rzeczy. Danny Boyowi znudziło się bycie wiecznym hypemanem, Lethal miał swoje pomysły na tworzenie muzyki, a przede wszystkim Everlast zaczynał być już znużony formułą zespołu. W kilku wywiadach powtarzał, że chciał iść naprzód, robić coś nowego.

Bez czterech dni

Erik zmienił się przez te lata. Trochę przystopował hulaszczy tryb życia, zmienił podejście do wiary, przechodząc na Islam. Było wokół tego trochę zamieszania, ale on raczej nie skupia się na tym temacie, twierdząc, że było to dla niego coś zupełnie naturalnego, że nie ma o czym mówić. Generalnie uspokoił się, w tekstach coraz częściej przyjmując pozycję mentora, choć z umiarem, nie narzucając wszystkim swoich racji. Przez te wszystkie lata zdobył sobie spory szacunek na scenie, współpracował z wieloma raperami i producentami – m.in. Prince Paulem, Guru, Sadatem X. Animował życie podziemnej sceny w LA, wspierając i występując z m.in. Dilated Peoples. Dziś często wspomina tamte czasy i mówi, że dojrzewała w nim decyzja, by coś zmienić.

House Of Pain zawiesił działalność po koncertach promujących Truth Crushed... Lethal związał się z Limp Bizkit, Danny Boy zaczął pracować nad swoim projektem XSupermodels. Erik natomiast zamknął się w studiu i... mało brakowało, by już nigdy z niego nie wyszedł.

Szedł po schodach z mieszczącego się w piwnicy studia do pokoju, chciał położyć się spać. Dziś mówi, że nagle poczuł ból w piersiach i zapadła ciemność. Ocknął się cztery dni później w szpitalu, po ciężkiej operacji serca. Okazało się, że miał wrodzoną niewydolność jednego z mięśni odpowiedzialnych za pompowanie krwi. Mięsień przestał pracować, a rozległy atak serca był prawie śmiertelny. Operacja trwała kilkanaście godzin, udała się. Z kawałkiem sztucznego serca Erik mógł dokończyć pracę nad nowym albumem.

Blues B. Boy

W 1998 roku na rynku pojawił się album Whitey Ford Sings The Blues. Promował go singiel „What It's Like". Dla wielu był to szok. Erik śpiewał. Ciężkim, chrapliwym głosem, przy dominującym akompaniamencie gitary. Blues, ale inny od klasycznych wzorców, nawiązujący w jakiś sposób do tego wszystkiego, co Everlast robił do tej pory. Mówi, że wyobraża sobie czasami, co by się działo, gdy Neil Young czy Johnny Cash byli b. boyami... Że właśnie tak chce zabrzmieć...

A kim jest ten cały Whitey Ford? Jak twierdzi Erik, to jego alter ego, to właśnie ten koleś, który w swojej muzyce i swoim życiu zrobił rewolucję. Niejeden raz podśmiewywał się z raperów, którzy na swoje aliasy wybierali włoskich gangsterów czy jakieś inne, jeszcze mniej prawdopodobne osoby. Whitey Ford jest prawdziwy – tak twierdzi.

Na płycie czytelnych odwołań do rapu i samego rapu zbyt wiele nie było. Ale był klimat, niesamowity, wciągający. W aranżach słychać było, że to kolejny krok ulicznej muzy, że można grać hip-hop bez rapowania, z klasycznymi instrumentami. Hip-hop, ale także rock, blues, soul. Everlast niejeden raz mówił w wywiadach, że przecież hip-hop powstał zapożyczając swoje brzmienia z tak wielu gatunków, że wszystkie one są w nim nadal. Gdy niektórzy wytykali mu, że teraz śpiewa o życiu w bardziej liryczny sposób, że tak dużo poświęca czasu na śpiewanie o miłości, przytacza słowa Chucka D. z Public Enemy: „Nie jest sztuką pokazać światu, jaki jesteś twardy. Prawdziwą sztuką jest zaprezentowanie wszystkim wokół swojej wrażliwości"...

Płyta okazała się też wielkim sukcesem komercyjnym. Podwójna platyna, single na szczytach list przebojów. Duet z Carlosem Santaną w „Put Your Lights On" przybliżył też Everlasta publiczności, do której zapewne nigdy by nie trafił. Zrobił to spokojnie, razem ze starym szamanem gitary tańsując wielki światowy hit.

Draka w Detroit

A teraz w naszej historii pojawi się Eminem. Biały szaleniec z Detroit uczynił z Everlasta obiekt swoich dość ostrych żartów i docinek. Ponoć to Erik zaczął, publicznie ostro wyrażając się o rapowej gwieździe, która zignorowała go podczas spotkania na którymś z koncertów. Z czasem coraz trudniej było dojść, kto właściwie zaczął, ale poszło na ostro. Em nagrywał, Erik odpowiadał. W Internecie krąży sporo materiału poświęconego temu beefowi. Dość tragicznie zrobiło się, gdy podczas koncertu Everlasta w Detroit dwie osoby zostały poważnie ranne po tym, jak Erik powiedział ze sceny kilka dosadnych słów na temat Ema, po czym zaatakowało go trzech miejscowych. Z całego tego nieprzyjemnego zamieszania wychodziła dość pozytywna rzecz – odpowiadając Emowi (zresztą m.in. w towarzystwie Evidence'a z Dilated Peoples), Erik udowodnił, że wciąż wie, jak ostro zarymować. Choć zdecydowana większość obserwatorów beefu uważa, że to Eminem miał ostatnie słowo...

Wspominam o rymowaniu, bo w muzyce Erika nie ma go ostatnio zbyt dużo. Na kolejnej „bluesowej" solówce, Eat At Whitey's, owszem, pokazał trochę skillsów, na wydanej w tym roku White Trash Beautiful również, ale widać, że z upływem czasu coraz bardziej koncetruje się na śpiewaniu. Nadal nagrywa rymy z podziemnymi artystami, nadal pomaga im w promocji, ale w ostatnich latach stał się wielką instytucją muzyczną głównie dzięki bluesowi. Swojemu bluesowi.

***

Za jedno z najważniejszych wydarzeń w swoim życiu uważa tragiczny atak serca. Mówi, że dzięki temu musiał zmienić wszystko wokół siebie diametralnie, a dzięki temu życie stało się prostsze i po wypadku nauczył się uśmiechać o wiele częściej. Nie wstydzi się zaśpiewać „Sleeping Alone", historii, w której są wątki jego związku z długoletnią partnerką, która zerwała zaręczyny. On nie chciał od niej z powrotem wartego 50.000 dolarów pierścionka. Potrafi też wypowiedzieć się ostrzej, w starym stylu zarymować na produkcjach przyjaciół. Zarabia spore pieniądze, ale woli wytarte dżinsy i potarganą baseballówkę od topowych kreacji. Ma 34 lata i jeszcze wiele do zrobienia.

Kilkanaście lat temu bujał się jako małolat z Rhyme Syndicate Cartelem i pracował nad swoją pierwszą płytą. Ciekawe, czy kiedykolwiek pomyślał, co będzie się z nim działo, gdy będzie miał 34 lata. A jeżeli tak, to czy myślał o tym, że będzie śpiewał bluesa.

.:Kowal:.

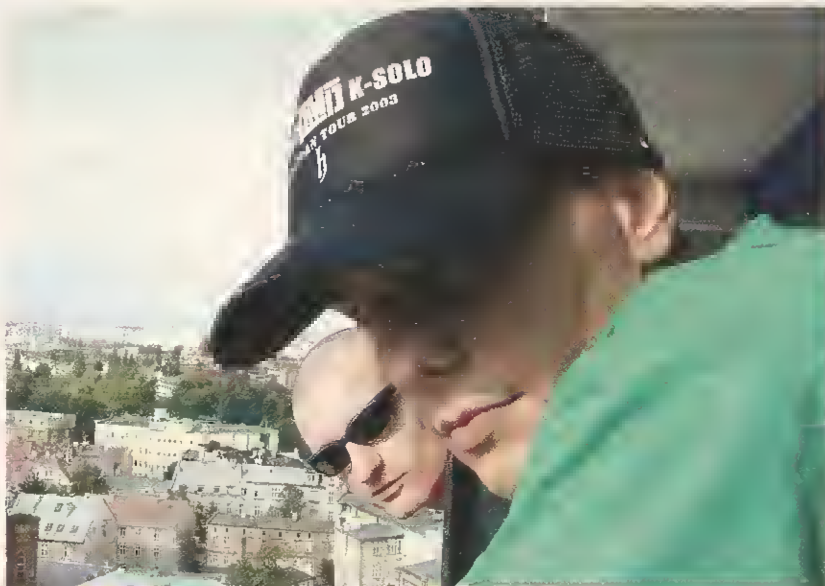


Niewiele jest wydawnictw, których propozycje kupować można w ciemno. O masówce pokroju Def Jamu nie mówmy. Legendarny Rawkus usiłował pójść w stronę mniej wymagającej publiczności, co okazało się gwoździem do trumny. Def Jux dla odmiany przesadza z coraz mniej strawnym eksperymentem. Na szczęście mamy Quannum. Klasyczne, a zarazem nowatorskie. Ambitne, a jednak lekkie w odbiorze. Nieklasyfikowalne gatunkowo. Nieomylne. Lifesavas to powiew świeżości w gronie wyjadaczy pokroju Blackalicious czy DJ'a Shadowa, a „Spirit in the stone" bezapelacyjnie należy do czołówki płyt roku 2003. Melodyjne, pulsujące, rzeczywiście mogłoby tchnąć ducha, choćby i w skałę. Z przyjemnością prezentujemy ekskluzywny wywiad na łamach SLG.

Czyje życie ocalacie?
Vursatyl: Ja nie odbieram tej nazwy dosłownie, dla mnie odnosi się ona do luki w jakiejkolwiek zwyczajowej sytuacji w muzyce, zarówno na płytach, jak i granej na żywo, do hip-hopu jako takiego, no i oczywiście do kreatywności. To także swego rodzaju testament naszego pragnienia, by chronić i kochać życie.
Minęło dużo czasu od momentu ukazania się waszego pierwszego singla, do premiery albumu, jakieś 7 lat, to spora przerwa...
Jumbo: Nasz kolejny singiel nagrany był w 2000. Wprowadzenie nowego artysty w obecnych czasach wymaga jednak strategii i czasu. Wydaje się tak dużo złej muzyki, że konsumenci nie ufają nowym wykonawcom debiutującym pełnym albumem. Dopóki nie ma zamieszania, jakichś opowieści, albo pewnego rodzaju potwierdzenia od innego artysty.
Vurs: Przerwy jako takiej nie było. Nagrywamy i występujemy na scenie od momentu, kiedy wyszedł nasz singiel w 1997 roku. Sprawa wyglądała tak, że ten debiutancki singiel wydaliśmy własnym sumptem w naszym labelu Misfit Records. Wydany był jedynie na kasecie. Nie mieliśmy ani pieniędzy, ani sponsorów, by to rozwinąć. Wtedy zrozumieliśmy, że potrzebujemy odpowiedniej machiny, by wydawać naszą muzykę. Musieliśmy znaleźć label, który pozwoliłby nam robić muzykę w taki sposób, który cieszyłby przede wszystkim nas. Kontrola kreatywności jest dla nas bardzo istotną sprawą. Quannum umożliwiło nam podpisanie kontraktu w 2000 roku. Zgodziliśmy się, ale pojawiło się nie lada wyzwanie – zwiększyć świadomość odbiorców, kim do cholery są ci Lifesavas. Wyjechaliśmy więc w trasę, wydaliśmy kilka kolejnych singli, a kiedy świat wydał się gotowy, rzuciliśmy nasz klejnot.
Macie jakiś określony sposób nagrywania utworów? Co jest pierwsze: słowo, czy dźwięk?
Vurs: Dajemy się ponieść chwili. Pozwalamy naszej kreatywności dyktować warunki. Nie przepadamy za chwytaniem w określone formuły naszej inspiracji. Kiedy pojawia się pomysł, wykorzystujemy go, niezależnie od tego jaką formę przyjmuje - czy to tekstu, czy bitu, czy konkretnych skreczy.
Jumbo: Ufamy wzajemnemu vibe'owi. Czasem ja gram jakiś gorący bit, czasem wpadamy na jakiś chory pomysł wspólnie, czasem pojawia się tylko rytm, tytuł piosenki, jakiś pomysł na temat, który owocuje świetną piosenką. Jesteśmy „Style Junkies", bardzo konceptualni, jeśli chodzi o pisanie tekstów.
Pamiętam taką scenę z filmu „Scratch", która zrobiła na mnie duże wrażenie. Dj Shadow siedział w piwnicy, pośród winyli i mówił, że to jego „mała nirwana". Wy jesteście na swój sposób piewcami kultury winyla i całego tego „diggin in the crates". Dużo czasu spędzacie przegrzebując półki?
Jumbo: Właśnie wróciliśmy z trasy Quannum po Włoszech, Francji, Belgii i Holandii. Ja spędziłem 2 dni przeszukując jeden sklep we Włoszech. Robimy to codziennie - masz jakieś nagrania na wosku?!!!

Zazwyczaj pracujecie na MPC, nie marzyliście o zrobieniu albumu z żywym zespołem?
Jumbo: MPC zawsze będzie podstawą naszej produkcji. Jakiś projekt „unplugged"być może pojawi się w przyszłości.
W jednym z wywiadów powiedzieliście, że chcielibyście nagrać utwór z tym szalonym kolem Madlibem. Gdyby do tego doszło, którą z jego stron wybralibyście - bardziej klasyczną, jak na Lootpacku, jazzującą jak Yesterday New Quintet, czy eksperymentalną, jak w przypadku projektów z Jayem Dee i z Mf Doomem?
Vurs: Gdyby Madlib chciał pracować z nami, ja osobiście wybrałbym definitywnie coś klasycznie funkującego.
Jumbo: Madlib? Cokolwiek nam zaproponuje!!! Szanujemy każdy ze sposobów, w jaki brzmią projekty Madliba - jest naprawdę niewielu ludzi w hip-hopie, którzy słyszą to, co on. Respekt MLB (ciągle czekamy na chore pomysły!).
Słuchaliście którejś z grup należących do Quannum, zanim poznaliście ich osobiście? Jak czuliście się, kiedy zaoferowali wam współpracę?
Jumbo: Quannum Projects - byliśmy przy nich od czasów Solesides. Możliwość nagrywania w ramach Quannum jest podwójnym błogosławieństwem. Dla nas, bo zyskaliśmy wolność w tworzeniu i dla reszty labela, bo zostali wprowadzeni w nowy rozdział utrwalania oryginalnego stylu. Dzielimy tę samą wizję muzyki.
Vurs: Wcześniej byliśmy wielkimi fanami ich twórczości. Współpraca okazała się doskonałym połączeniem, w końcu jesteśmy po tej samej stronie.
Myślicie, że hip-hop zmierza we właściwą stronę?
Vurs: Jest masa dobrego hip-hopu na rynku. Jesteśmy przede wszystkim fanami sztuki, więc mamy dużo sympatii do takich kotów jak Slum Village, Madlib, Mf Doom, The Eyes, Mr Lif, J-Live, Anti Pop Consortium, czy Talib Kweli.
Kiedy słucham waszych utworów, mam wrażenie, że jesteście uważnymi obserwatorami życia, zarówno w aspekcie politycznym, jak i społecznym. Co myślicie o obecnej sytuacji USA?
Jumbo: Sytuacja tu, w kraju jest bardzo niewyważona, potrzebujemy równowagi!
Vurs: Z ekonomicznego punktu widzenia, wszystko mogłoby być lepiej. Zatrudnienie, społeczeństwo i relacje socjalne, generalnie - wszystko to przechodzi teraz ciężki okres, ze względu na decyzje podjęte przez nasz rząd. Właśnie teraz rzeczy mają większy posmak bogactwa niż kiedykolwiek. Nasz system jest nastawiony na ochronę majątku zamożnych. Średnia i niższa klasa nie są uwzględniane na „wspólnym zdjęciu". Nie ma w tym krzty demokracji. Opinia publiczna sprzeciwia się wojnie i mówi o tym głośno, demonstruje i protestuje. Jednak nasz prezydent jest przywódcą nieudolnym. To wszystko nie ma sensu! Ludzie nie są zadowoleni z drogi, którą nasze państwo zaczęło nagle szaleńczo biec.
Vursatyl, masz dość nietypowe hobby, możesz powiedzieć nam o tym coś więcej?
Vurs: Zbieram samochody sterowane radiem, to jest to, co robię od kilku ostatnich lat. To pozwala mi oderwać się myślami od problemów.
Słowo dla czytelników.
Vurs: Dzięki za wsparcie i słuchanie naszej muzyki. Chcemy powiedzieć Polsce, że jesteśmy dumni wiedząc, że macie tu prawdziwe hiphopowe głowy. Keep it ALIVE!
Jumbo: Wszyscy moi ludzie w Polsce, podeślijcie mi nagrania waszych funkowych kapel i polskich kapel grających rocka progresywnego, ślijcie info na e-mail (jumbo@lifesavas.com), dzięki za wsparcie - będziemy u was niebawem...

.:rozmawiała Wiedźma Cessya (Czyste Słowa):.





moja dzielnica

deluks

„Moja Dzielnica" z Deluksami o początku zapowiadała się na materiał różnorodny. Kear pochodzi z Prabut, do Gdańska trafił w wieku osiemnastu lat, a jak wiadomo, jest to okres kiedy człowiek musi się z kolegiami wyszumieć, co było jednym z powodów częstych zmian mieszkań, opóźniane co najwyżej okresami wypowiedzenia. „Dzięki temu poznałem elegancko klimat paru dzielnic trójmiasta: Przymorze, parę dzielni Wrzeszcza, gdańską starówkę, i Morenkę, na której teraz mieszkam" – twierdzi. Rybson związany jest z Gdańskiem Wrzeszcz, choć dużą część swojego dzieciństwa spędził na Fidżi. Obaj sprawiają wrażenie niespokojnych duchów, a zajawka na malowanie dodatkowo wpływa na to, że w całym trójmieście jest ich pełno. Ustalenie planu „wycieczki" chwilę potrwało.

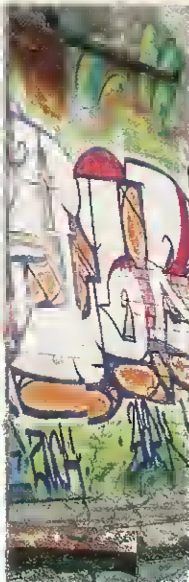
Pierwszą miejscówką jesl „Irzy dziewięć", z rzucającą się w oczy pracą na niej namalowaną: Znane z płyty PCP logo w kolorze krwistej czerwieni, pociągi z nazwami crew w Ien projekt zaangażowanych, sami artyści a nawet flaga z symbolem wytwórni powiewająca na Ile zachodzącego słońca. „Przyjechałem zza granicy i byłem w ostrym szoku gdy Irafiłem tu do siódmej klasy. Siadłem z Jakimi charakterkami, z którymi do dzisiaj mam dobry kontakt. Każdy poszedł w inną slronę. Niektórzy niedawno wyszli, niektórzy wyjdą, niektórzy pewno wrócą" „- Odpukać!" – wchodzi mu w slowo Kear. „- Odpukać." – kiwa glową Rybson i kontynuuje: „Wychowalem się na boisku tej szkoły, kosze rzadko kiedy długo wytrzymują, a szkoda, bo było tu kilka talentów. Dobre melanże również były, w okolicach bramek przyjeżdżały oldschool'owe fiaty 125 z elektrycznymi szybami, muzyka, gibony, browary i cala dzielnia się bawi... Ale policja często rozganiała, bo to w sumie jednak szkoła, jesl slróż i Jak dalej. Był tu kiedyś palacz, który non stop chodził najebany. Kiedyś kurwa kolegę poszykanował. Dostał krzesłem. Szkoła nas dobrze pamięta. Było tu jak na każdym podwórku, tylko może częściej obrazeczki. Kiedyś ta ściana zmieniała się co jakiś czas, ale od kiedy to powstalo robota się zatrzymala, gdyż jesl reprezentatywne" – opowiada. W raz z nim malował Kear, Eros z JWP i Dair. Pylam z ciekawości ile Io trwało. „Za długo. Malując tą ścianę, zamknęli nas na dołek. Spędziłem z Erosem 24 w areszcie we Wrzeszczu na Białej". Ściana jest już z rok i nie ma nawet ani jednego Iaga czy napisu crossującego prace. Panowie mają mocno wyrobioną pozycję, a miłe dzieciaki szwendające się na około w razie co gotowe są zadziałać jak najlepsza slużba wywiadowcza. Wandał skończyłby na butach. Rybson nie jesl jednak do końca zadowolony i krytycznie przygląda się okolicy: „Mamy tu bardzo ładne garaże do malowania i zamiar by udekorować je bardziej. Już od kilku lat. Wrzescz jesl pierwszą dzielnicą w Trójmieście, w której powstawało graffiIi. Sporo obrazków zoslalo, całą resztę miejsc Irzeba zbombić".

Kiedy przechodzimy na kolejną miejscówkę, w okolice Jesionowej I ParIyzanIów, wciąż sarka patrząc na szablony PCP – „Oj, nie za gęsto, nie za gęslo". Na jednej ze ścian widać koślawy napis „DELUX", pewnikiem wyraz szacunku któregoś z dzieciaków. „Przyznaj się Ryba, Jo ły jak wracałeś skuły" – podśmiewa się kolega z zespołu. Sam Ryba zaczyna zaś wspominać – „Na ParlyzanIów chłopaki jeździli na motorach, Kupili sobie ścigacze, po jakimś czasie doszli do pełnej wprawy generalnie. Po Iej ulicy wieczorem nie jeździ dużo samochodów, więc rozpędzali się, i robili na kółku całą ulicę, a przecież ma ona kawaJek. Cisnęli ze 180, tak myślę, chociaż sam nie jechalem. Kiedy było słychać silniki, wszyscy wybiegali z podwórek, bo był niezly widok. Ze cztery laJa temu byJ taki wariat Pawelaszta, ale chyba rozwalił motor i wpadł przez to w psychoglębię. Nie można go Ieraz nawet odwiedzić, bo kupił psa, AmsIaffa- killera". Kear: „Wrzeszcz bez Jesionowej PartyzanIów to jak parIy bez blantów – cytuje jeden z tekslów na płytę Deluks. Dzielnica przyjemna, aczkolwiek niebezpieczna, mająca famę najniebezpieczniejszej – może nie w calym Gdańsku, są jeszcze przecież dzielnice cygańskie i tak dalej, ale przynajmniej we Wrzeszczu. Ludzie się bali tu jeździć i wchodzić". I o ile ciężkie, ceglane kamienice, często zdobione, finezyjnie wykańczane na rogach, nieraz zaskakujące drewnianymi przybudówkami oraz potężne drzewa rzucające kojący cień mogą człowieka uspakajać, Io kiedy wejdzie się w podwórka, można zrozumieć o co chodzi.

Ewakuujemy się stamtąd na tereny przy Iorach. „Była Iu niedaleko Iabryka ludzików plaslikowych a la Turtles i tak dalej. Przechodziliśmy więc z flaszkami przez kraty. Flaszeczka za ludziki, dostawaliśmy siaIki niepomalowanych Iigurek" – słyszymy. Kiedy się nudzily, trafiały na pobliski skup złomu. „Byłem Iam sprzedawać kaloryfery, bo żeliwo w cenie. Za czasów Iabryki ludzików, kiedy się nam już nudziły również tu Irafiały, co się dało. Kiedyś nawet udało nam się znaleźć rzeczy, i zrobiliśmy se silownię na strychu u kolegi. Były Iu Ież ciekawe arIykuly mechanizacyjne do wydźwigania. Oczywiście przez ploI i wieczorem. Pan Jasiu, stróż, nie życzył sobie". Na Iym terenie wsławił się również niejaki Zdzisiu, który zniwelował wszystkie ławki i tablice niepodal szkoły, po prosIu paląc nimi w piecu. „Porwaliśmy drezynę, zapierdzielamy po Iorze bocznym, a Zdzisiu nie zauważył, że się nagle kończą. Jak wypierdolił, Io z guzem trzeba było jechać na pogoIowie". Zerkamy na bogato reprezentowane graffiti – „Ściana jest nieświeża, obrazki mają swoje, widać tunningi" – Ryba ze śmiechem wskazuje na hojnie wyposażoną kobietę, której jakiś desperat dorysowaJ genitalia zielonym sprayem. „Co jakiś czas coś powstaje. Na giecika tu wpadaliśmy, zwlaszcza w lepszych czasach, kiedy jeszcze kolejki jeździły pomalowane, żeby spalić go na spokojnie i zobaczyć co na kolejkach slychać". „Wyslaje nawet kawałek mojej pracy, pod spodem Ież są nasze, pod ich spodem również. Trzy rzędy"- dorzuca Kear. Panowie chcą się kawaJek przejść, by zlustrować nowości. O ile Kear jest człowiekiem bardziej powściągliwym, mówiącym konkretnie, Ryba stanowi Iyp gawędziarza, prowadzi narrację spokojnym, sennym nieco tonem, sporo zdrabnia. Z twarzy nie schodzi mu uśmiech i spokój, co kontrastuje z czujnością wiecznie wpisaną w osIre rysy Keara. Rybson czyta w pracach jak w książkach, każda jest właści-













wie okazją do dygresji. Przyglądam się z chorą ciekawością krwawiącej maskotce z nożem w brzuchu i odciętą głową. Podpis? „Dzieci lubią misie...". To Zwyro – od razu następuje opowieść o człowieku, który przezwyciężył uzależnienie od heroiny, uzbierał pieniądze, i wyjechał z dziewczyną na jedną z ciepłych wysp, by obecnie zajmować się malowaniem desek surfingowych. „Oooo, Reggie" – cieszy się raper, idąc dalej i patrząc na litery. To jedna z nowych twarzy na mieście – „EWC nie wpada tak często jak kiedyś, najwyżej dwa razy w miesiącu. Teraz pojechali bombić do Chin, mają jednak wielu następców". Mijamy obrazek osławionego Tuse. Podobno małolaty bardzo krytycznie obserwują jego pracę, czekając na coś słabszego, co można pomazać, coś dorysować. Ryba śmieje się na wspomnienie ponętnie namalowanej murzynki, której z ust wychodził dymek z napisem „Ach ten Ryba!". Nie miał wtedy na imprezach chwili spokoju, wszyscy sobie z niego żartowali. Teraz przychodzi jednak czas na koniec żartów, chłopak urywa się ze spaceru, bo... zgadnijcie... idzie malować.

My zaś jedziemy z Kearem do wieżowca Olimp, skąd rozciąga się panorama Gdańska. Na ścianie bloku widać napis – niewprawny, ale wykonany w absolutnie hardcorowym miejscu. „KOCHAM MOJĄ PA" i litery się urywają... Zastanawiam się czy może autor spadł w trakcie „To jedna z wersji. Druga jest taka, że zabrakło mu farby. To druga jest prawdziwa." – wyjaśnia wszystkie wątpliwości Kear. Po drodze spotykamy Centa, który siedzi przy ulicy, wcina szamę i wygląda zupełnie, ale to zupełnie jak Mercedresu. „Wszyscy nas mylą" – mówi. Kiedy zaś przyglądamy się już dzielnicom z góry, informuje, że tak naprawdę znajdujemy się teraz w centrum Gdańska. Takim prawdziwym, nie zaś turystycznym. Kear patrzy na zielone wzgórze po lewej przypominając sobie park, po którym biegał, kiedy jeszcze mieszkał w tej okolicy. Jeżeli dobrze przyjrzycie się zdjęciu na horyzoncie zauważycie ciemnogranatową wstążkę. To morze, a właściwie zatoka – coś czego jeszcze w „Mojej dzielnicy" nie widzieliście.

Szybko przenosimy się na ostatnią miejscówkę, położną już w bezpośrednim sąsiedztwie wody. Kolebka Solidarności, kawał wciąż gorącej historii – Stocznia Gdańska. Dla wielu liczy się miejsce sprzedaży pamiątek, symboliczny (trzy krzyże z kotwicami) pomnik, czy muzeum, intrygująca pomysłowymi instalacjami. Przystają przy pomalowanej ścianie krzyczącej hasłami typu „Złodzieje", „Ręce precz od kodeksu pracy!", budzącej jednak dezaprobatę Keara jeśli chodzi o jej wartości artystyczne. Jedzą coś w tanim i przedobrym barze „U Kazia" żywiącym całe PCP przez okres nagrywania. Dla innych to po prostu miejsce pracy. Przy bramce udaje nam się uniknąć żmudnych procesów administracyjnych i zaraz potem krążymy przyglądając się niecodziennemu krajobrazowi. Industrialne zabudowania stoczni – ciężkie dźwigi, przerdzewiałe maszyny, części statków, klocowate budynki z powybijanymi szybami. Dookoła trochę zieleni, kręcąca się ochrona i robotnicy, oraz... graffiti na ścianach. „Malujemy tutaj ścianę do teledysku „Globetrotter". Malował ją z nami między innymi Special, trzasnął styl i następnego dnia pojechał bombić Pekin. Żeby nie było że jest gołosłowny (śmiech). Tutaj kręciliśmy też teledysk do 'Obywatela MC'" – mówi Kear. I rzeczywiście, to otoczenie świetnie pasuje do utworu wspominającego czasy komunizmu i rozliczającego efekty transformacji ustrojowej. „To ważna miejscówka dla Deluksów, a przede wszystkim dla mnie. Przez jakiś czas mieszkałem w Studio Stocznia, spacerowałem tutaj i przesiąkłem tym klimatem. W tej części to właściwie nie jest już stocznia gdańska, tylko Synergia, która wykupiła teren i będzie go dzierżawić małym podprzedsiębiorcom, którzy mają tu własne hale i cały czas montują statki. Miasto w mieście, Policja tu nie wchodzi, można by tu urządzać walki psów, nielegalny boks, wyścigi fur, cokolwiek"...

Rozmawiamy sobie o losie enklawy położonej przecież w samiutkim centrum metropolii udając się do Studia Stocznia. O tym co tam zobaczyliśmy, kto przez to studio przechodził, jak panowie się urządzili i wynaleźli taki punkt, wreszcie na czym tam pracują przeczytacie już jednak w innym dziale, w jednym z kolejnych Ślizgów.

.:txt Flint:.
.:foto Cess:.



moja dzielnica

HIP HOP KEMP

Hip-hop kemp. Trzydniowa, wielonarodowa krucjata na południe, która ma pomóc odzyskać wiarę w autentyczność hip-hopu, zebrać tych wciąż pchających go do przodu, okazujących mu szacunek. Zebrać ich zarówno na sześciu czynnych od 10 do 6 rano scenach, jak i pod nimi.

Pole

„Kemping nad srebrnym jeziorem"? „Srebrne jezioro" to zbyt poetycka nazwa, jak na szerszy kanał w kształcie odwróconej litery U, a ów kemping to olbrzymie, nierówne ściernisko, na którym pozostałości ostrych łodyg bez problemu przebijały podłogi przypadkowo i gęsto porozkładanych namiotów. Absolutny niemal brak cienia. Brak zaplecza sanitarnego – ot, parę Toi-toiów na krzyż i jedno, czynne w określonych godzinach, połączone z toaletami stanowisko prysznicowe na drugim końcu kempu. Brak oświetlenia – człowiek wracając po koncertach potykał się o śledzie, linki i wyrzucane przed namiot śmieci. Próżno błagać o chwilę ciszy – człowiek zasypiał przy wrzaskach pokroju „Wałbrzych jest wypas, sza-la-la-la" i bezskutecznie modlił się, żeby nie obudziło go coś równie idiotycznego. Sensacją stały się opowieści o kobietach – jedna stawiała namiot w stringach, druga podobno zdążyła wyczołgać się ze swojego, zdjąć majtki i zasnąć. Dosłownie obóz dla uchodźców, który drugiego dnia po deszczu ze ścierniska zamienił się w bagno, trzeciego w wysypisko śmieci, a w dniu wyjazdu można by kręcić na nim cyberpunkowe filmy.

Muzyka

Festiwal bronił się muzyką, jakością nagłośnienia i oświetlenia, doborem artystów. Chester P Hackenbush (ciekawa koszulka z logo: „George Bush i syn – rodzinni rzeźnicy") i Farma G, czyli brytyjskie Task Force zanotowało występ życia. „Grafdabusub!" – hołd złożony graffiti pod podkład znany z „Simon says", naładowany emocją i obrazoburczy „Letter to god", to jedne z wielu niezapomnianych, przetykanych brawurowymi wolnymi stylami utworów. Kool Savas nie dostał wizy (!), więc zastąpił go Dendemann z Eins Zwo. Po przyzwyczajeniu się do barwy głosu i męczącego flow, doceniło się show tworzone za pomocą dalekiego od plastiku i blichtru repertuaru. Numer, w którym stanął z poważną miną za deckami, a DJ wziął jego mikrofon i zaczął rymować, wygrał. Blade rekompensował trajkoczący, mało zróżnicowany strumień słów niebywałym poświęceniem publice. Zanurkował w tłum mimo lejącego deszczu, brał ludzi na scenę, zagadywał ich po występie. Mistrzowski performer z beatami ostrymi niczym żyletka. Vadim wraz z Yarah Bravo i Blu Rumem zaserwowali repertuar ambitniejszy, bardziej chilloutowy, proszący się wręcz o miękki fotel w dobrym klubie. Killa Kella dał show z pogranicza cyrku, performance'u i hip--hopu, oszałamiał odgrywając Akai MPC, parodiując Britney, generując całą gamę brzmień perkusyjnych. Umiejętności MC Tripa nie pozwoliły sprowadzić go do roli dodatku. Wildchild z DJ'em Romesem podkręcili tempo. Czysta energia pod beaty, w których króluje potężny bas i mocna perkusja. „Cuz when I'm on the mic I like to speak freely" z lootpackowego „Whenimondamic" zabrzmiało ze szczególną mocą. Niespodzianką był spory udział córeczki Wildchilda. „Uwielbia przebywać na scenie, od małego lubiła śpiewać karaoke, być może w przyszłości będzie chciała rapować, ale nie zamierzam wywierać presji" - tłumaczył ojciec. O ile w oczach dziewczynki dało się zauważyć zastanawiająco dużo powagi i dojrzałości, ze źrenic Promoe bił ogień. Za wielką czupryną i potężną brodą szło ogromne serce. Skrajny przekaz, wzbogacony o wiele raggowych naleciałości, łatwiej przyjąć. Na deser poszło radosne, perfekcyjnie przewinięte „Feel So Good" i antysystemowy hymn Looptroopów „Long arm of the law". Mistrzostwo.

„To jakiś zboczeniec, w każdym kawałku powtarza mu się pussy" – mówił Rufin MC o Lousie Logicu z Demigodz. „A widziałeś jego pas? Taki jak ma Pharell, z tym, że zamiast 'Nerd' napisane jest 'dick'". To prawda, Louis jest kontrowersyjny, jednak to tylko jego zwrotki były warte uwagi. Celph Titled niezgrabnie przetaczał się przez scenę wchodząc w słowo, a Apathy po prostu nie przyjechał. Podkłady 7L'a i Esoterica poruszyłyby z miejsca nawet i posągi, jednak gadki bostończyków są ciekawe tylko dla ortodoksyjnych fanów independent/trueschool, dla reszty pozostając czymś nudnym, przewidywalnym, na tle wybitnych poprzedników anemicznym i mało charakterystycznym. Ostatni dzień nie dość, że najsłabszy, pozbawiony został spektakularnego finału. Polskie akcenty? Grającego o fatalnej godzinie WWO niestety nie widziałem. OSTR dał bardzo przyzwoity show, najlepsza była (żeby jeszcze było to wyraźniejsze) pogoń za Twista. Kontrowersyjne było intonowanie kibicowskiego „Polska, biało-czerwoni", rozlegającego się jeszcze długo po koncercie. Warto by pomyśleć jak odebrali to południowi sąsiedzi, którym podziękowano, ale głównie za pitą na scenie „Prazską" wódkę. Cóż, za występy ich kapel podziękowanie się nie należy, różnicy klas nie było tylko w wypadku Indy'ego i Wicha, grających za to trzy razy za długo.

Break i Graffiti

Breakdance na Kofola Stage oglądało się jak dobry film i trudno nie docenić Nontoper Mielonki: było miejsce na akrobatyczne opcje, był czas na mechaniczne ruchy electric boogie i czysto stylowy taniec. Tancerze rzucali tylko pod nosem, iż mają dość, że są zmęczeni. Skandalem jest to, że potraktowano ich jak widzów, kwaterując na polu. A jednak czworo z „nontoperów" miało po tym wszystkim siłę świetnie bawić się na koncertach.

60 m muru czekało na wykorzystanie, ale to, co można było zobaczyć, wywoływało cokolwiek mieszane uczucia. „To miał być jakiś oldschool?" pytał Tytus, z pewnym niesmakiem patrząc na prace, na których dopiero potem pojawiły się rzeczy konkretniejsze. „Poziom był niezły, ale w sumie tylko dzięki obecności kilku czołowych czeskich malarzy (Cakes, Romeo, Phoe), którzy pokazali klasę", tłumaczy zasłużony dla sceny graffiti człowiek proszący o zachowanie anonimowości. „Reszta w mniejszym lub większym stopniu bawiła się tym, że większość oglądających to faktycznie laicy". Oprócz wymienionej trójki warto wspomnieć udział Wladimira518, Dr Bomb, Wicka. Polskę reprezentował Skem2/ BDMSK z Radomia. Ciekawostką była praca przerysowywana z reklamy (szybko zresztą zamalowana; pijany, biadolący „It was the real shit, kurwa!" autor intensywnie poszukiwał stojącego cały czas obok sprawcy zdarzenia, wściekle tagując po literach, które zakryły jego „dzieło").

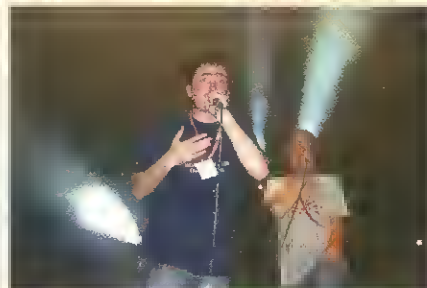
Kompromitacją okazały się wielojęzyczne (!) freestyle'owe contesty. Nasz honor uratowali OSTR, Kamel, Tetris i Rufin. Choć nie wszyscy z nich uniknęli żenującego wyścigu na ilość powszechnie rozumianych anglojęzycznych wstawek.

Za rok?

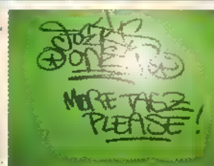
Ogólna ocena festiwalu zależy od priorytetów. Jeśli osobowości esencjonalnego rapu i ich muzyka są w stanie komuś zrekompensować coraz więcej przypadkowych ludzi, a możliwość zagrania w zośkę z Promoe jest dla niego ważniejsza od wypełnionej po brzegi toalety i całkiem już wysokich cen, pojawi się tu za rok.

.:txt Flint:.
.:foto Cess:.



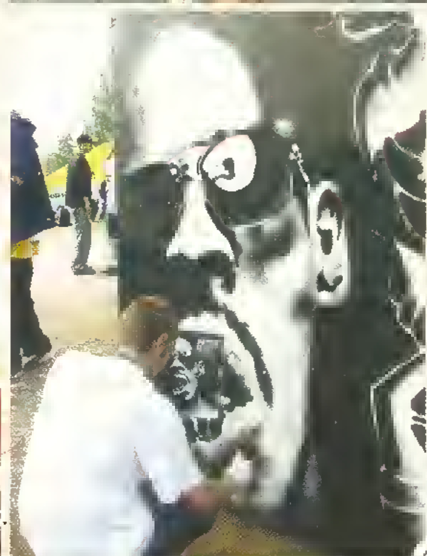


















BAD RELIGION

AKADEMICKI PUNK

czyli Darwin nie miał racji a Bóg jest jednym z nas



„Konflikt pomiędzy teorią ewolucyjną a religią nie istnieje pod jednym istotnym warunkiem: religia jest merytorycznie ateistyczna” – Greg Graffin, konkluzja pracy doktorskiej

„To jest tylko punkrockowa piosenka, napisana dla ludzi, którzy potrafią dostrzec, że coś jest nie tak” – Bad Religion „Punk Rock Song”

DOWÓD CENNIEJSZY NIŻ DOGMAT

„Religia jest metaforą dogmatycznego myślenia i zasad. Coś takiego uważam za gówno" – stwierdza dr Greg Graffin, ceniony paleoantropolog, nauczyciel akademicki, ojciec dwojga dzieci i wokalista najbardziej inspirującego punk bandu naszych czasów, Bad Religion.

Nazwa zespołu, na którego czele stoi od blisko ćwierćwiecza jednoznacznie wyraża jego stosunek do wszelkich instytucji zmuszających do akceptowania wygłaszanych ex cathedra opinii. To właśnie one są głosicielami prawdziwych złych religii, takich jak konformistyczny kod społeczny czy konsumpcyjny „lajtstajl".

Charakterystyczne logo Bad Religion to stylizowany na znak drogowy przekreślony krzyż. Emblemat Złej Religii oznacza intelektualną niezależność, wiedzę opartą na doświadczeniu. A zważywszy, że powstał jako wyraz niezgody na panoszącą się w USA teleewangelizację („Przyślij nam pieniądze a Bóg cię pokocha. Dzwoń 1-800-..."), jest także symbolem negacji idei zdewaluowanych przez materializm. Bad Religion dalekie jest jednak od przekreślania wiary jako takiej. Przesłanie zespołu mówi, by źródeł przekonań szukać we własnej świadomości, nie zaś w doktrynalnych regułach. „Należy opierać swoje poglądy na dowodach" – przekonuje Graffin – „Dowód pochodzi z twoich oczu i uszu!". Można zapytać gdzie w całej tej empirystycznej koncepcji miejsce na spirytualizm. Odpowiedzią niech będą słowa utworów grupy, w których temat duchowości przewija się nieustannie. Nieźle... Jak na Złą Religię.

PUNKROCKOWI PATRONI

Oprócz Graffina, Bad Religion tworzą: basista Jay Bentley, perkusista Brooks Wackerman oraz trójka gitarzystów: Greg Hetson, Brain Baker i Brett Gurewitz – właściciel wytwórni Epitaph Rec., prawdziwej elektrowni punkowego „przemysłu" płytowego.

W takim składzie występują dziś punkowi mentorzy. Czym jednak jest punk według nich samych? W jednym ze swoich esejów Graffin sformułował iście encyklopedyczną definicję: „Punk to osobisty wyraz wyjątkowości, wynikający z doświadczeń dorastania w kontakcie z ludzką zdolnością do rozumowania i zadawania pytań". Prawdziwym punkowcem wg wokalisty jest np. czterdziestoletni profesor podważający słuszność teorii Darwina. Brett Gurewitz za najbardziej punkową książkę uważa „Braci Karamazow" Dostojewskiego. W ramach swojej misji członkowie zespołu ufundowali program stypendialny finansujący nowatorskie eksperymenty studenckie.

Wszystko to dość niezwykłe jak na zespół muzyczny. Ale też Bad Religion nie jest zwykłym zespołem. Złej Religii nie sposób pomylić z żadnym innym bandem nie tylko za sprawą intelektualnego zacięcia, lecz także niepowtarzalnej muzyki – szybkiej, zdyscyplinowanej, esencjonalnej w swej agresji, ale również pełnej szlachetnych melodii przywołujących na myśl folk. Bad Religion z tradycyjną muzyką folkową łączy podobna komunikatywność i zainteresowanie problemami zwykłych ludzi. „Nasza muzyka bardzo przypomina folk" – deklaruje Graffin – „Oczywiście o wiele głośniejszy".

W GARAŻU POŚRODKU BETONOWEJ PSYCHOZY

Impulsem do powstania Bad Religion była frustracja wykwitła pośród betonowo-asfaltowego krajobrazu wielkomiejskich suburbiów. W gorące lato 1980 roku kilku nastolatków zebrało się w rozgrzanym garażu na przedmieściach Los Angeles, by dać upust twórczej agresji. Pierwszy ich album, nagrany dwa lata później „How Could Hell Be Any Worse?", okazał się jednym z kamieni węgielnych południowokalifornijskiej sceny hard core, a zarazem ścieżką dźwiękową wielkomiejskiego życia podczas czarnych godzin psychotycznej epoki Reagana. Już jako młodzi chłopcy, członkowie Bad Religion mogli poszczycić się muzyczną dojrzałością i inteligentnymi tekstami. Jako źródła inspiracji, autorzy repertuaru grupy, Graffin i Gurewitz wymieniali przede wszystkim francuski egzystencjalizm, a także biologię ewolucyjną i filozofię.

Aby wydać debiutancką płytę Złej Religii, Brett założył własną manufakturę – Epitaph Records. Nakładem tejże wytwórni ukazała się także druga płyta zespołu, „Into the Unknown", na której Kalifornijczycy zapuścili się w rejony psychodelii i klimatów zarezerwowanych dotąd dla grup w rodzaju King Crimson. Głosy zachwyconych krytyków mieszały się z pomrukami niezadowolenia fanów. Wyniki sprzedaży płyty przyznały rację tym drugim. Ogarnięte marazmem Bad Religion rozpadło się, a drogi jego członków rozeszły się w różnych kierunkach.

OD ZMARTWYCHWSTANIA DO WIELKIEGO POWROTU

Do zmartwychwstania Złej Religii doszło w 1984 roku. Nagrana wówczas EP-ka „Back To the Known" wyznaczyła nowy kurs, którego zespół trzymał się na kolejnych dużych płytach. Swoista trylogia: „Suffer" (1988), „No Control" (1989) i „Against the Grain" (1990) była manifestem rozpoznawalnego stylu zespołu – ponaddźwiękowych, krótkich hard core'owych piosenek podszytych chwytliwą melodią o folkowym rodowodzie. Równie ważne co muzyka były dla zespołu teksty – podawane bądź to w literackiej, bądź analitycznej formie, pełne socjologii, filozofii, popularnonaukowej publicystyki, politycznych komentarzy i nawiązań do klasyki anglosaskiej literatury.

Utrzymany w posępnej atmosferze album „Generator" (1992) i urozmaicone „Recipe For Hate" (1993) były ostatnimi płytami nagranymi dla Epitaphu. Zdobywający coraz liczniejsze grono wyznawców zespół przeniósł się z niezależnego labela do fonograficznego molocha, Atlantic Records. Ten transfer nie pozostał bez wpływu na muzykę Bad Religion – następne płyty: „Stranger Than Fiction" (1994), „The Gray Race" (1996), „No Substance" (1998) i „The New America" (2000) utrzymane były w lżejszej, pop punkowej stylistyce.

Dopiero gdy Bad Religion powróciło niczym syn marnotrawny na łono Epitaphu, zespół na nowo wyostrzył kły. Ponownie z Brettem Gurewitzem w swych szeregach (odszedł po nagraniu „Stranger Than Fiction", by skoncentrować się na pracy w wytwórni) Zła Religia popełniła fantastyczny album „The Process of Belief". Powrót punk rockowych patronów nastąpił w wielkim stylu...

IMPERIUM KONTRATAKUJE

... i we właściwym momencie, bo oto ponownie uderzyło Imperium, z mrocznym (czy może raczej ciemnym) Lordem Bushem na czele. Tematem przewodnim najnowszej, trzynastej płyty Bad Religion są destruktywne poczynania administracji George'a W. Album „Empire Strikes First", kolejny z wykładów akademickiego punka, zapewnia cykl fakultetów z politycznej przytomności, wrażliwości społecznej i analizy kondycji moralnej ludzkości, która zwłaszcza teraz wystawiona jest na ciężką próbę. Nie bez powodu w jednym z nowych utworów, Bad Religion przywołuje cytat z „Roku 1984" Orwella: „Jeżeli chcesz wyobrazić sobie przyszłość, pomyśl o butach depczących ludzką twarz".

A co do samego Busha... „Nie sądzę, aby w historii Stanów Zjednoczonych był gorszy prezydent" – gorzko konstatuje Gurewitz – „On jest prawdopodobnie jednym z najgorszych przywódców w światowej historii". To właśnie dlatego Bad Religion wzięło udział w inicjatywie „Rock Against Bush", stając się jedną z jej sił napędowych. Trudno bowiem wskazać inny zespół, który stanowiłby źródło inspiracji dla tak wielu politycznych grup nowej szkoły punka.

Tak jak Greg Graffin wykształcił na uniwersytecie kilka roczników przyszłych paleontologów, tak Bad Religion może przypisać sobie zasługę wyedukowania całych zastępów punkersów.

HUMANISTYCZNY BUNT

Bad Religion potrafi czasem zrzec się powagi, by wyrazić swój sprzeciw z żarliwością godną zbuntowanych nastolatków. W jednym z najbardziej przebojowych hymnów Bad Religion, „Raise Your Voice", Graffin śpiewa: „Nie pozwól być pionkiem w czyjejś grze / (...) Nie daj się wyprowadzić w pole, masz zbyt wiele na głowie / (...) Nasza ewolucja nie zawisła na pasywności".

Nawet bunt przeciw zastanej rzeczywistości Graffin jest w stanie tłumaczyć ewolucyjnymi determinantami. Punk może być filozofią życiową, a warto taką mieć, bo jak przekonuje Greg: „Jeśli nie masz osobistej filozofii życia, powinieneś ją znaleźć. To jeden z darów ewolucji ludzkości – tworzyć perspektywy, które są dla nas wyjątkowe".

Uniwersalną ludzką filozofią (ba, w pewnym sensie nawet religią!) jest z pewnością humanizm. Dlatego uważający się za ateistę Graffin wygłasza taką oto deklarację: „Myślę, że Bóg jest jednym z nas. Ponieważ Bóg jest po prostu ideą, która krąży w umysłach ludzkiej rasy. Jeżeli więc nie możesz oddzielić Boga od ludzkości, to znaczy, że Bóg jest wyraźnie ludzki, a zatem jest jednym z nas".

Innymi słowy, jak pisał Sartre: „Nie wierzę w Boga, ale nauczyłem się wierzyć w ludzi".

:Sebastian Rerak:

religion bad


ADIO


BRIAN
SUMNER



rys wiary
czyli religia w komiksie

Relacje na linii komiks – religia występują często, choć przybierają różną formę, związaną z kręgiem kulturowym, a co za tym idzie, ze zróżnicowaną mentalnością i koncepcjami moralnymi. Nawiązania do religii są niemal zawsze częścią autorskiej kreacji, a nie manifestem światopoglądu, choć zdarzają się wyjątki, o których przeczytacie niżej.

Motywy religijne w komiksie pojawiają się na różne sposoby od lat. Czasem wyznanie definiuje bohatera, czasem po prostu służy bogatszemu przedstawieniu wydarzeń, czy też tła, na jakim się rozgrywają. Nie sposób wymienić choćby setnej części komiksów, w których pojawiają się religijne motywy. Omijamy więc wszelkiego rodzaju obrazkowe adaptacje opowieści biblijnych czy mitologicznych, a także większość albumów, mocno czerpiących z rozmaitych wierzeń oraz przedstawiających historię poprzez pryzmat religii (np. „Trzeci testament"). Skupimy się na kilku wybranych przykładach, mamy nadzieję, reprezentatywnych dla gatunku.

GOD BLESS AMERICA

Komiks amerykański posiłkuje się bardzo jednoznacznymi nawiązaniami do religii. Szczególnie wiele takich komunikatów znaleźć można w opowieściach o superbohaterach. Popularni herosi w trykotach to pewnego rodzaju prorocy nowego typu. Niemal każdy superbohater jest „człowiekiem z misją", stojącym ponad tłumem, poświęcającym wszystko celowi wyższej rangi (nie wspominając już o bohaterach, którzy są bogami, jak np. Thor).

Bezpośrednie nawiązania do religijnej symboliki służą zazwyczaj heroizacji bohaterów. Przypomnijmy sobie zmartwychwstania Supermana, Batmana czy Daredevila. Zwłaszcza przypadek tego ostatniego jest szczególny. O powrocie do życia niewidomego herosa opowiada komiks „Daredevil: Born Again" Franka Millera, w którym to Matt Murdock zostaje zdekonspirowany przez swego największego wroga, Kingpina. Życie bohatera ulega systematycznemu rozkładowi, by znaleźć tragiczny finał – Śmiałek kona porzucony w zatoce.

Zanim zmasakrowany Daredevil powróci między żywych, uważny czytelnik zidentyfikuje w komiksie cały szereg chrześcijańskich toposów związanych z męką Chrystusa: trzykrotne wyparcie się bliskiej osoby, odkupienie, zmartwychwstanie trzeciego dnia. Zresztą Daredevil bywa często pokazywany przez pryzmat swojej wiary (a jest, jak łatwo się domyślić z poprzednich akapitów, gorliwym chrześcijaninem). Za przykład niech posłuży choćby niedawno wydany u nas „Diabeł Stróż" Kevina Smitha. Tu Daredevil zostaje zmuszony do zabicia dziecka uważanego za Antychrysta.

Przykład Daredevila to dobry wzór motywu religijnego w komiksie made in USA – czytelnego i nieskomplikowanego. Podobnie wyraźna jest manichejska w swej prostocie, komiksowa dwoistość dobra i zła. Podział między tymi dwoma siłami zarysowano bardzo wyraźnie np. w serii „Spawn", której akcja rozgrywa się głównie w piekle. Powszechne w komiksie motywy boga-stwórcy, nieba, piekła, aniołów i diabłów kreują świat czarno-biały, pozbawiony półtonów.

Autorzy amerykańscy, choć często korzystają z tekstów wiary (np. poprzez trawestacje biblijnych przypowieści), prawie nigdy nie podejmują się kwestionowania istniejących aksjomatów. Wyjątkiem może być seria „Kaznodzieja" Gartha Ennisa i Steve'a Dillona (może dlatego, że obaj ci panowie są Irlandczykami). Historia duchownego z małego miasteczka, który spotyka nadrealną istotę i wyrusza na poszukiwanie Boga w towarzystwie dziewczyny i wampira, proponuje nieco inne spojrzenie na chrześcijaństwo. W „Kaznodziei" chrystianizm nie jest religią słabych i uciskanych, lecz ludzi twardych i silnych. Świat daleki jest tu także od prostego rozgraniczenia między dobrem i złem, a aniołowie i święci potrafią okazać się nie do końca wolni od grzechu. Warto też wspomnieć, że chyba nieprzypadkowo cała seria liczy sobie 66 tomików.

Skoro już jesteśmy przy dokonaniach Ennisa, to nie można zapomnieć o Pielgrzymie. W tym komiksie scenarzysta pełnymi garściami czerpie z Biblii. Pielgrzym, nawrócony grzesznik, nieustannie cytujący biblię i traktujący swoją misję jako wypełnianie woli Pana (ta postać ma zresztą pewne cechy wspólne ze Świętym od Morderców, jednym z najciekawszych bohaterów „Kaznodziei"), poszukiwanie Edenu, apokaliptyczna wizja zagłady świata, w którym ludzie już dawno utracili wiarę… Swoją drogą biblijne paralele można pociągnąć dalej. Na przykład, czy wysuszone słońcem oceany nie są swego rodzaju „anty-potopem"?

W KRAINIE BOGÓW

Nie bezpodstawnie polski tytuł znakomitego anime Hayao Miyazakiego posłużył nam jako śródtytuł. Manga – japoński komiks (i oczywiście animacje) wykorzystuje motywy religijne na wiele różnych sposobów. W końcu wyspy Nipponu to swoisty tygiel różnych kultur i wyznań. Najczęściej pojawiającym się w mandze motywem, właściwym zresztą większości religii, jest wizja plag dotykających ludzkość, swoistych małych Armageddonów. Np. słynny „Akira" odmalowuje wizję świata spustoszonego przez wojnę atomową, oczekującego na nadejście mesjasza, który równie dobrze może poprowadzić ludzkość ku odnowie jak i doprowadzić ją do zagłady. „Neon Genesis Evangelion" opisuje obronę Ziemi przed najazdami tajemniczych istot nazywanych Aniołami. Jeden z Aniołów, Eva znajduje się na Ziemi, gdzie ukrzyżowana spoczywa w stanie letargu. Jej przebudzenie zwiastować ma tzw. Trzecie Uderzenie i zapewne zagładę całej planety.

Ciekawa historia przedstawiona została w „Angels Sanctuary". Pod nieobecność boga, który zapadł w głęboki sen, aniołowie dziesiątkują wrogie demony, aby potem rozpocząć krwawą rywalizację. Głównymi bohaterami komiksu są właśnie toczący bratobójcze walki o wpływy aniołowie, wśród nich rodzeństwo – Roshiel i jego siostra Alexiel, ukochana Lucyfera (który notabene jest starszym bratem archanioła Michała).

Spore emocje wywołuje kontrowersyjny horror „Hellsing". Tytułowy Hellsing to zorganizowana na wzór zakonu protestancka instytucja zajmująca się zwalczaniem wampirów. Wszystko jest w porządku, kiedy musi walczyć jedynie z nadprzyrodzonymi istotami, lecz często na jej drodze staje też podobna formacja na usługach Watykanu – Iscariote. A ponieważ religijna motywacja obu organizacji graniczy z fanatyzmem, przy każdym ich zetknięciu w powietrzu fruwają kule i obelgi. Ta podszyta kąśliwą ironią historia może nie podobać się fundamentalistom religijnym, ale wiadomo, że tacy osobnicy posiadają poczucie humoru jedynie w śladowych ilościach.

W lżejszej konwencji od wspomnianych tytułów utrzymana jest manga „Oh! My Goddess", której głównymi bohaterkami są boginki z Biura Boskiej Pomocy, wspierające śmiertelników w różnych opresjach.

EUROPA W CIERNIOWEJ KORONIE

Inaczej sprawy miały się zawsze w Europie, gdzie religia w komiksie pojawia się często, lecz nie zawsze w jednoznacznym ujęciu. Przykładem może być dzieło „Koronowane serce" Moebiusa i Jodorowsky'ego, krytyczne studium wiary i religii. Opowieść o ekscentrycznym profesorze filozofii z uniwersytetu w Sorbonie, którego światopogląd zdeklarowanego racjonalisty musi ulec weryfikacji w świecie pełnym absurdu i magii, gdzie na świat ma przyjść nowy Chrystus; bardzo otwarcie nawiązuje do prawd wiary i świętych tekstów, a nawet śmiało je podważa. Alejandro Jodorowsky lubi bawić się wszelkimi religijnymi stereotypami, przekształcając je na rozmaite sposoby, kreując nowe (często dziwaczne i wyuzdane) formy kultu. Ślady tego znajdziemy między innymi w „Incalu" i wszystkich seriach pobocznych („Kasta Metabaronów", „Technokapłani" czy „Megalex").

W ogóle wydaje się, że Europejczycy (a wśród nich oczywiście wspomniany wyżej Ennis, czy choćby Neil Gaiman i Alan Moore) są bardziej skłonni do dyskutowania z religijnymi dogmatami, co krok udowadniając, że komiks jako medium doskonale się do tego nadaje. Znakomity „Kot Rabina" Joanna Sfara w dowcipny i przystępny sposób polemizuje z podstawowymi zasadami judaizmu. Sfar, czyniąc główną postacią swojego albumu kota, wystawia na poważną próbę wielowiekowe dogmaty wyznania mojżeszowego. Czyni to jednak z klasą, wdziękiem i szacunkiem, pozostawiając jednocześnie czytelnikowi decyzję, kto w sporze ma rację: kot czy rabin.

Polski wkład w komiks poruszający wątki religijne jest bardzo skromny. Pomijając dokonania undergroundowe (które, z nielicznymi wyjątkami, polegają głównie na szydzeniu z kościoła i kleru), niewielu autorów pokusiło się o zawarcie w swoich pracach motywów religijnych. Bardzo zgrabnie zrobił to Krzysztof Owedyk, który wystartował niedawno ze świetną serią „Cierń w koronie". Temat pojawił się również w Jeżu Jerzym, w albumie „Egzorcysta", ale ten z kolei był raczej parodią filmowych horrorów, świadomie nawiązującą do religijnych stereotypów. Ciekawostką jest też wydany jakiś czas temu komiks poświęcony życiu papieża Jana Pawła II, swoją drogą napisany i narysowany przez Włochów (opis tego albumu znajdziecie na stronach z recenzjami). A już zupełnie na marginesie można dodać, że problem wiary pojawił się nawet w „Tytusie", gdy nagle okazało się, że sympatyczny szympans nie może się uczłowieczyć do końca, bo jako zwierzę nie ma duszy. Tu mogą równie dobrze wejść w grę dylematy kartezjańskie (zwierzę jako bezduszna maszyna), ale zboczylibyśmy za bardzo w stronę rozważań filozoficznych, a to już temat na zupełnie inną opowieść…

.:Sebastian Rerak & Kuba Demiańczuk:.



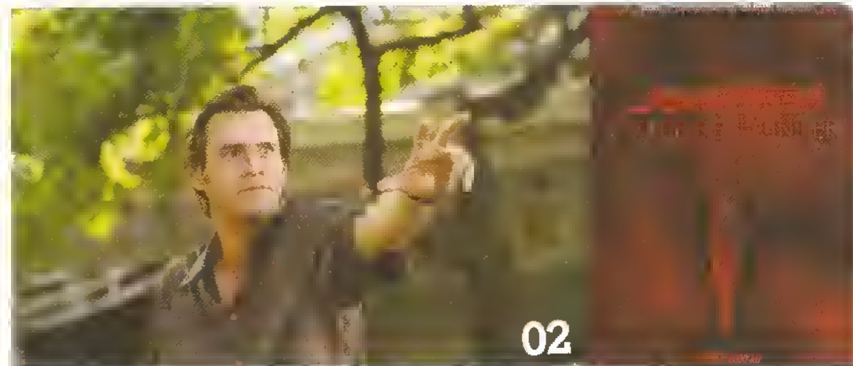








01



02



03



04

boska komedia?

Pisząc o filmach, w których religia, wiara albo bóstwa odgrywają ważną (lub nawet pierwszoplanową) rolę, można stworzyć kilkutomową encyklopedię. Jeden z woluminów wypełniłyby zapewne komedie na ten temat. Niżej znajdziecie kilka przykładów komedii, które – najczęściej w prozaiczny sposób – dotykają nieba.

Biblijne przypowieści stały się kanwą niezliczonej ilości filmów. Tematem „numer jeden" byłoby zapewne życie Jezusa, przedstawiane na wszystkie możliwe sposoby. Jeżeli chcielibyście któryś z nich obejrzeć, na początek polecam „Opowieść wszech czasów" z niesamowitą kreacją Maksa Von Sydowa w roli Zbawiciela. A może lepiej zacząć od filmu, który od momentu premiery wzbudza niemale kontrowersje? A mowa o „Żywocie Briana" Monty Pythona. Oskarżani o bluźnierstwo artyści bronili się jak mogli wysuwając, słuszne skądinąd, argumenty, że film nie jest atakiem na istotę wiary, ale raczej na bezmyślność ludzkich poczynań i postępującą instytucjonalizację religii. Przypomnijmy, że fabuła filmu opiera się na drobnej pomyłce: Trzej Królowie, wędrujący z darami dla Mesjasza, pomylili stajenki i zamiast do Jezusa trafili do Briana. Pomyłka się wyjaśniła, ale to był znak i 33 lata później Briana zostaje uznany za Zbawiciela, porywa (wbrew własnej woli) za sobą tłumy, no i w efekcie zostaje skazany na śmierć. Umiera na krzyżu słuchając śpiewanej przez innych skazańców słynnej piosenki „Always look at the bright side of life".

Dwadzieścia lat po „Brianie" znów spora część kinowej publiczności poczuła się urażona przez komedię. Sprawcą zamieszania był Kevin Smith, który nakręcił „Dogmę" i pojechał ostro. Dwaj aniołowie wygnani na ziemię, wyjątkowo perfidni i zwyrodniali, trzynasty apostoł, którego nie wymienia Biblia, bo był czarny (zagrał go komik Chris Rock), Bóg w kobiecym wcieleniu (w tej roli wystąpiła kanadyjska piosenkarka Alanis Morisette), na dodatek jedną z bohaterek jest kobieta pracująca w klinice aborcyjnej, a dwóch znanych wszystkim obiboków, czyli Jay i Cichy Bob to prorocy! No, to musiało mocno wkurwić obrońców moralności. Sam film jednak nie jest kpiną z wiary, a jedynie z ludzkiego, strasznie materialistycznego postrzegania religii. Zresztą warto, żebyście sami ten film zobaczyli i ocenili, co tak naprawdę chciał nam Kevin Smith powiedzieć. Na pewno więcej, niż chcieliby oburzeni „Dogmą" dewoci.

Swoją drogą ciekawe, czy owi obrońcy czystości moralnej zauważyli (przynajmniej na zachodzie, u nas nie mieli takiej szansy) film „Jesus Christ Vampire Hunter". Tytuł w zasadzie mówi wszystko: Jezus ponownie zstępuje na ziemię, tym razem aby walczyć z plagą wampirów. Serwis internetowy imdb.com przypisuje do tego filmu następujące kategorie: kung fu / akcja / komedia / horror / musical. Niestety miałem okazję obejrzeć tylko fragmenty, były naprawdę niezłe :) Tym bardziej żałuję, że nie widziałem całości.

Osobną kategorią mogą być filmy o aniołach. Uskrzydleni wysłannicy Boga mają na ziemi do załatwienia przeróżne sprawy. Czasem na przykład trzeba kogoś nawrócić na dobrą drogę. Tak jak w komedii Franka Capry „Życie jest cudowne", w której niejaki Clarence, aby zasłużyć na anielskie skrzydła, musi odwieść od samobójstwa bankrutującego przedsiębiorcę, George'a Baileya. Aby tego dokonać pokazuje George'owi jak wyglądałby świat, gdyby ten się nigdy nie narodził. Ponura wizja przynosi skutek, a wszystko kończy się happy endem, co zresztą było charakterystyczną cechą pogodnych komedii Capry.

Ciekawy pomysł na pokazanie anioła na ziemi miała Nora Ephron, autorka filmu „Michael". Tytułowy anioł mieszka od jakiegoś czasu w małym miasteczku, podnajmując pokój u starszej kobiety. I wcale nie kojarzy się ze stereotypowym wizerunkiem bożego posłańca: pije, pali, klnie jak szewc i generalnie ma wszystko w dupie. W tym wypadku jednak na dobrym pomyśle się skończyło, a szkoda.

W licznych filmach bohaterowie wracali zza grobu do świata żywych, niekoniecznie jako aniołowie. I nie chodzi tu nawet o historie o duchach i zombie, a o ideę reinkarnacji. W wielu filmach bohaterowie po nagłej i przedwczesnej śmierci dostawali drugą szansę na odkupienie swoich grzechów. Czasami wracali w postaci innych osób, ale zdarzały się też filmowe wcielenia w psa (Matthew Modine we „Fluke'u") albo nawet w śniegowego bałwana (Michael Keaton w filmie „Jack Frost"). Ryzykowne pomysły, trzeba przyznać. Nam za całkiem udany przykład może posłużyć film, w którym główną rolę zagrał wspomniany wyżej Chris Rock. „Spadaj na ziemię" to opowieść o młodym chłopaku, który umiera przedwcześnie, ale jego dusza wciela się w ciało starego, powszechnie znienawidzonego milionera. Tu akurat mamy motyw naprawienia nie tylko własnych, ale i cudzych błędów (milioner z nową duszą okaże się przesympatycznym gościem i hojnym filantropem). Pojawiają się też rzecz jasna aniołowie, co jest o tyle zabawne, że jednego z nich gra Chazz Palminteri, etatowy odtwórca mafiozów i bandytów.

Na sam koniec filmy, które dotyczą spraw niebiańskich pośrednio, a jednocześnie są z nimi blisko związane. A to za sprawą ludzi, którzy chętnie w ramach ucieczki (przed policją, mafią, itp.) wykorzystują łatwe przebranie w postaci habitu lub sutanny. Ten motyw był wykorzystywany tak często, że w najnowszych produkcjach (jak choćby w polskiej komedii „Ciało" czy w „Zakonnicy w przebraniu" z Whoopie Goldberg) już wcale nie śmieszą. Ale są też wyjątki, np. „Nie jesteśmy aniołami" Neila Jordana. Robert De Niro i Sean Penn grają tu dwóch zbiegłych przestępców, którzy kradną sutanny i, jak łatwo się domyślić, szybko zostaną wzięci w małym miasteczku za księży, których wizyty akurat się spodziewano. Innym filmem, który warto zobaczyć są „Uciekające zakonnice", tyle że tutaj dwaj faceci przebierają się w habity sióstr zakonnych. Pomysł przebieranki zgrany jak stara płyta, ale role Erica Idle (jeden z aktorów grupy Monty Python) i Robbie'ego Coltrane'a (którego pewnie kojarzycie z roli Hagrida w ekranizacjach książek o Harrym Potterze) wynagradzają nierówności scenariusza.

Wymieniać kolejne tytuły można jeszcze długo. Z w miarę świeżych produkcji warto zwrócić uwagę na „Bruce'a Wszechmogącego", w którym Jim Carrey zostaje obdarzony wszechpotężną mocą przez Boga, który chce sobie odpocząć. Ale nawet taka bezpretensjonalna komedia może wzbudzić protesty, w niektórych krajach zakazano nawet jej wyświetlania, ponieważ rzekomo urażała uczucia religijne. Pewnie tych samych ludzi, którzy protestują zawsze, nawet nie oglądając filmów, bo z góry zakładają, że zostaną obrażeni. A takich, również w naszym kraju, nie brakuje.

.:Kineman:.

Na zdjęciach: 01. „Żywot Briana", reż. Terry Jones, 02. „Bruce Wszechmogący", reż. Tom Shadyac, 03. „Dogma", reż. Kevin Smith, 04. „Życie jest cudowne", reż. Frank Capra

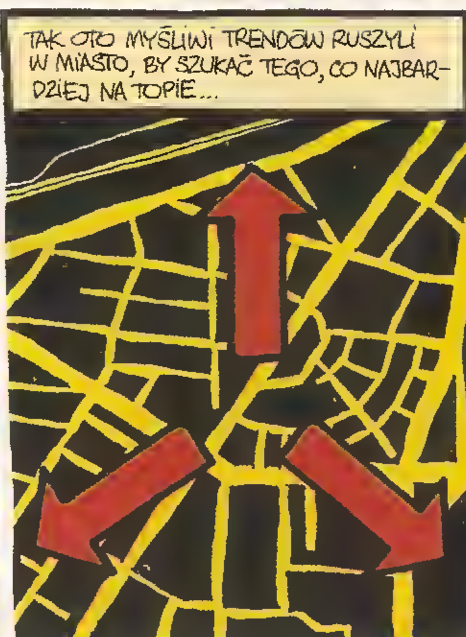
JEŻ JERZY

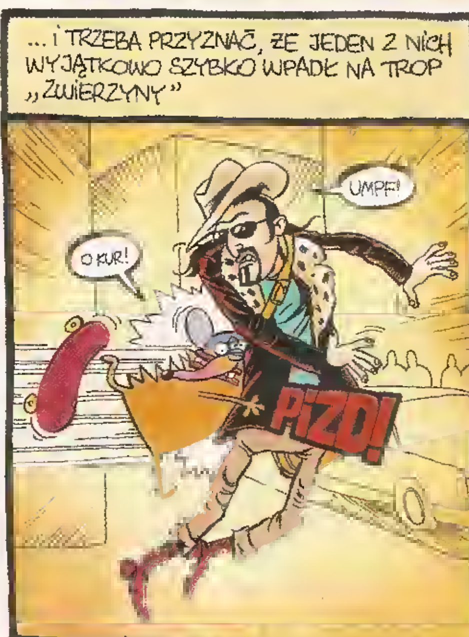
txt: Rafał Skarżycki gfx: Tomasz Lew Leśniak









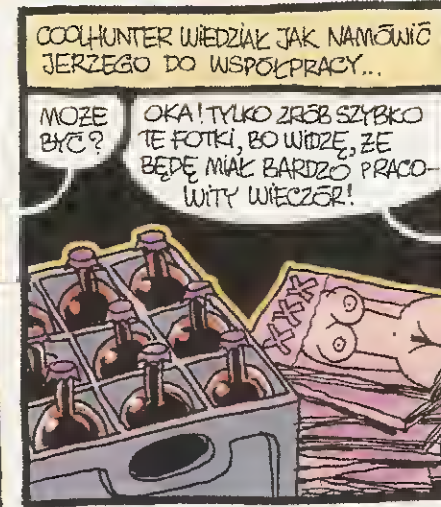


















ZAGROŻONY W SWEJ WYJĄTKOWOŚCI JERZY NIEZWŁOCZNIE DOTARŁ DO ZAZNAJOMIONEGO COOLHUNTERA I PRZY POMOCY KILKU SKRZYNEK PIWA, ORAZ JEDNEJ WÓDKI NAKŁONIŁ GO DO ZMIANY TRENDU – OSTATECZNIE UDAŁO SIĘ MU PRZEKONAĆ GO, ŻE TO NIE KOLCE SĄ COOL, ALE MANICURE, PEDICURE I BRAZYLIJSKA DEPILACJA WŚRÓD MĘŻCZYZN, CO BŁYSKAWICZNIE – JAK SIĘ OKAZAŁO – CHWYCIŁO NA MIEŚCIE...



HIP HOP KEMP
graffiti jam

Letnie festiwale hiphopowe w calej Europie przyciągają tysiące zwolenników czarnej kultury. Często warunki plenerowe niespecjalnie pasują do industrialnego charakteru graffiti, ale... dla chcącego nic trudnego! Do takiego wniosku doszli też organizatorzy tegorocznego HipHopKempu.

Imprezka odbyła się nieopodal miasteczka Hradec Králové w Czechach. I oto dzięki zaangażowaniu miejscowych i przyjezdnych magików od puszek, w środku lasu, nad dużym jeziorem, na specjalnie w tym celu postawionych ściankach urosla leśna galeria sztuki miejskiej. Efekty magii sprawdźcie poniżej.







LP 2004

KEMP ON SILVER LAKE




13. - 15. 8. - HRADEC KRÁLOVÉ - MALŠOVA LHOTA



LP 2004



HIP HOP KEMP
graffiti jam









LP 2004



KEMP ON SILVER LAKE



13. - 15. 8. - HRADEC KRÁLOVÉ - MALŠOVA LHOTA









LP 2004


graffiti jam
Włocławek 2004




ATMOMAT®
ul.KOMUNALNA 8
www.atmomat.com.pl
tel/fax (054)231 51 59, 232 76 09

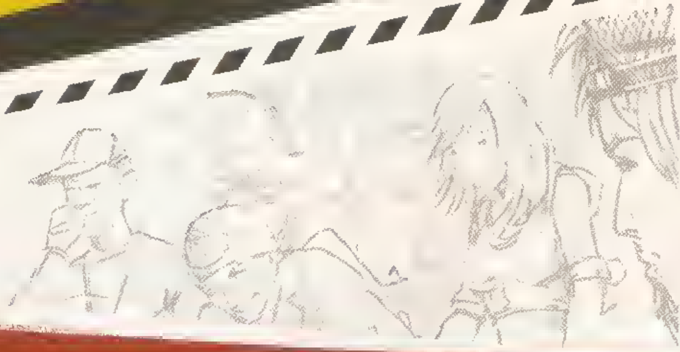
4 września 2004, w ramach Dni Kultury Brytyjskiej, Włocławek został rozkręcony przez międzynarodowe zawody BREAKDANCE SESSION 2004. Oprócz gibania się, gibonowania, bibojowych frizów i palerów było sprejowanie. Goście, czyli Fałhaesi, Ewuce, Oesce, Esbece, DOA, Montana Gold Team squad, dwaj Litwini i inni writerzy uskutecznili dwupoziomową produkcję sportowo-miejską (warunek organizatorów), którą sami możecie ocenić.

Poza tą produkcją w mieście, niestety nie za dużo widać. A może źle szukalismy? Propsy dla orgów dżemu za zajawkę, angaż i profesjonalizm.









ILUSTRACJE: CYBE

graffiti
Włocławek 2004

Chłopeki od fotorealów pomiędzy graffiti X-Mana, Szejna, Daira i Cybe wcisnęli reklamę swojego teamu a w niej:

a) najsmutniejszą sportsmenkę świata
b) wkurwionego koszykarza (że nie ma piłki)
c) przerażonego koszykarza (bo ma piłkę)
d) lokalną katedrę o globalnym znaczeniu
d) sunset over Włocławek city.

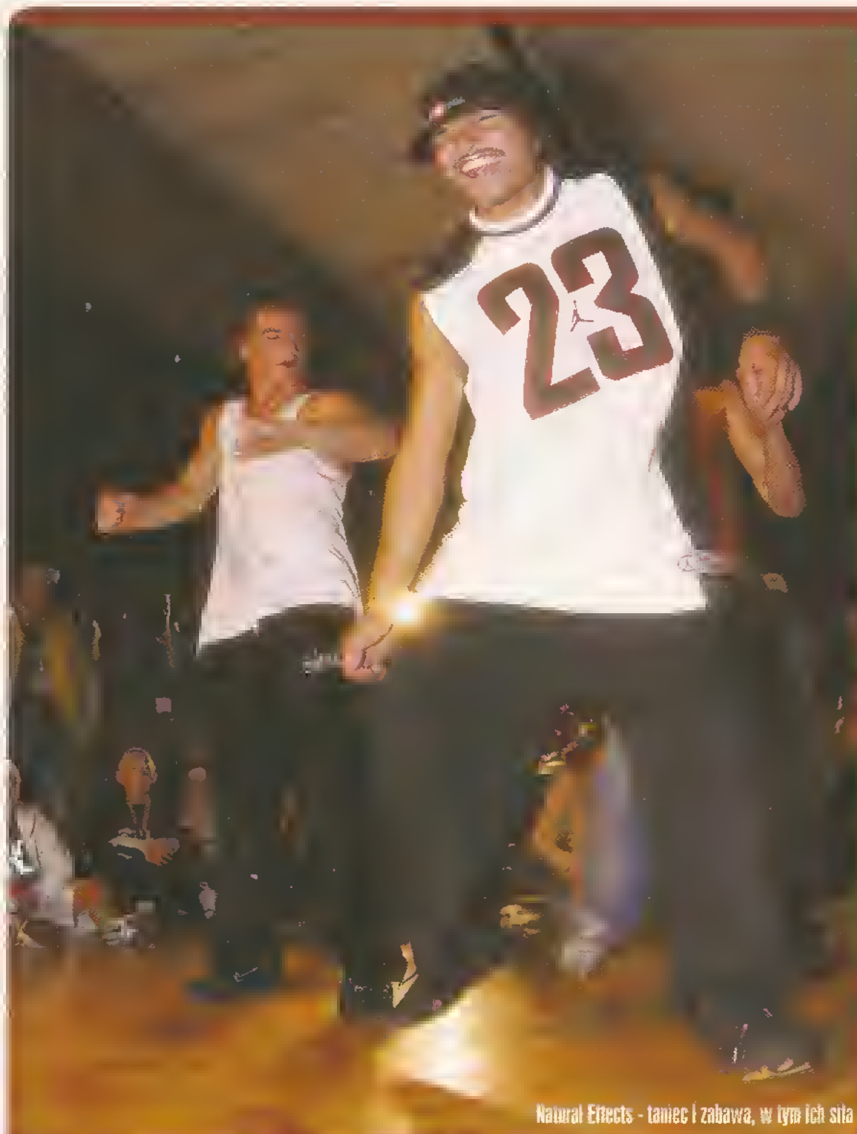
Do zobaczenia na nestępnym dżemie!





breakdance session

włocławek2004



Natural Effects - taniec i zabawa, w tym ich siła



Bartazz i BrokenAzizi w przegranej walce z Gang Breakers



[illegible] - Nnateper



Funky Trip. Walka z Btown.

Takiej imprezy breakdance jeszcze w Polsce nie było. A może powinienem napisać: „tak obsadzonej imprezy jeszcze w Polsce nie było". Chyba tak, bo organizacja, jak to organizacja, raz jest lepiej raz gorzej, w tym wypadku było w sumie bez zarzutów. Duża hala miejskiego ośrodka sportu i rekreacji we Włocławku dość dobrze nadawała się na imprezę w stylu Breakdance Session. Finansowo organizatorów, oprócz oczywiście sponsorów, poratowały władze miasta, a także ambasada Wielkiej Brytanii, która z okazji obchodów dni kultury brytyjskiej dodatkowo objęła patronat nad projektem. Tak więc wszystko pięknie, jak się ma takie zaplecze, to można zorganizować turniej breaka nawet na Księżycu.

Co w tym wypadku sprawiło więc, że było to wyjątkowe wydarzenie? Prawie na pewno to, że zalazły się też fundusze, aby zaprosić gości z zagranicy. Jako, że impreza pod patronatem ambasady i tak dalej, postanowiono ściągnąć kilka ekip z zagramanicy, co by dodać imprezie splendoru. No i zaproszono, i to bynajmniej nie statystów, tylko w kilku wypadkach konkretnych zawodników. Przyjechali Legiteam Obstruxion – Francja; Uprock Addicts – Wielka Brytania; Koenig City Breakers – Rosja; Invisible Soul – Litwa; Gang Breakers – Łotwa; Btown Allstars – Niemcy; Natural Effects – Dania. Z wymienionych przyjezdnych grup tylko rosyjska, litewska i angiel-



Pozdrowienia dla tancerek!!! B-girl show.





104 kilogramy żywego bboinga. Lego- Spasiba Breakers.

ska były przypadkowe (czytaj słabe), reszta dawała sobie radę całkiem konkretnie. Z Polski wystawione zostały wszystkie znane ekipy Nontoper, WHSB, Crazy Squad, Ready to Battle, Spasiba Breakers, Sonic Force, Broken Glass2 – którzy się nie stawili, i Azizi, podzielone ze względu na ograniczenie ekip do pięciu osób na dwie ekipy: Azizi i Broken Azizi, bo do tej części dołączył Bartazz, którego BG2 nie przyjechali do Włocławka. Poza tymi grupami do udziału w Breakdance Session zakwalifikowały się także ekipy KGB, Conflict Zone, United Breakers, Team Lurys, Ass Kickers, Mussumi, SMS. Szkoda, że zabrakło NASA z Koszalina.

Zasady proste: tancerzy jest po pięciu, walka trwa 8 minut (w finałach po 15 minut), nie ma dotykania się, sędziowie zawsze mają rację i tak dalej. Standard. Co do sędziów to zostali nimi: Michael z Flying Steps (Niemcy), Chico z Breakdance Connection (Niemcy) i Juraj – ze znanego z BOTY EE Quassit Crew (Słowacja).

Impreza zaczęła się z lekkim opóźnieniem parę minut po szesnastej. Pierwszą fazą eliminacji były walki polskich ekip. Nie było tu niespodzianek, może za wyjątkiem gdy RtB zostali pokonani przez Funky Trip z Kędzierzyna Koźle. Wszyscy inni poradzili sobie bez problemu. Ta pierwsza runda pokazała, że Azizi, Spasiba czy Nontoper będą chciały sobie tego wieczoru powalczyć z zagranicznymi grupami.

No i na chęciach się niestety skończyło. Ekipy z pierwszych eliminacji zostały rozlosowane z ekipami z zagranicy. Na początek drugiej rundy Broken Azizi dostali od Gang Breakers z Litwy. Walka była równa i choć mi bardziej podobali się Broken Azizi, to jednak sędziowie wydali werdykt na korzyść Gang Breakers. Dalej walczyli Crazy Squad z Rosjanami z Koenig City Breakers. Ta bitwa została wygrana przez Pawełka i jego młodszego kolegę Marcinka, którzy się w pewnym momencie zdenerwowali i zaczęli rzucać łączenia tomasów z twisterami, z dziewiątkami, z bańką i tak tymi kombinacjami zaczarowali sędziów, że ci wskazali na grupę z Włocławka.

Co tam się jeszcze działo ciekawego? Aaa! Azizi walczyli ze zgejowanym teamem z Francji – Legiteam Obstruxion, już sama ich nazwa się źle kojarzy. Walka wyglądała bardzo nieciekawie. Azizi próbowali się śmiać z żabojadów w różowych podkoszulkach, ci z kolei próbowali pokazać, że zjedzą chłopaków z Rybnika. W sumie więcej było przekrzykiwania się, klaskania przedramionami i przepychania niż walki, a szkoda, bo chłopaki z Azizi w składzie między innymi z Cinkiem i Amorem mają dużo do pokazania i gdy wychodzili tańczyć a nie robić zadymę, było na co popatrzeć. Francuziki jednak też coś potrafili poza trykaniem się w tyłek (ten trik też pokazywali) i choć tańczyli koszmarnie brzydko, potrafili parę powerów i innych sztuczek – np. tex ze skakaniem na zgiętym ręku. W rezultacie sędziowie wskazali wygraną Legiteam Obstruxion. Osobiście się z tym nie zgadzam i uważam, że stało się tak, ponieważ Azizi za bardzo dali się ponieść emocjom i zamiast się bawić po prostu złośliwie przeszkadzali Francuzom. Gdyby Polacy zachowali spokój i dystans na pewno wygraliby tę walkę.

Niemcy z Btown Allstars poradzili sobie z Funky Trip. Niemców było trzech, w każdym z nich inna krew, a umiejętności mieli takie, że można było by nimi obdzielić z 20 polskich bboi.



Bboy z Btown Allstars.

włocławek2004
breakdance session


„Loczek" z ekipy Natural Effects


Francuzik napina się jak może, dobrze, że mu żel z głowy nie spłynął...

Dalej Nontoper kontra Invisible Soul. Cóż można powiedzieć. Mielonka miała dużo szczęścia, że wylosowali grupę z Litwy. Raz, dwa, trzy i w osiem minut pojechali biednych Litwinów, którzy w tej walce byli tak jak swoja nazwa: Invisible – niewidzialni.

Mniej szczęścia mieli Sonic Force, którzy trafili na duńską ekipę Natural Effects, z której to osiągnięć wymienię choćby wygranie tegorocznych eliminacji BOTY Skandynawia i udział w wielu międzynarodowych imprezach. Niestety, Duńczycy nie dali wielkich szans Polakom i sprawnie zapewnili sobie udział w dalszej części imprezy.

Ostatnią walką drugiej rundy była walka Spasiba Breakers z Anglikami z Upprock Addicts. Anglicy z tej ekipy spokojnie są w zasięgu polskich bboi i Spasiba bez większych problemów poradzili sobie z wyspiarzami. W ogóle to podoba mi się jak tańczą chłopaki z Siedlec i to, że bawią się występując. Niepotrzebnie tylko dali się sprowokować na jakieś pojedynki na salta. Na olimpiadę panowie pojedźcie, tam sobie poskaczecie saltka.

Tak z grubsza wyglądała impreza do tej pory. W przerwach oczywiście były koncerty rapowe, występowali WSZ i CNE, którzy zajmowali się również prowadzeniem imprezy. Później były występy PezetNoon i Kasta Skład, ale rapowe atrakcje nie wzięły góry nad atrakcjami breakdance'owymi.

Trzeba też wspomnieć o występach b-girls, które odbyły się między eliminacjami. Dziewczyny dawały sobie świetnie radę. Pozdrowienia dla wszystkich tancerek, róbcie swoje, nie przestawajcie!

Zaczęła się następna runda i batelki zaczęły być coraz konkretniejsze. Crazy Squad na początku dostali od Gang Breakers i nie pomogły już tym razem wiązanki Pawła. Łotysze dominowali w każdym elemencie, a przede wszystkim w tańcu. Potem Spasiba z uśmiechem na ustach dostali od Btown Allstars. Piszę z uśmiechem, bo podjęli walkę, nie bali się wcale i mimo przewagi Niemców i tak bawili się swoim występem. Dalej Francuzi starli się z ekipą z Rosji czy Ukrainy (nie pamiętam), i pomimo maksymalnie niefajnych (delikatnie pisząc) styli żabojadów, wygrali właśnie oni.

Na koniec tej rundy reprezentanci Nontoper Mielonka stoczyli walkę z Natural Effects. Niestety wyglądało to tak, jak wspomniana wcześniej walka Nontoperów z Litwinami. Tylko, że w tym przypadku to Polacy nie potrafili sobie dać rady z Duńczykami, którzy rozgrzani wcześniejszymi walkami jechali płynnie, pomysłowo, technicznie, po prostu niszczyli niemiłosiernie.

Nontoperzy wyglądali na zaskoczonych tym, że nie potrafią nawiązać walki i zaczęli się denerwować. Tak bardzo się zdenerwowali, że na bitewne zaczepki i podjazdy ze strony Natural Effects zaczęli reagować bardzo agresywnie i rozpaczliwie wrzucali coraz to nowe numery. Walka, a zwłaszcza jej koniec, nie wyglądała fajnie. Duńczykom też się chyba nie spodobała, bo na dobrą minutę przed końcem walki, pewni swego zwycięstwa, zabrali swoje rzeczy i zaczęli żegnać się z Nontoperami. To chyba mówi wszystko.

Półfinały. Na początek Btown Allstars i Gang Breakers. Wygrali Łotysze, sam nie wiem dlaczego. Niemcy we trzech potrafili zrobić przecież niezły zamęt na scenie, jednak widać to grupa z Rygi potrafiła swoimi wyjściami zdobyć przychylność sędziów. Nadszedł czas na drugi półfinał: Legiteam Obstruxion versus Natural Effects. Ta walka była chyba najciekawszą walką, jaka odbyła się na polskich parkietach. Nie ma co wymieniać, co robili i jedni i drudzy. Okazało się, że różowe, francuskie pieseczki zaczęły trochę lepiej się ruszać i że jednak trochę potrafią tańczyć. Trochę, to znaczy tak naprawdę byli rzeźnikami, ale w swoim stylu, który w ogóle mi się nie podobał. Duńczycy natomiast wznieśli się na wyżyny swoich umiejętności i zabawy. I cały czas pokazywali Francuzom: mniej gadania, więcej tańca! Walkę wygrali oczywiście Natural Effects i stanęli do pojedynku o pierwsze miejsce z Gang Breakers.

Podczas finałów okazało się, że Legiteam Obstuxion zrezygnowali z walki o trzecie miejsce z Btown Allstars, powiedzieli, że są zmęczeni. Nieważne. Walka o pierwsze miejsce była już tylko formalnością. Gang Breakers walczyli ambitnie, ale przeciwko Natural Effects ciężko im było cokolwiek zdziałać.

Formalności stało się zadość, po krótkiej naradzie sędziów ogłoszono wyniki. Pierwsze – Natural Effects, drugie Gang Breakers, trzecie Btown Allstars. Sędziowie dobrze wywiązali się ze swojego zadania, bo faktycznie wygrała najlepsza ekipa na imprezie. Pierwszą nagrodą był czek na 1000 dolarów i jedynym pytaniem było, czy chłopaki z Natural Effects przelańczą wszystko na szalonym after party, które zorganizowano po zakończeniu imprezy, czy zostawią sobie coś na później. Nieważne zresztą, zasłużyli na pierwsze miejsce i nagrodę, nie ma gadki.

Na koniec, podsumowując krótko, można powiedzieć: udana impreza, chcemy więcej takich, prawda? Oczywiście!

Pozdrowienia dla wszystkich.

.:txt i foto wzrr:.

dance 4 PAPA

Na początku tego roku stala się rzecz, która nigdy wcześniej nie miała miejsca. Trzech polskich bboi wystąpiło na audiencji u Papieża Jana Pawła II. Byli to Kwiatek, Bożek i Wezyr. Zdarzenie to odbiło się głośnym echem w prasie i środowiskach katolickich, a jednocześnie pokazało, że kultura hip-hop, w tym wypadku breakdance, została potraktowana poważnie jako droga, którą mogą podążać młodzi ludzie. Wydarzenie to wspomina dla SLG Wezyr. Dzięki Wezyr, pozdrawiamy cię.



Jak to się stało, że znaleźliscie się w Watykanie z wizytą u Ojca Świętego?

Któregoś stycznlowego wieczoru zadzwonił do mnie Kwiatek, kolega z Koszalina, obecnie z Warszawy, też bboy i zapytał, czy chciałbym polecieć do Watykanu na taki właśnie pokaz. Wiadomo, nie potraktowałem tego serio. Nie myślałem o tym, miałem egzaminy na uczelni, ale potem były następne telefony, konferencja prasowa, musialem wysłać swoje dane i sprawa zaczęła wyglądać poważnie. Potem już tylko czekałem na wyjazd. A sama incjatywa była pomysłem Centrum Twórczosci Narodowej, fundacji która roztacza opiekę nad młodymi talentami. Ludzie z tej fundacji zauważyli bboi – Kwiatka i Bożka – tańczących na pokazie i wymyślili, że można to pokazać w Watykanie. Udało im się zrobić rzecz niewiarygodną i tak do tego doszlo.

Jak myślisz, co miał pokazać fakt, że chlopaki „z ulicy", uprawiający „uliczny taniec" mogli wystąpić u Ojca Świętego?

Na przykład dla pana Zanussiego, z którym tam pojechaliśmy, miało to reprezentować „zderzenie" kultury „wysokiej" – czyli całej kultury światowej, kultury autorytetów takich jak Ojciec Święty, z kulturą „niższą" – czyli masową, uliczną, z kulturą młodych ludzi. I tak naprawdę udowodniło to, że hip-hop tak się rozrósl, że nie sposób go pomijać i nie zauważać, że młodzież się tym zajmuje. To jest nie tylko kultura, ale też sposób samorealizacji, coś, dzięki czemu mogą się rozwijać i realizować swoje marzenia. Lub przeżyć niesamowite chwile, takie jak ja u Ojca Świętego.

Jak wyglądały chwile przed występem, mogliście się rozgrzać, przygotować?

Przydzielono nam jedną osobę z gwardii papieskiej, zaprowadzono nas do osobnej pustej sali, gdzie stal tylko tron papieski, na podlogach marmury, na ścianach obrazy, sufit zdobiony freskami, niesamowite miejsce do tańca. Tam zrobiliśmy sobie rozgrzewkę. Podłoga była idealnie czysta, ani grama kurzu, na co dzień mógłbym machać na takiej podłodze.

Tańczyliście przy jakiejś muzyce czy w nabożnej ciszy?

Wzięliśmy ze sobą takiego malulkiego bumboksa na płyty i z niego tak trochę ciszej niż zwykle grała muzyka. Przed Ojcem Świętym tańczyliśmy do muzyki, którą zrobił dla nas dj Spajki z Sily Dźwięku, właśnie do jego kawałka polecieliśmy.

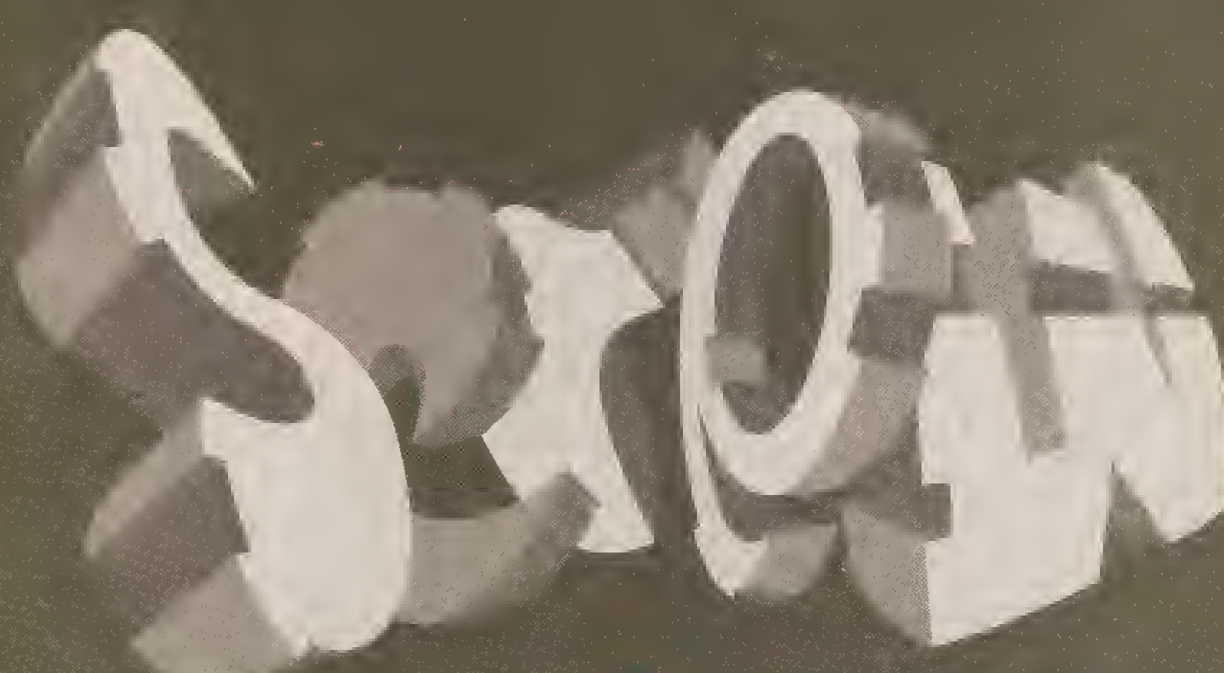
Same wrażenia z występu pewnie niesamowite?

Teraz już o tym tak nie myślę, ale bardzo łatwo jest mi wrócić do momentu występu w Watykanie. Będę to już zawsze pamiętał i wracał do tego jak najczęściej, bo to była piękna chwila. Stojąc przed Ojcem Świętym byliśmy cali czerwoni ze wstydu, albo z przypływu wielkiego ciepła, które biło od Jego osoby. Nie czulem się tak nigdy, niesamowite wzruszenie i radość zarazem. Poza tym mieliśmy świadomość, że tworzymy w pewien sposób historię. Sam Papież jest niesamowicie mądrą osobą, gdy jesteś w jego towarzystwie, nie potrzeba nawet rozmowy, by poczuć przypływ energii. Utwierdził nas w przekonaniu, że to, co robimy jest dobre i że nie wolno nam się poddawać, nie wolno nam kończyć tego, co kochamy i co służy dobru.

Czy dzięki temu wydarzeniu stałeś się innym człowiekiem? Lepszym?

Myślę, że zmieniło się moje podejście. Przed spotkaniem z Ojcem Świętym zastanawiałem się, czy moje osiągnięcia w tańcu to już wszystko, co mogę osiągnąć, czy jest sens, żeby tak się poświęcać, trenować. A to wydarzenie utwierdziło mnie w przekonaniu, że jednak nie wolno się poddawać i trzeba konsekwentnie brnąć do wybranego celu. Tańczę w sumie dopiero 5 i pół roku, przychodząc na pierwszy trening do Dużego Myszy w Koszalinie nie umiałem nic oprócz szpagatu. I teraz wiem, że nieważne co osiągnąłem, były to moje małe sukcesy, ale w dalszym ciągu przede mną jest dużo pracy i nie zamierzam się poddawać.

:foto Hirek Wrona:.





total chaos







trik miesiąca

Brian Brown - Zoo York / kf transfer

foto: WZRR

hi-tech

łożyska







Producenci łożysk prześcigają się w wymyślaniu coraz to nowych usprawnień swoich łożysk. Według mnie w tej dziedzinie chyba wszystko zostało powiedziane i Ameryki to się raczej już nie odkryje. Wszelkie „systemy" na nic się zdają, gdy do środka wpadnie piasek. Obok prezentujemy kilka wybranych łożysk. Sprawdźcie te kolory! Najbardziej zaawansowane technicznie łożysko jest z firmy Birdhouse. Kółka po prostu wznoszą się w powietrze...

klucze



Przedstawiamy najnowsze zdobycze techniki w dziedzinie designu kluczy skateboardowych. Producenci wykazują się niezłymi pomysłami przy wymyślaniu kształtu i ilości funkcji tych urządzeń. W nowoczesnym zestawie narzędzi znajdziesz wszystko – w kluczu Reflex jest nawet narzynka do gwintów. Najfajniejszy kształt ma produkt Foundation.



toy story

czyli o typowym dniu skatera w Polsce słów kilka...

Jest ciepło, chociaż lipiec był kiepski, teraz mamy piękną pogodę. Te słowa powinny cieszyć każdego amatora skateboardingu, nie ma nic przecież lepszego od jazdy w pełnym słońcu na zajebistym spocie. Niestety, nie zawsze wszystko zależy tylko od pogody, czasem (a ostatnio prawie zawsze) sprawy przybierają dość dziwny obrót. Przeczytajcie, jak może wyglądać typowy dzień warszawskiego deskorolkowca i zastanówcie się, ile samozaparcia i uporu trzeba w sobie mieć, aby dalej kontynuować swoją zajawkę.

Z powodu szerzącego się terroru na ulicach miejsca do jazdy należy wybierać bardzo rozsądnie. Ostatnio, obok jakże ważnej przydatności do jazdy, spot powinien posiadać jeszcze jedną arcyważną zaletę – nie być jednym z przystanków dla patroli policyjnych. Niestety ostatnio ci umundurowani terroryści szczególnie upodobali sobie deskorolkowców i na nich odreagowują swoje liczne frustracje.

Z racji tego, albo raczej na przekór wszystkiemu, na pierwszy ogień tego dnia idzie Grób Nieznanego Żołnierza. Wiadomo, że najciemniej jest pod latarnią, więc ufni w to narodowe porzekadło zaczęliśmy jeździć właśnie tam.

Nigdy nie miałem szczęścia w totolotku, rzeczywistość w tym wypadku również pokazała, że na proroka żadnych zadatków nie posiadam. Szybka akcja zbrojna ex Ludowego Wojska Polskiego w oddziale składającym się z kaprala i dwóch kotów sprawiła, że po krótkiej sprzeczce musieliśmy zrobić powrót na z góry upatrzone pozycje.

Po drodze na Witosa jest jeszcze jedna niezła miejscówka przy Narodowym Banku Polskim. Znajdują się tam niewysokie, marmurowe murki. Była to niedziela, więc przybytek ten powinien być zamknięty. Pełni nadziei szliśmy pod NBP, faktycznie miejsce było puste i wydawać by się mogło, że czeka specjalnie na nas. Spot ten znakomicie nadaje się do nauki nowych trików na murkach. Cóż z tego, skoro praktycznie nie można tam jeździć. Nawet w dniu, gdy oprócz nas nie kręciła się tam szara mysz, po kilku minutach wyszedł podstarzały ochroniarz z wąsem (tzw. rambo – cieć), który od razu zaczął straszyć wezwaniem jakichś służb porządkowych. Z władzą nie ma żartów, szczególnie, gdy przyjeżdża z interwencją, wie o tym każdy, kto niszczy publiczne mienie. W naszym wypadku osobami pozbawionymi poczucia humoru była mieszana para straży miejskiej – funkcjonariusz z młodą podwładną, która zapewne nie miała w młodości żadnych koleżanek. Wiedzeni naturalną dla nich misją dla społeczeństwa chcieli dać nam z rozpędu mandat za wszelkie wykroczenia i zbrodnie popełnione w tym miejscu na przestrzeni ostatnich pięciu lat. Skończyło się na tym, że ten szalony mikst upomniał nas słownie i wielkodusznie pozwolił się oddalić.

W dość ponurych nastrojach podążaliśmy trasą w stronę pomnika Witosa. Tam, choć stoją tabliczki z „zakazem jazdy w okolicach pomnika wszelkich pojazdów", znajduje się centrum warszawskiej deskorolki. Jest to ostatni ocalały, stary spot, z którego skaterów wygonić się nie da. Ciągle przypominające łapanki naloty policji nie dają żadnych rezultatów. Są dni, gdy można deskorolkować tam do woli, a zdarzyć się może, że mundurowi przyjadą po pięciu minutach. Wszystko zależy od grupki lokalnych żuli, którzy całe dnie wylegują się lub sprzedają kwiaty i przeszkadza im odgłos deskorolki. Po prostu bardzo lubią sobie oni zadzwonić na policję i zgłosić wandalizm przy pomniku Witosa.

Gdy dotarliśmy na miejscówkę, oczywiście była ona wypełniona po brzegi skaterami. Wywalani zewsząd warszawscy skaterzy zjeżdżają się na Plac Trzech Krzyży. Spot pęka w szwach, choć jest on przeznaczony z racji swych rozmiarów dla kilku ludzi, okazuje się, że może pomieścić nawet kilkadziesiąt osób. To musi wywołać reakcję ze strony podstarzałych chlorów. Oczekiwani stróże prawa w końcu przybywają, choć nie tak prędko jakby się wydawało. Cały plac pustoszeje w mgnieniu oka, zostaje tylko parę osób, którym po prostu nie chce się uciekać. Zmęczony po poprzednich wypadkach należałem właśnie do tej grupy i to między innymi mnie przypadła przyjemność rozmowy z policją. O dziwo, nie byli to typowi dla tego zawodu osobnicy, zamiast zgrywać mądrale i z wyższością opowiadać wyuczone przez nich larmazony, w kilku słowach wyjaśnili, że to tylko ich praca i że kiedy odjadą można wziąć się z powrotem za swoje. Jeden mówił, że był amatorem sportów walki, więc „doskonale nas rozumiał". Cóż, sami przyznacie, że była to dosyć niecodzienna sytuacja. Kiedy odjechali stan liczebny miejscówki wrócił do tego sprzed godziny i ciągle przypominał ul. Po jakimś czasie postanowiliśmy odwiedzić pobliską Jutrzenkę. Tam powinno być mniej ludzi...

Skatepark niestety nie był pusty. Deszcz, który zdążył spaść w międzyczasie, przygonił do niego większość skejcików. Jednak co z tego. Wewnątrz namiotu można się przecież oddać skateboardingowi bez reszty, nie myśląc o tym, że popełnia się przestępstwo. Dziwnie to wygląda dla osoby, która wolałaby przebywać cały czas na streetowych miejscówkach, ale taka jest polska rzeczywistość.

Nagle wydało mi się, że oczy płatają mi figla. Przed sobą widzę gościa ubranego na niebiesko z charakterystyczną czapeczką na głowie. Koleś ten patrzy mi się w oczy i idzie dalej. Nie spodobał mu się jakiś skejcik i kazał mu wyjść z namiotu. O co chodzi, do cholery. Dziwną sytuację wyjaśnił Amadeusz, szef skateparku. Policja szukała jakiegoś małolata, który uciekł z domu. A przecież gdzie szukać typa na gigancie, jak nie w skateparku? Przecież to przypomina jakąś paranoję! Gdzie ja żyję?

Na tym skończę.

.:t0r 0i:.

recenzje sk8



411 nr 65

Ten numer 411, co od niedawna stało się nową, świecką tradycją, ma temat przewodni. Jest to firma Stereo i wszystko, co jest z nią związane. Mamy więc przejazd Clinta Petersona. Jego część jest mieszanką streetowej jazdy, koleś świetnie czuje się na różnych przeszkodach i do przejazdu wybrał sobie same rarytasy. Benny Airfax, amator Stereo z Anglii również pojawia się w tym wydaniu 411. Jest on typowym reprezentantem nowej fali w skateboardingu, napierdala wszystko na wszystkim, jednak robi to w bardzo ładnym, a przede wszystkim unikalnym stylu. Oprócz tego można zobaczyć co tam słychać u Jasona Lee i jaki film obecnie kręci oraz zobaczyć relację z touru Stereo. Jest tam okazja, żeby zobaczyć co jeszcze umie obecny aktor, ma on nagranych kilka trików. Na koniec jest zajebista pozycja, pro file z Forrestem Kirby. Nie ma on nic wspólnego z brandem Stereo, mimo tego trafił do najnowszego numeru 411. O tym, dlaczego tak się stało, będziecie wiedzieć, gdy obejrzycie ten pro file. Forrest pokazuje solidną dawkę deskorolki, po której na pewno będziecie chcieli iść na deskę. **pc skate**



Praga 2003

Czytacie właśnie recenzję czwartej części magazynu video z Pragi czeskiej. Nie ukrywam, że z przyjemnością obserwuję rozwój tamtejszej sceny. Pamiętam, gdy poziom jazdy z Polską był mniej więcej równy, teraz niestety nasz rodzimy skateboarding pozostał nieco w tyle. Tam natomiast deskorolka gna do przodu jak szalona, widać to co roku na filmach robionych przez Davida Chwatala (był on w tym roku na Mentorze, może w przyszłym roku będzie relacja z Polski).

W „Praga 2003" jest jak zwykle masa materiału spod Stalina. Nic dziwnego, że tam najwięcej nagrywają, miejscówka jest kozacka, ale po pewnym czasie oglądania filmu może to znużyć. Zmieniają się natomiast nazwiska skaterów i to dość często. Ważne jest to, że nikt nie odstaje poziomem od reszty, wszyscy jeżdżą bardzo dobrze. Przejazdy mają m.in.: Petr Horvath (nie trzeba go przedstawiać), Tomas Vintr (ten, który wygrał w tym roku MSS), Vasek Puto, a także gość z Norwegii, Henning Braaten.

Video to jest mieszanką technicznych popisów, głównie ze wspomnianego Stalina. Jednak są też inne miejscówki, np. Vintr ma kilka numerów z Barcelony. Choć klimat filmu nie pasuje mi zbytnio, to polecam go każdemu z czystym sumieniem. **pc skate**



Emerica „Kids in Emerica"

Kolejny film z touru. Przedstawia on atak szalonych dzieciaków z Emeriki na różnego rodzaju miejscówki. To, co wyróżnia tę produkcję od całej setki jej podobnych, to zajebiste triki. Chłopaki potrafili nagrać konkretny materiał w bardzo krótkim czasie. Głównymi postaciami są najmłodsi członkowie teamu: Bryan Herman, Leo Romero, Spanky, Tosh Townend. Nie ma co ukrywać, to ich ewolucje stanowią o poziomie filmu. Starsi koledzy potrzebują jednak dużo więcej czasu na nagranie przejazdu, co widać po ilości materiału. Niezawodny jest tylko Reynolds, ten człowiek gdziekolwiek się uda, zawsze zrobi coś, co szokuje. Minusem filmu jest zbyt duża ilość skateparków i to, że całe video nie trwa zbyt długo. Ci, którzy nastawiają się na coś w stylu „This is skateboarding" raczej się zawiodą, ale na chwilową odmułkę jest spoko. **pc skate**



Sugar Sports

Najnowsza, a zarazem pierwsza produkcja tej firmy, choć nie powaliła mnie na kolana, to jednak nie sprawiła, że miałem ochotę wyłączyć ją po pięciu minutach. Sugar Sports jest firmą, która produkuje deski i koła, a w teamie znajdują się mało znani skaterzy. To, że nie są jeszcze rozpoznawalni, nie znaczy, że jeżdżą źle. Nic bardziej mylnego. Na uwagę zasługuje kilka przejazdów. Największe wrażenie zrobił na mnie Ricky Fox, który zaskoczył wszystkich takim oto trikiem: nollie big spin heel bs nose blunt slide. Numer, jak wiadomo, jest tak samo trudny jak długa jest jego nazwa. Oprócz Ricky'ego nieźle jeździ znany z filmu „Listen" Marko Jazbinsek oraz koleś z Waszyngtonu Billy Roper. W filmie dominują miejscówki z Kalifornii, co podkreśla klimat filmu.

Jak wspomniałem wcześniej – nie jest to nic wielkiego, ale przyjemnie się ogląda. **pc skate**

total chaos

kontuzja

Więc tak... Kontuzje, nikt chyba ich nie lubi, ja także, a miałem ich już dosyć sporo. Pierwsza, najgorsza kontuzja, jaka mi się przydarzyła, to rozcięcie nogi o kant murka na wysokości piszczeli, dość nieprzyjemne. Od razu pojechałem do szpitala, którego się maksymalnie boję i lekarz powiedział: zszywamy, a ja na to, że podziękuję za zszywanie. I tak po jakichś 3 tygodniach zrosło mi się, ale mam teraz dość szeroką bliznę, bo nie chciałem zszywać – ze 2 tygodnie w ogóle nie jeździłem przez tę kontuzję. Następna najgorsza to kolano, próba 360 flip ze schodów, dziwnie upadłem i tylko poczułem jak kolano wypada mi ze stawu i wraca z powrotem. „Przejebane", myślałem, że już nie będę mógł nigdy jeździć, lekarz powiedział: „tylko operacja, bo inaczej nie będziesz mógł nawet biegać", widocznie się pomylił, bo jeżdżę cały czas, a żadnej operacji nie było! Przerwa 4 miesiące, a może i dłużej, beznadzieja.

Skręcenie kostek zdarzało mi się czasem, ale następną kontuzją, a może przed kolanem, już nie pamiętam, było skręcenie kostki z pękniętą torebką stawową. Następna beznadzieja rzecz, czułem jakby mi się kostka tak wygięła, że dotknęła ziemi, jakby wypadła ze stawu i wróciła – miesiąc przerwy! A, no i ile razy spadało się na te biedne nadgarstki! Już mam je tak rozwalone, że jak za mocno się wywalę na ręce, to naprawdę mnie bolą. Znajomy, który jest lekarzem, gdy zobaczył moje nadgarstki, to powiedział, że są niestety już trochę poprzestawiane. No i ostatnia rzecz, która mi się przydarzyła na MSS 2004: spadłem całym ciężarem ciała na rękę z wysokości, czułem tylko jak wypada w łokciu ze stawu. Flesh w mózgu, nie wiesz co się dzieje, ale wiesz na pewno, że coś na maksa przejebanego. Okazało się, że popękała kość promieniowa, 3 tygodnie w gipsie, 2 tygodnie rehabilitacji i 8 tygodni dochodzenia do normalnej stabilności ręki. Co prawda miałem mieć jakąś małą operację, ale ja się boję lekarzy i unikam takich rzeczy – półtora tygodnia bez deski! Bo jeździć trzeba, jak się to kocha! JEBAĆ KONTUZJE! SKATEBOARDING FOR LIFE!

.:Gutek:.

skatepark ranking



nazwa - Skatepark Grójec
lokalizacja - patrz wyżej
przeznaczenie – deskorolka, rolki, wkrótce tor dla bmx
zadaszenie - brak
street course - duży funbox, quater pipe'y
materiał - konstrukcja metalowa wyłożona sklejką
punkt gastronomiczny - jest
płatny - oczywiście, że nie
łączna ocena (od 1-10) - 5

newsy

Zaczynam jak zwykle od zmian w składach. Tym razem mam dwie dobre wieści. Nowym żołnierzem Pogo został Kacper Ustarbowski z Gdańska, który jeździ też dla sklepu Triocity. Małoletni warszawiak Michał Juraś dostał wsparcie od polskiego dystrybutora obuwia Aeon.

Fisheye to nazwa nowego polskiego magazynu video, mającego się ukazać w październiku. Ręce maczają w tym projekcie Daniel Kanka „Koraszelski" i Szymon Jaros „Rodzyn". Z niecierpliwością czekamy na pierwszy numer...

W zeszłym miesiącu wspomniałem o mającym się odbyć tourze Kamuflage. W tej chwili wiem, że wydarzenie to nazywać się będzie „Kamuflage – Circa Tour" i zagości w następujących miejscach:
08.09.2004 Warszawa ŚRODA
09.09.2004 Łódź CZWARTEK
10.09.2004 Trójmiasto PIĄTEK
11.09.2004 Wrocław SOBOTA
12.09.2004 Opole NIEDZIELA
13.09.2004 Praga PONIEDZIAŁEK
14.09.2004 Praga WTOREK
15.09.2004 Katowice ŚRODA

W skład wyjazdu wchodzą znani deskorolkowcy (m.in. Gutek, Tomek Kotrych, Beniamin, Kuba Bączkowski, Patryk Wrzosek!!!!, Marcin Jakubowski, Tomek Frant, Jarek Pijewski). Relacja z wycieczki ukaże się w następnym numerze Ślizgu. W trakcie touru chłopaki wezmą udział w różnych wydarzeniach. Tak się wspaniale złożyło, że odbędą się zawody w następujących miastach:
Łódź, 9.09., jam
Sopot, 10.09., TrioCity best trick contest
Wrocław, 11.09., zawody deskorolkowe Brotherhood i pokazy rowerowe
Opole, 12.09., Cortoz JAM i best trick

Oprócz tego 19 września w Bolesławcu odbędą się zawody deskorolkowe. Odbędą się one z okazji otwarcia skateparku. Zawodnicy sponsorowani i prasa mają zapewniony nocleg.

W zeszłym miesiącu obiecałem wyniki z Mistrzostw Europy w Lozannie. Oto komplet wyników Lozanna 2004:

STREET
1 Danny Wainwright
2 Dominik Dietrich
3 Dany Hamard
4 Akim Cherill
5 Henning Braaten
6 Frederik Austbo
7 Jeremy Rheinhard
9 Chris Planner
10 Maxime Genin

Best Trick
1 Alessandro Magnani
(Frontside flip to fakie nosegrind)

VERT
1 Rune Glilberg
2 Terence Bougdour
3 Jurgen Horrwarth
4 Pete King
5 Jussi Korhonen
7 Nicky Guerrero
8 Jocke Olsson
9 Thomas Kring
10 Bob Joosten

Best Trick
1 Jurgen Horrwarth (720°)

MINIRAMP-BOWL
1 Oli Buergin
2 Frederik Austbo
3 Harri Puupponen
4 Micky Iglesias
5 Jürgen Horrwarth
6 Thomas Madsen
7 Chris Astrom 3
8 Pete King
9 Nicky Guerrero
10 Roman Hackl

DZIEWCZYNY
1 Ianire Elorriaga
2 Stelfi Weiss
3 Sabrina Goggel
4 Sophie Poppe
5 Klara Kasparove

W pierwszy weekend września Red Bull postanowił zorganizować w Warszawie trzy imprezy dla deskorolkowców, bmx-owców i rolkarzy. Odbyły się tylko zawody w skateboardingu, a z dziwnych przyczyn inne po prostu się nie odbyły. Oto wyniki:

1) Karol Furmańczyk
2) Michał z Torunia, Michał Golinczak, Michał Kulczyński

total chao

wydarzenie
BOMBA tour

Od 20 do 30 sierpnia pięknego roku 2004 Polska została zbombardowana przez dwa polskie teamy skate'owe. 10 miast w 10 dni. Pogo pod wodzą starego skejta Piotra Dabova oraz Nervous, dowodzone przez maszynkę do robienia trików, Bartka Milczarka, wyruszyły pięknym busem w słoneczny sierpniowy piątek. Uczestników było naprawdę wielu. Cały team Pogo, czyli Bartek Pochylski, ultratalent, lotnik z Zielonej Góry, łódzka młoda strzelba, Derin Chałaśkiewicz, reprezentant Brzegu, punk i ska przystojny pan Mikołaj Baranowski, oraz wiecznie na „nie" ustawiony, nieobliczalne wrocławskie indywiduum, Adam Przybysławski. Z łapanki został dokoptowany pewien gdańszczanin, pan frontside flip, Kacper Ustarbowski. Team Nervous to Salvadore Dali polskiego skateboardingu Sławek Gliński, również znany jako Terminator, jego kolega Bródno Bej, Piotrek Kiełb, mistrz prędkości z Torunia Bartek Czarnecki, oraz pan „nie mówcie na mnie Marc Johnson" Paweł Walczak z Opola. Na deser pojechał jeszcze jeden wysłannik z Opola, najmłodszy z wesołej wycieczki, czyli Rodrigo Adam Golonkiewicz. Aby wszystko uwiecznić pojechali również dwaj kamerzyści, trzeci Bródno, czyli Hindus oraz szanowny pan Andrzej Skrobański.



Piotrków. To miasto nie było zaplanowanym miejscem postoju. Po prostu pocztą pantoflową rozniosło się, że będziemy tamtędy przejeżdżać. Zaważył na tym również fakt, iż obok trasy przelotowej znajdował się spot z poręczami i stromymi bankami. Jednak wysypanie się kilkunastu na czarno ubranych gości z autobusu jest sensacją w mieście Piotrków Trybunalski. Aż nawet sam pan dyrektor Banku, na którym znajdowała się miejscówka, wyszedł spotkać się z jeżdżącymi. Niestety okazało się, że nie ma on pokojowych zamiarów. Przy odjeździe ze spotu widzieliśmy ochroniarza z karabinem. Czy skateboarding jest aż tak niebezpieczny? Za namową lokalsów podjechaliśmy pod murek z 13 schodów. Miejsce było dość beznadziejne, ale i tak Steve i Bartek Milczarek poślizgali się noskami w różnych wariantach. Bartek Czarnecki również miał ochotę się poślizgać. Zrobił to niestety na własną kostkę.

Puławy. Wieczorem dojechaliśmy do Puław, czyli pierwszego oficjalnego miejsca dla Bomba Tour. Po padającym deszczu na wielopoziomowym skateparku było niewielu oczekujących. Bardzo nas to zdziwiło. Najśmieszniejszą rzeczą w skateparku był napis „Fuck Pogo Tour"; napisała to młodzież wszechpolska czy zazdrosna konkurencja? Zmęczeni leżakowaniem w busie wszyscy uczestnicy Bomba Tour dali czadu. Posypały się triki na poręczach, murkach, quarterach i bankach. Bartek Pochylski rozwinął skrzydła na banku robiąc chyba wszystkie odmiany hardflipów i chyba nawet nollie 360flipa... Mordercą wieczoru na poręczach okazał się Adam Przybysławski.



Chrzanów. Okazało się, że podróż busem z Puław do Chrzanowa to męczarnia w duszny letni dzień. Chrzanów powitał nas superpozytywnie, a to głównie za sprawą Tomo, Donia i całej ich paczki, którzy zorganizowali muzykę oraz oświetlenie na nocną sesję. Zrobiło się niesamowicie. Sesje na quarterach przy halogenach i muzyce Aphex Twin. Opisywanie trików jakie tam poszły, zajęłoby naprawdę dużo miejsca... Rozwalił wszystkich rock to fakie oraz rock revert na wallridzie jednego z lokalnych młodych morderców. Wallride w Chrzanowie był większy i dużo trudniejszy niż na Mentorze, więc naprawdę respekt, ziooom! To, co się działo w barze u Jolki oraz to, co się działo potem... To już zupełnie inna historia, a zresztą spytajcie Bartka Milczarka.



Katowice. Paderewa elo rap marmur. Każdy wykorzystał możliwości technicznej jazdy na marmurze. Bartek Milczarek jeszcze raz potwierdził, że jest mistrzem sekwencji. Z cokołu bombardowało wielu, Kacper pokazał, że jest mistrzem w skuteczności nie tylko, jeżeli chodzi o frontside flipy. Zawiesiliśmy się dość długo na paderewie po upojnej nocy w Chrzanowie. Na streecie pod wieczór miał siłę jeździć już tylko Rodrigo, który poślizgnął nosem Bibliotekę oraz zniszczył murek przy dworcu.

Wrocław. To piękne miasto i piękne kobiety, i dla niektórych również smaczne wino. Dzięki temu, iż wybudowano tam całkiem niedawno piękny skatepark, poziom deskorolki skoczył w górę. Lokalni reprezentanci pokazali, jak się robi techniczne triki na mniejszej piramidzie. Pozostawał również większy funbox używany głównie przez bmx. Mimo karkołomnych prób różnych trików, nie udało się go całego przeskoczyć. Wieczorem na murku w Centrum polało się trochę miodu.

Brzeg. Gdzie jest Brzeg? Brzeg to małe miasteczko położone pomiędzy Opolem a Wrocławiem. Jest to swoisty skejtowy fenomen. Podczas gdy większość miauczących skejtów wymiguje się, że powodem słabego poziomu jazdy jest brak miejscówek bądź skateparków, tam wzięli sprawę w swoje ręce. Skatepark na nielegalu w opuszczonej hali. Przeszkody z meblościanki i innych dziwnych rzeczy. Poziom deskorolki taki, że nie powstydziłoby się żadne większe miasto. Poręcze, murki quartery były atakowane ostro trikami na najwyższym polskim poziomie. Jak tak dalej pójdzie, to Brzeg zostanie stolicą deskorolki!

Leszno. Tuż przy wjeździe do skateparku przywitał nas deszcz. Korzystając z okazji, pojechaliśmy na basen i jedną z większych zjeżdżalni w Polsce. Najlepsze triki to katapulta oraz wallride na ostatnim zakręcie. Późnym popołudniem po powrocie do skateparku głównym celem ataku okazała się, wyglądająca na dużą tylko w gazetach, biało-czerwona poręcz. Z reprezentantów Bomba Tour dominowała Warszawa: Steve, Piotrek Kiełb oraz Opole: Paweł Walczak i Rodrigo.

Poznań. Ezoteryczny Poznań. Dokładnie w dzień naszego przyjazdu została ukończona minirampa pod Kinopolis, a wszystko to za sprawą Kuby Winowieckiego. Dla kilku z nas ta kryta mini rampa o wysokości 120 cm była rajem, z którego nikt nie chciał wychodzić....

Płock. To ostra godzinna sesja na murku przy PKP, najpiękniejsze osiem marmurowych schodów touru oraz pewien chłopczyk, który przyszedł z mamą próbujący z dużym powodzeniem takie triki jak kickflip indy...

Ełk. Na zaproszenie chłopaków z Anagramu Bomba Tour wylądowało na Mazurach. Po iście królewskim śniadaniu, pełni energii wyruszyliśmy do skateparku, który okazał się paroma skrzynkami palet na dobrej nawierzchni. Po rozjeżdżeniu się ruszyliśmy na miasto z bandą 40 dzieciaków. Zostały zaatakowane różne miejsca, przy takiej ilości osób bez eskorty policji się nie obyło. To, co wieczorem działo się barze C1, to już zupełnie inna historia...

Warszawa. Stolicę pozostawiliśmy na deser. Długa podróż i zmęczenie sobotniej nocy dało o sobie znać. Daliśmy jednak radę, aby zaatakować Bródno, Witosa, Uniwersus i Pałac Kultury. Trikiem na zakończenie touru było mega ollie Kacpra...

Tour udał się wyjątkowo, nie mam siły pisać więcej. Mam nadzieję, że wielu będzie go wspominać z łezką w oku...

.:Dabov:.





Poręcz El Toro



Love Park i widok na fontannę

legendarne spoty





Leap of Fait i Jamie Thomas

Dwa miesiące temu w dziale „Legendy" przedstawiałem wam San Francisco. Miasto dla skateboardingu bardzo ważne, ze względu na wspaniałe miejsca do jazdy i niepowtarzalny tamtejszy klimat. Jednak jak wiadomo, nie tylko tam znajdują się słynne miejscówki, których nazwy elektryzują skaterów na całym świecie. Choć San Francisco było głównym miejscem rozwoju deskorolki w jej początkowej fazie, to gdzie indziej również powstawały legendy. Jest wiele takich spotów. Nie są to już co prawda całe miasta, jak w przypadku SF, tylko pojedyncze miejsca rozsiane po całym świecie. Korzystając z nadarzających się okoliczności postaram się je wam przybliżyć.

Nowy Jork stał zawsze w opozycji do słonecznej Kalifornii, jeśli chodzi o klimat jazdy. W tym mieście toczyło się to zupełnie inaczej. Tutaj cały skateboarding był bardziej mroczny, triki przeważnie nagrywali w nocy – to wytworzyło bardzo charakterystyczną jazdę skaterów z Nowego Jorku. Mieli oni jedną, bez wątpienia legendarną miejscówkę – położone pod mostem i zawsze przez to pozostające w cieniu Brooklyn Banks. Tam swoje pierwsze kroki stawiali pionierzy z NY: Jeff Pang i Harold Hunter.

Centralnym punktem miejscówki był długi i stromy podjazd, za którym stał wysoki murek. Skaterzy prześcigali się w trikach przez tę przeszkodę. W pewnym momencie do Nowego Jorku przyjeżdżali skaterzy tylko po to, by spróbować tam jakiś numer. Byli wśród nich m.in. Pat Duffy (360 flip), Fred Gall (vaerial heel flip), Josh Kalis (sw. bs flip, sw. bs. heelflip), Eric Koston (nollie bs. heel flip) i Rob Welsh (sw. 360 flip).

Takie legendarne miejsca cechuje jedna bardzo ważna rzecz. Są one obiektem marzeń każdego skatera i każdy chciałby tam zrobić jakiś trik. W magazynach, na zdjęciach można obserwować prawdziwe pojedynki na triki.

Całkiem niedaleko Nowego Jorku leży inne miasto – Filadelfia. Ośrodek ten znany jest z pewnego parku – nie ma wątpliwości, chodzi o Love Park. O spot ten toczyła się prawdziwa walka między skaterami a władzami miasta. W miejscu tym w pewnym momencie zakazano jazdy. Z racji tego, że jest to jedna z najlepszych miejscówek na świecie, wywołało to wiele protestów. Została nawet zwołana wielka demonstracja, a w sprawę byli zamieszani znani aktorzy (m.in. Kevin Bacon zaangażował się w tę akcję). W tej chwili zakaz dalej obowiązuje. Jednym z magnesów, który ściągał skaterów do Love Parku, były ogromne schody do fontanny. Tylko nielicznym udało się z nich skoczyć, pierwszy był Vinnie Ponte z Nowego Jorku. Samo ollie było prawdziwym szokiem. Po latach prób wreszcie Kerry Getz dołożył do tego kick flipa. Do ściany chwały dopisali się jeszcze później: Reynolds z frontside flipem i Chris Cole z backside flipem i switch frontside flipem, czym zamknął ten spot jak na razie...

Miejsca, gdzie można skakać z dużych wysokości, zawsze były owiane legendą. W tej kategorii na pewno rządzi Leap of Faith, ogromny gap tylko dla szaleńców. Nikomu do tej pory nie udało się zrobić tam choćby ollie. Słyszałem o dwóch próbach zdobycia Leap of Faith. Jamie Thomas upadł na deskę, jednak nie udało mu się odjechać, natomiast anonimowy amator po lądowaniu miał mniej szczęścia – dwa otwarte złamania kolana. To świadczy trochę o wielkości gapu...

Mniejszą sprawą, ale też straszną, jest Carlsbad Gap. Tam już widziano więcej trików. Po wizycie m.in. Markovicha, Reynoldsa, Jeremy'ego Wraya i Brandona Turnera filmowcy zacierali ręce ze szczęścia. Najlepszym trikiem był chyba Caballerial Reynoldsa, choć wszystko jest kwestią gustu.

Mówiąc o tego typu rzeczach, nie można nie wspomnieć o „Wielkiej czwórce" w Barcelonie. Te wielkie cztery kloce widziały już niejeden trik. Kiedy byłem tam i widziałem tę wysokość, odczułem wielki podziw dla wszystkich, którzy stamtąd skoczyli nawet ollie. Robi wrażenie, a przypomnę, że tam padły chyba wszystkie możliwe triki. Przez pewien czas w każdym piśmie co miesiąc można było zobaczyć nowy numer stamtąd, ciśnienie na te schody było naprawdę duże. Jeżeli miałbym przyrównać jakieś miasto pod względem „sławy" do San Francisco, to właśnie Barcelonę. Przez ostatnie lata jest ona bardziej modna, tamtejsze miejscówki są bardziej świeże. Mimo że są stosunkowo krótko znane, to szybko zyskały wysoki status. Sants, Parallel, Macba... Miasto się roi od pojedynczych miejsc, na których trwają pojedynki na łamach czasopism. Oprócz tego rzesze skaterów przemierzają Barcelonę, aby znaleźć tam jeszcze coś nowego, a w tej chwili to jest prawdziwa sztuka.

Handraile są kolejną rzeczą, która wzbudza szacunek. Z tymi przeszkodami nie ma żartów, konsekwencje porażki bywają straszne, szczególnie przy większych okazach. Największą znaną poręczą jest El Toro, poręcz przy około dwudziestu schodach, na której już poszło parę tajnych trików, jak feeble Tosha, smith Mumforda, fs boardslide Saariego, 5-0 Gilleya. Największą niespodzianką było to, co zrobił pewien małolat – harpagan, który wykonał tam bs. lipslide. Szok.

My, Polacy też mamy kilka takich legendarnych miejsc, z jedną różnicą - są one legendarne tylko dla nas. To odpowiedniki miejscówek amerykańskich i europejskich, jednak odpowiednio pomniejszone. Ostatnio najbardziej znanym miejscem w Polsce są schody przy pomniku Witosa. Te siedem stopni stało się odpowiednikiem barcelońskiej Wielkiej Czwórki. Przez długi czas Polacy trochę się obawiali owych schodów, ale od jakiegoś czasu trwa wzmożony atak na nie. Ich polskim niekwestionowanym królem jest Krzysiek Poskrobko (fs. flip, vaerial heelflip, 360 flip, nollie hard flip). Jeśli chodzi o przyjezdnych, to bezapelacyjnie Rodrigo TX.

Siódemka zawsze była pod Witosem, natomiast Capitol miał swojego DOT-a. Ten murek, za którym spadało się z dużej wysokości, był obiektem westchnień skaterów przez cały czas, gdy Capitol funkcjonował. W latach dziewięćdziesiątych stanowił ogromne wyzwanie dla Polaków. Szefami okazali się ci, którzy przeskoczyli ten murek na switch – Artur Wojtania zrobił to flipem, a Piotrek Kamieński heelflipem.

Swoją sławą cieszył się też cokół pomnika na Paderewie. Był on tym samym, czym DOT pod Capitolem. Niestety, w trakcie remontu zwinęli marmurową platformę do przeskakiwania i w tej chwili cokół stracił trochę na atrakcyjności.

Dla Polaków na pewno legendarnym miejscem jest długi stopień – platforma na Stalinie w czeskiej Pradze. Tam najlepsi z naszego kraju popisywali się swoimi trikami. Zaczął Mixer z ollie, ale później zostało już tylko dwóch zawodników – Eryk Gaj (kick flip i 360 flip) i Stikorama (backside flip i switch heelflip).

To są najważniejsze legendarne miejsca za granicą i w naszym kraju. Wiadomo, że każdy kraj ma swoje inne ważne spoty i tam rywalizacja na triki toczy się na innych przeszkodach.

.:tworex:.

Skate-boarding z misją



Przedstawiciele skateboardingu wywodzą się z przeróżnych środowisk, dzięki temu cała scena jest tak różnorodna. Jak wszyscy inni ludzie skateboarderzy mają różne słabości i swoje zainteresowania. Na szczęście nie ma w deskorolce żadnych podgrup, związków, deskorolkowcy różnią się od siebie tylko wykonywanymi trikami i za to są oceniani. Nie ma znaczenia czy dany skater jest czarny, biały, jest satanistą czy zielonoświątkowcem.

Temat przewodni tego numeru jest następujący: religia Chrystusa. Pomyślałem, że może warto przybliżyć wam sylwetki skaterów szczególnie zaangażowanych w krzewienie wiary chrześcijańskiej. Jak już wspomniałem wcześniej, nie stanowią oni żadnego teamu, łączy ich tylko (poza jazdą na desce) wspólna religia, nie wszyscy z nich znają się osobiście. Nie sposób oczywiście wymienić wszystkich wierzących deskorolkowców (nawet prosów), bo jest ich po prostu za dużo, wystarczy, że wymienię tych, którzy działają aktywnie i starają się krzewić religię chrześcijańską.

Pierwsze motywy dewocjonalne pojawiły się oczywiście na grafikach deskorolkowych. Jason Jesse miał Marię Dziewicę po spodem decka, natomiast Gabriel Rodriguez zapragnął mieć Jezusa. Był to początek lat dziewięćdziesiątych i szczerze mówiąc, fakt ten wywołał trochę kontrowersji, szczególnie w naszym kraju. Zwłaszcza, że Jason nie wygląda na typowego chrześcijanina, raczej jak podstarzały kryminalista. Jeśli chodzi o Gabriela, to jest on stereotypowym przedstawicielem stylu Los Angeles Puerto Rico, a w kulturze tych ludzi wątki religijne przewijają się cały czas.

Jednym z pierwszych skaterów, który mówił otwarcie w wywiadach o swojej wierze, był Ray Barbee. W swoich wypowiedziach często przytaczał, że wszystko jest dziełem Boga, a on jako jedna z jego owieczek musi się temu podporządkować. Barbee jest takim przykładem wierzącego Afroamerykanina, jakiego na pewno wiele razy widzieliście w fabularnych filmach z USA. Ray, oprócz tego, że jeździ na desce, nagrywa własne kawałki. Jest to muzyka gitarowa, bardzo spokojna, nie będzie to pewnie dla was niespodzianką, że w tekstach dominuje temat miłości, harmonii ducha i innych dziwnych rzeczy.

Mniej więcej rówieśnikiem (czyli już mocno powyżej trzydziestki) Barbee'ego jest inna legenda street skateboardingu Salman Agah. Robił on switch flip bs. tailslide w 1991, gdy inni prosi nie mogli zrobić tego triku na swoją nogę. Po ukazaniu się pierwszego filmu Reala szybko stał się jednym z bardziej wpływowych skaterów na świecie. Wielu chciało tak jeździć na switch jak Salman, śmiało można powiedzieć, że był on jednym z prekursorów jazdy newschoolowej. Jak być może się domyślacie, jeździł on wtedy dla Real Skateboards. W tamtych czasach, gdy mówiło się o tej firmie, musiało paść nazwisko Agah. Jakież było zdziwienie wszystkich, gdy Salman niespodziewanie zniknął ze sceny. W chwili swojej największej „sławy" on się po prostu odsunął na bok i przestał być profesjonalistą. Swój czas poświęcił na działalność charytatywną i naukę przyszłych „Dzieci Bożych". Po kilku latach jednak stwierdził, że czegoś mu w życiu brakuje i z powrotem zaczął uprawiać profesjonalny skateboarding. Najpierw jeździł dla The Firm (razem z Barbee'em), a w tej chwili znajduje się w szeregach Black Label.

Swego czasu filarem Alien Workshop był Lenny Kirk. Był on obdarzony nieprawdopodobnymi umiejętnościami deskorolkowymi, był w stanie zrobić na tamte czasy niemalże wszystko, niezależnie na którą nogę. Na początku miał on image typowo murzyńsko–hiphopowy. Jego firmowym znakiem stały się cornrowy, spodnie baggy i inne tego typu akcesoria. Jednak on w swojej fascynacji kulturą afroamerykańską poszedł nieco dalej. Następnym przystankiem po rapie stał się gospel. Pamiętam, że jego przejazd na filmie Aliena „Time code„(według mnie numer jeden na całym video), był przy dźwiękach piosenki o Jezusie, śpiewany oczywiście przez chór gospel. Szybko po tej akcji, jak w przypadku Salmana Agah, słuch o nim zaginął. Okazało się, że Lenny pojechał na misję do, bodajże, Ameryki Południowej, by tam nawracać zbłąkane duszyczki. Dziwne, prawda? Jak koleś, który wcześniej pojawiał się z nieodłącznym bluntem w gębie nagle zmienia całe swoje życie, by służyć swojemu Bogu. Kirk pojawił się później na jakichś produkcjach video, jednak nigdy już nie doszedł do poziomu z czasów „Time Code".

Innym deskorokowym misjonarzem jest jeżdżący dla Santa Cruz Eric Bork. Po oszałamiającym starcie, gdy pierwszym jego pokazanym trikiem w filmie był sw. frontside flip z potrójnych schodów, szybko zniknął. Podobnie jak Lenny Kirk pojechał do dżunglii krzewić swoją wiarę.

Nie może zabraknąć w tekście o chrześcijańskich skaterach osoby Jamie Thomasa. Jednak z jego osobą sprawa ma się trochę inaczej. O ile poprzedni skaterzy nie obnosili się ze swoją wiarą i traktowali to jak wyłącznie swoją sprawę, po niespodziewanym nawróceniu się Thomasa (z „satanisty i punka – wegetarianina" stał się przykładnym gościem z oazy), jego wiara stała się tematem publicznym. Nie wspomnę nawet o tatuażu „Jesus saves" i o podobnych grafikach na desce, ale o tym, że zrobił z tego sprawę marketingową. W tej chwili każde dziecko wie, że Jamie ma na papierze wycięty krzyż, jest to jego znak rozpoznawczy. Udziela się on też w różnych stowarzyszeniach młodzieży chrześcijańskiej, robi dla nich dema i publiczne odczyty (tak!).

Szczerze mówiąc mnie bardziej przekonuje postawa np. Salmana czy Lenny Kirka. Ci po prostu zrobili to, co chcieli i nie pisały o tym żadne gazety robiąc z tego sensację. Thomas robi ze swojej wiary wielki szum, a przecież chyba nie o tym w tym wszystkim chodzi...

.:Pc skate:.

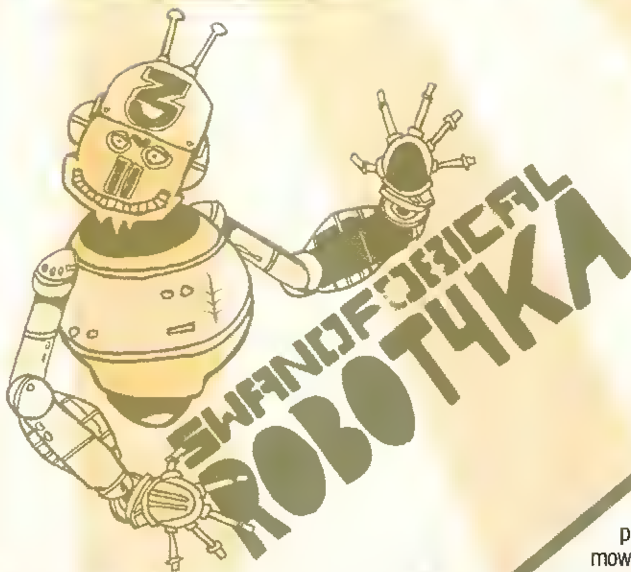
skateboarding



Paweł Kozłowski przedstawia swanarts







Kiedy kupujecie deskorolki, o wyborze najczęściej decyduje kształt decka. Jednak nie bez znaczenia jest też grafika, przynajmniej dla mnie. Wy na pewno też pamiętacie te deski, których obrazek szczególnie wam się podobał. Ale czy zastanawialiście się, kto projektuje te wszystkie dzieła, które później przyozdabiają decki? Jeżeli jesteście tego ciekawi, to powinna was zainteresować rozmowa z Pawłem Kozłowskim, który w swoim dość krótkim życiu zdążył wymyślić kilka serii desek dla różnych firm i który poznał od innej strony skateboarding.

Jak zainteresowałeś się grafiką?

Wszystko zaczęło się od komiksów, które lubię od dziecka. Zacząłem rysować, potem, gdy byłem trochę starszy, przyszła deskorolka. Ze skateboardingiem jest tak, że albo jarasz się nim pół roku albo całkowicie zmienia życie. W moim przypadku stała się ta druga ewentualność. Nigdy nie byłem w stanie spełnić moich wszystkich marzeń związanych z deskorolką. Nie jestem w stanie zrobić wszystkich trików, jakie bym chciał, ale uwielbiam na niej jeździć. Wystarczy mi, że wskoczę na coś kickflipem, czy coś takiego. Rekreacja, to jest moja jazda, mój skateboarding. Tak się jarałem skateboardingiem, że chciałem wejść głębiej w ten świat, tak, żeby być częścią tych ludzi, którzy wydali mi się strasznie inspirujący. Bardzo podobały mi się wzory na deskorolkowych koszulkach. Interesowałem się takimi skaterami, którzy mieli coś wspólnego z projektowaniem ich i tego typu rzeczami, jak np. Ed Templeton. W pewnym momencie zobaczyłem, że sam też mogę zrobić sobie koszulkę. Zdałem sobie sprawę, że mogłem robić to samo, co ludzie, którymi się jarałem. Na początku było tak, że próbowałem naśladować swoich mistrzów, ale później zdałem sobie sprawę z tego, że można to robić na dwa sposoby: albo robi się świadomie coś w stylu jednej osoby (ale wtedy zawsze będzie się postrzeganym jako ktoś, kto robi jak cała reszta), albo można próbować wymyślić coś nowego i fajnego. Mam nadzieję, że kiedyś ktoś mi powie, że to, co zrobiłem, jest czymś nowym.

Co podoba ci się w deskorolce?

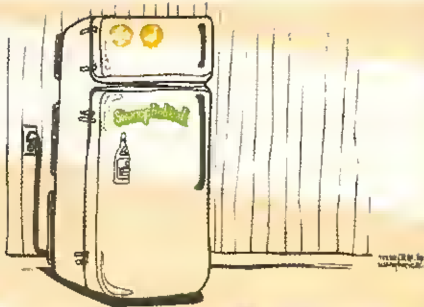
Podoba mi się to, że niektóre deskorolki są prawdziwymi dziełami sztuki. Grafiki projektują bardzo dobrzy designerzy. Decki są sprzedawane na całym świecie, to jest wielka satysfakcja dla takiego twórcy. Ale zmienia też to postrzeganie skaterów. Człowiek, który kupuje taką deskę ma kontakt ze sztuką i wyrabia mu się gust.

Czy studiowałeś grafikę?

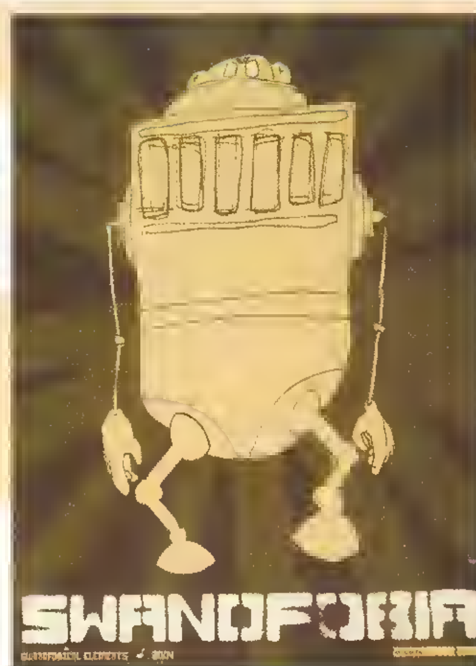
Kilka lat temu wyjechałem do Niemiec do Kassel studiować grafikę. Niestety nie dostałem się na uczelnię dwa razy. Zacząłem studiować urbanistykę, ale po dwóch miesiącach dałem sobie spokój. Miałem straszne szczęście, bo miasto, w którym mieszkałem, okazało się na maksa deskorolkowe. Mimo że jest niewielkie, to znajduje się tam wielu dobrych skaterów, m.in. prawie cały niemiecki team DVS. Poznałem tam Jana Kliewera, który mieszkał w pobliskiej Getyndze i fotografa Mathiasa Mullera, z którym później mieszkałem. Mieszkaliśmy dziesięć minut od skateparku, całe dnie jeździliśmy na desce. Tamte czasy wspominam bardzo miło. Na początku mieszkałem u mojego wujka, później zacząłem coś projektować i się wyprowadziłem. To bardzo fajne trzy lata. Co jakiś czas robiłem coś dla jakiejś firmy, dostawałem kasę i nie interesowało mnie co będzie w przyszłości. Zabawne jest to, że mówi się, że coraz większy staje się skate business, a tak naprawdę to wszystko wygląda zupełnie inaczej. Tak właśnie było może tylko w przypadku Cliche, gdzie wypłatę dostawałem od Adidasa i Salomona (Cliche należy do tych korporacji), ale np. z Popular to są inne pieniądze, już nie tak duże. Ale i tak było spoko. Po roku mieszkania tam podobało mi się najbardziej. Mieszkałem wtedy z fotografem Mathiasem Mullerem. Mój dzień wyglądał tak, że najpierw rano siedziałem i zajmowałem się projektowaniem jakichś rzeczy, a po południu całe dnie jeździłem na desce. Znalazłem się nagle w świecie, o jakim wcześniej tylko czytałem w gazetach. Dowiedziałem się wiele o skateboardingu. Wcześniej nie wiedziałem, że fotograf zawsze zabiera do samochodu sklejkę na odjazd i temu podobne rzeczy, jeździliśmy fotografować triki na poręczach, na jakich mogłem tylko usiąść.

Jakim firmom robiłeś grafiki na deski i z której jesteś najbardziej zadowolony?

Najbardziej cieszy mnie deska, która miała grafikę z Warszawą. Firma Hessenmob zrobiła serię desek z różnymi miastami, m.in: z Londynem, Hamburgiem, Nowym Jorkiem, Monachium, Berlinem i Warszawą. Każdą grafikę projektował koleś z tego miasta. Goście, którzy robili deskę z Nowym Jorkiem, na co dzień robią rzeczy m.in. dla UXA i Zoo York. Podejście tej firmy do grafiki podoba mi się bardzo, stawiają oni na bardziej ambitne projekty. Byłem bardzo dumny, gdy dowiedziałem się, że to ja mam robić ten projekt, szczególnie, że miał on dotyczyć Warszawy. Oprócz tego robiłem kilka serii dla niemieckiej firmy Popular i jedną serię dla Cliche. Zdarzyło mi się też zrobić deskę w kooperacji z Red Bullem. Zrobili oni cykl zawodów „Local Hero", których nagrodami były deski limitowanej serii Swanarts – Red Bull.









Jak doszło do tego, że zacząłeś projektować deski dla tych firm?
Na początku zacząłem projektować okładki magazynu video Input. Do pewnego momentu robiłem je wszystkie, skończyło to się w chwili, gdy w firmie pojawili się całkiem inni ludzie. Dzięki przygodzie z Input poznałem ludzi z firmy Popular i dystrybucji Urban Distribution, później poznałem gości z Hessenmob. Zajebiste w tym wszystkim było to, że zacząłem projektować grafiki w firmach, w których robili to samo goście, którymi jaram się na maksa. To są graficy projektujący dla takich firm, jak Alien Workshop czy Girl i Chocolate.

A jak wyglądała historia z Cliche?
Znałem wcześniej Kliewera, który jeździ dla nich. Wysłałem maila do Cliche, że bardzo chciałbym zrobić dla nich jakieś deski, napisałem, że robiłem już serie dla Hessenmob i Popular. W mailu były też projekty moich prac. Odpowiedzieli, że podobają się im moje projekty, ale najpierw muszę zaprojektować deskę dla jednego ridera i jeśli ona mu się spodoba, to robię całą serię. Nie wiedzieli, że znam Kliewera, co wykorzystałem i pierwszy deck zrobiłem rzecz jasna dla niego. Najpierw pokazałem jemu, a on nie miał żadnych zastrzeżeń, nie chciał żebym nic zmieniał i później wysłałem projekt do Francji, do Cliche. Później był pomysł serii ubraniowej z logiem Cliche i Swanarts, jednak w końcu nie doszło do tego. Dostałem tylko jedną parę próbek. Fajnie, bo mają metkę Cliche, a z tyłu na kieszeni moje logo z łabędziem.

Czym kierujesz się przy doborze grafiki do danego prosa?
To zależy od firmy. Ja miałem tak, że goście, którzy prosili mnie o zrobienie grafiki wiedzieli jakie rzeczy robię i dawali mi wolną rękę. Czasem jest tak, że dany skater lubi jakieś motywy i robi się coś związanego z nimi.

Czy ludzie, którzy projektują loga skateboardingowe są znani szerzej, czy są doceniani nie tylko przez skateboarderów?
Tak, jak najbardziej. Magazyn Lo Down pokazał, że tak może być, ludzie odpowiedzialni za jego powstanie i wygląd są bardzo szanowani przez różne kręgi. Spike Jonze, który zaczynał od robienia filmów deskorolkowych, obecnie robi zajebiste teledyski i filmy. Przy tym cały czas pozostał i nadal pomaga robić produkcje Girl i Chocolate. Futura z Nowego Jorku, który jest głównym grafikiem Zoo York i legendą graffiti robi też duże, komercyjne projekty. Podobnie jest z Andym Howellem, niegdyś znanym prosem, a teraz uznanym grafikiem. Poza tym o zainteresowaniu tymi twórcami świadczyć może fakt, że pewien magazyn z Anglii zajmujący się designem wydał specjalny album poświęcony grafikom na deskach surfowych, skateboardach i snowboardach. W albumie tym zebrano różne grafiki od samego początku istnienia tych sportów. Bardzo się ucieszyłem, że w tym znakomitym towarzystwie znalazły się też moje projekty. To była dla mnie prawdziwa nobilitacja. W Kassel, tam gdzie mieszkałem w Niemczech, była bardzo duża tradycja artystyczna. Organizowano tam wiele wystaw. Często takie rzeczy były łączone ze skateboardingiem, np. bowl, w którym jeździli skaterzy, a całe artystyczne towarzystwo podziwiało przedsięwzięcie jako instalację artystyczną. Cała kultura skateboardowa ma w tej chwili ogromny wpływ na modę streetową na całym świecie. Podobnie zresztą jest z kulturą hip-hop. Tyle normalnych, zwykłych firm kopiuje wzory brandów skate'owych, że nie sposób ich zliczyć. Ludzie w tej chwili chcą wyglądać jak skaterzy, na nich najwięcej zarabiają firmy. Kiedyś przeczytałem fajny tekst w Transworldzie, że skateboarding przestał już być zajawką kilku młodych ludzi, których nikt nie rozumie. Tylko ci ludzie już dojrzali i tworzą normalny świat. Są w tej chwili prawnikami, architektami. Dlatego powstają takie akcje jak miejscówka deskorolkowa zbudowana w Monachium specjalnie dla skateboarderów.

Co sądzisz o całym deskorolkowym interesie?
Deskorolka jest miejscem, gdzie można się zrealizować prawie w pełni, jeśli chodzi o sztukę. W tym kierunku mogę się realizować jak chcę, bo jedynym ogranicznikiem jest to, że ma to być wyjebane. Żeby żyć w naszym kraju muszę pracować w różnych miejscach, w których nie mam szansy się wyszaleć. Natomiast jak dzwoni do mnie Mehmet Aydin z Record Clothing, żebym zaprojektował koszulki, to sprawa wygląda tak: cztery t-shirty mają być dla dzieciaków, czyli duże loga (to jednak ma się sprzedawać i trzeba zachować pewne proporcje), a reszta projektów zależy tylko i wyłącznie ode mnie. To mi się w tym tak bardzo podoba, nikt mi nie mówi, jaką grafikę mam robić. Dlatego nie rozumiem ludzi, którzy mówią z przekąsem „wielki skatebusiness". Dla mnie to są po prostu zajawkowe firmy. Nawet World Industries kojarzy mi się dobrze. Deskorolka jest zróżnicowana i jest tu miejsce na wszystko, co się chce robić, ważne jest tylko to, żeby to było wyjebane.

Czy masz zamiar cały czas projektować coś w skateboardingu, czy to się skończyło, gdy wróciłeś z Niemiec?
Nie mam zamiaru z tego rezygnować, istnieje przecież Internet. Teraz jestem w trakcie robienia desek dla Titusa. Wróciłem tutaj, bo wolałem to robić tutaj. Tam byłem jednym z wielu zajmujących się projektowaniem grafik skateboardingowych, natomiast w Polsce bardzo mało osób się tym zajmowało. Dlatego chciałem, aby w Polsce też powstała podobna scena.

Co to jest Swanarts (jak to powstało, idea, dlaczego łabędź, strona www, twoja wystawa)?
Do loga z łabędziem dotarłem w czasie różnych eksperymentów malarskich. Namalowałem kiedyś obraz „Swanofobia", na którym dziewczyna jest otoczona przez odbite z szablonów łabędzie i wcale nie czuje się z tym najlepiej. Spodobała mi się stylistyka i parę historii, które od dawna chodziły mi po głowie, a które mogłem w dłuższym czasie pod to podpiąć i zebrać w tego typu projekcie. Niedługo po tym wymyśliłem Swanarts, moje studio projektowe, które powoli rozkręcam. Na razie zajmuję się wszystkim sam, ale nigdy nie wiadomo, co będzie w przyszłości. Zajmuję się tam różnymi mniej lub bardziej komercyjnymi projektami. Większość prac zgromadziłem na stronie: www.swanarts.com. Równolegle do studia istnieje Swanofobia, a to już trochę inna historia. To nazwa, którą nadaję wszystkim moim projektom związanym z moją zupełnie niezależną działalnością. Raz na jakiś czas powstaje seria koszulek, czasem moje swanofobiczne postacie pojawiają się w animacjach (już niedługo na stronie), raz na murach, a czasem tak podpisuję obrazy, które maluję. Buduję taki mój mały świat, dla siebie i dla zajawki. Zapraszam do środka.

.:rozmawiał tOl Ol:.

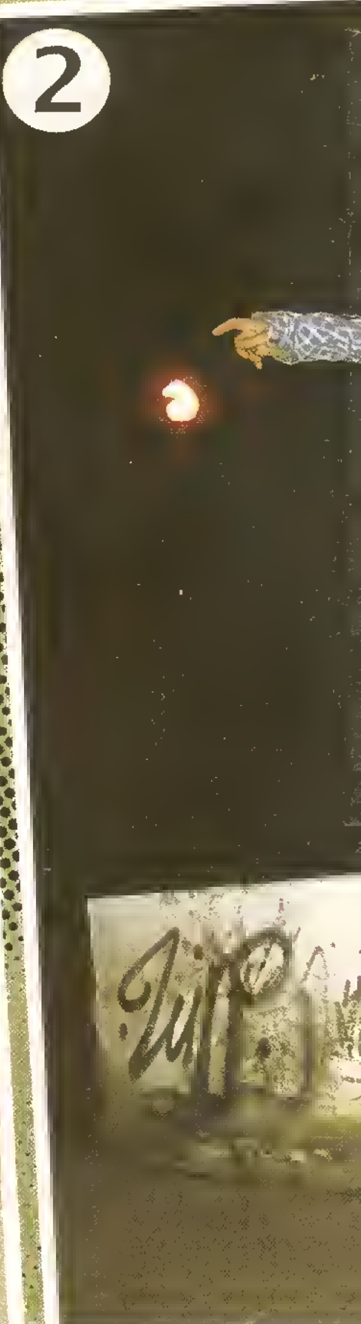
SWANOFOBIA DECKI



deskorolka Marcin Kuźmiński

Ile masz lat i jak długo jeździsz?
Mam 26 lat, jeżdżę 12 lat.
Skąd pochodzisz?
Toruń.
Czy to, gdzie mieszkasz ma jakiś wpływ na Twoją jazdę?
Gdybym mieszkał w Kalifornii, pewnie jeździłbym lepiej:)
Sponsorzy:
Brotherhood, Fireline skateshop.
Co najbardziej lubisz w skateboardingu?
Nie wiem, chyba dobrą adrenalinkę:).
Czego w nim nie lubisz?
Gwiazdorstwa i konkurencji. Liczy sie tylko czysta jazda, nic więcej.
Czego nigdy byś na desce nie spróbował?
Nie wiem, podobno wszystkiego trzeba spróbować :)
Ulubiony trik?
Hmmm, nie wiem, kilka ich jest, np: nollie 360 flip.
Osiągnięcia?
Kiedyś wygrałem best trik w Świdniku, hehe.
Ulubieni skaterzy?
Rick McCrank, Danny Way.
Ulubiony film deskorolkowy?
Plan B: Virtual Reality, Girl: Mouse i Yeah Right.
Ulubiona miejscówka?
Stalin w Pradze, Filharmonia w Berlinie.
Zainteresowania poza deską?
Komputer i rower.
Switch czy normalnie?
To zależy co, ale wybieram normalnie :)
Skatepark czy street?
Lubię dobry street i fajne skateparki.
Lubisz zawody?
Nie lubię.

1



1 croocked grind \ Berlin

2 nose slide \ Praga

Najlepszy wyjazd lub impreza deskorolkowa?
Podobał mi się wyjazd do Amsterdamu i Rotterdamu z Brotherhoodem oraz Berlin tour :)

Najgorszy slam?
Chyba jakiś na poręczy.

Co to jest styl w deskorolce i kto go posiada?
Mówi się, że ktoś jeździ stylowo, to znaczy, że jeździ fajnie, ładnie, czysto. Styl wyrabia się po dłuższym czasie jazdy.

Co jest ważniejsze: styl czy umiejętności?
Oczywiście, że umiejętności.

Co sądzisz o polskiej deskorolce?
Jest coraz lepiej, idzie w dobrym kierunku.

Pozdrówki:
Dla wszystkich znajomych :)

.:tekst i foto Paweł „Teone" Leśniański:.



>mountainboarding<
Jam Warszawa 2004



Pierwotnie chcieliśmy zorganizować III Mistrzostwa Polski, ale sponsorzy dali ciała i nasze marzenia prysły jak bańka mydlana. Miała to być wielka rozdmuchana akcja: telewizja, vipy, defilada itp., a skończyło się na konkretnym jamie. Nikt na nikogo nie naciskal, nie poganiał bezsensownie, więc, jak możecie się domyślać, klimat był iście freestyle'owy. Przyjechali prawie wszyscy najlepsi zawodnicy z całej Polski. Były ekipy z Gdańska, Chojnic, koleś z Katowic, no i miejscowi. Nie dojechała tylko ekipa z Bielska-Białej i niech żałują. Impreza miała miejsce na torze rowerowym Kazoorka na Ursynowie. Nie przez przypadek wybraliśmy takie miejsce, bo jest to najlepsza miejscówka w Polsce do śmigania na mountainboardzie. Do dyspozycji mieliśmy trasę długości około 250 metrów ućpaną super przeszkodami – 3 sekcje rolerów, 3 banany wysokie na 2,5 metra i 3 funboksy. Parę dni wcześniej usypaliśmy nową skocznię do big air, więc park wyglądał fantastycznie. Przez cały dzień grała muzyczka z gramofonów, można było wypić coś zimnego, zjeść coś z grilla i poskakać na batucie. Jako że pogoda dopisała, mieliśmy wszystko, co potrzeba do zorganizowania super jamu.

Zaczęliśmy od boardercrossu, czyli wyścigów czwórkami. Tor byl wysuszony na wiór i dzięki temu bardzo szybki. Większość dawała sobie spokojnie radę, ale parę konkretnych rozsypek też było. Do finału dostali się Kamikadze – Wawa, Junior – Chojnice (BHI CROPP Team), Wojtek – Gdańsk (BHI CROPP Team) i Wojtek – Wawa. Taka też była kolejność na mecie. Po krótkiej przerwie przenieśliśmy się na funbox – 1,5 metra wysoki i długi na jakieś 9 metrów. Format był bardzo prosty, przez godzinę każdy mógl pokazać, czego już się nauczył. Triki może nie były jakieś superwypasione, ale robiły wrażenie na publice. Większość robiła wyciągnięte stylowe graby, dodając shifty lub 180-tki. Na więcej na razie nie było nas stać na tej nowej hopie. Jam zgolili zawodnicy BHI CROPP Team: Wojtek i Junior, za którymi uplasował się Dodi z Warszawy. Zwycięzcy w BX i FS dostali buty od Cormax – duże dzięki - i oczywiście puszki od Red Bulla, bez którego wsparcia impreza nie doszłaby do skutku. Wieczorem, jak to wieczorem, after party w znajomym klubie w centrum, ale to już inna opowieść. W tym roku będziecie mieli jeszcze jedną okazję zobaczyć nas na żywo, 25 września w tym samym miejscu na III eliminacjach Pucharu Polski. Zjawi się czołówka światowa, więc na pewno będzie ostro. Zapraszamy.

Podziękowania: Broda – Red Bull, Filip – Cropptown, Szymon – Cormax, Brzoza

:.Wojtek T.:.

MTB

w następnych numerach SLG: KELIS TEKA DEOBE / DENA PIH KAMUFLAGE SK8 TOUR

"POLSKI RAP: PRAWDZIWA HISTORIA" KOLEJNA PŁYTA Z KOLEKCJI

komiks: USAGI YOJIMBO / MARVANO break: BARTAZZ SIDO

i wiele innych niespodzianek

nowy numer ŚLIZGU już 20 października - wszędzie!!!



wall ride
Mariensztat

BMX and destroy

Marcin Stypułkowski – bmx life

W moim życiu ciągle kręcą się jakieś koła. Tak jest i tym razem, znów się kręcą, chociaż tym razem są to koła pociągu. Jestem w drodze z Kopenhagi do Hamburga, żeby stamtąd złapać najbliższy pociąg do Warszawy. Byłem właśnie z przyjaciółmi na imprezie pokazowej w Roskilde. Nazywała się Heartattack i występowali na niej deskorolkowcy, motocrossowcy i oczywiście zawodnicy BMX. Jednak niespodziewanie otrzymałem bardzo ważną i piękną wiadomość. Tak ważną, że musiałem przerwać tour, zrezygnować z następnych występów w Sztokholmie i wracać do domu.

Mój dom jest, jak to mówi przysłowie, tam gdzie moje serce. A moje serce jest obecnie w Warszawie. Co prawda jestem z Hamburga, z Niemiec, ale obecnie mieszkam w stolicy Polski. Przyjechałem tutaj kiedyś, w trakcie moich podróży. Podróżowanie zawsze było dla mnie bardzo ważne i nadal jest. Jeździć na zawody po całej Europie, przejechać paręset kilometrów, żeby tylko pojeździć na zajebistym bank to wall albo idealnym murku – uwielbiam to. Zawsze dla i z BMX-em. To właśnie BMX pozwolił mi poznać ludzi z całego świata. Ten mały rower łączy ludzi bardzo łatwo. Wystarczy pojechać do innego miasta lub kraju i zawsze poznasz kogoś, kto pozwoli ci się przespać na kanapie i z kim będziesz mógł pojeździć. Ludzie z innych miejsc pokazują ci swoje miasta, jeżdżąc z tobą i imprezując. Na przykład, kiedyś zdarzyło mi się mieszkać trzy tygodnie w Kalifornii w POW house, gdzie w czteropokojowym mieszkaniu żyło ośmiu gości, w większości prosi. Spałem na kanapie, wszędzie było brudno, ale rekompensował to fakt, że obok domu znajdował się plac z mini rampą i innymi przeszkodami. Cały wyjazd wyglądał tak: budziłem się, jadłem śniadanie, jeździłem na rowerze, jadłem, imprezowałem, szedłem spać i tak w kółko – ciągle BMX, BMX, BMX!!!

Ten dwudziestocalowy rower zaprowadził mnie na wiele imprez i wiele różnych miejscówek. Na pewnych zawodach, które odbywały się w hali, część z jeżdżących spała na podłodze, a reszta całą noc jeździła między nimi. Zdarzyło mi się kiedyś przyjechać z Niemiec do Polski na zawody. Pech chciał, że ktoś ukradł mi samochód, razem z całym sprzętem i rowerami. Kolega z Polski powiedział, że jeśli zrobiła to mafia, to może uda się odkupić furę. Po wykonaniu kilku telefonów okazało się, że rzeczywiście można ten samochód odkupić. Kiedy nabyłem go jeszcze raz, wróciłem do domu uboższy o kasę i bogatszy o nowe doświadczenia.

W tamtym okresie rozkręcałem moją firmę Mutation Clothing. Starałem się ją rozpromować jak najlepiej i dlatego byłem wielu imprezach, startowałem w zawodach, robiłem pokazy i oczywiście jeździłem na różne wyjazdy BMX-owe. Jeździsz wtedy w miejsca, w których jeszcze nie byłeś, poznajesz nowych ludzi, nagrywasz video. Prawdziwa przygoda!

W zeszłym roku byłem w Woodward w Pensylwanii, prawdziwej Mekce BMX. Jest to ogromny obóz, gdzie dzieciaki przyjeżdżają na wakacje. Aż się tam roi od różnego rodzaju skateparków. BMX-owi i deskorolkowi prosi uczą tam dzieciaki jeździć i pokazują im swoje triki. Kiedy raz zostaniesz tam zaproszony, zawsze możesz wrócić i mieszkać totalnie za friko. A jest po co, gdyż znajdują się tam idealne przeszkody, między innymi zabezpieczone gąbką, tak że można próbować kaskaderskich trików bez dużego ryzyka. Dzięki temu, na przykład, nauczyłem się 360 flip najpierw w miękką gąbkę, a później normalnie, przez fun box.

Cały tamten rok był zajebisty. Na trasie mojej wędrówki były też Australia i Europa. Ale dopiero ostatni wyjazd z tej listy dał mi to, na co czekałem przez całe życie. Mój kolega Lorenzo Taurino a.k.a. United Media Slut poprosił mnie, żebym pojechał z nim do Warszawy na imprezę urodzinową jego kolegi. Oczywiście bardzo się tym pomysłem zajarałem, bo Warszawa jest miastem, z którego pochodzę, a poza tym





ice pick
Plac Powstańców



chciałem zobaczyć, co tutaj się dzieje. Na imprezę przyszła pewna piękna dziewczyna i od razu bardzo mi się spodobała. Zakochałem się po uszy i od tamtej pory jesteśmy razem.

W ten oto sposób dwa koła zawiodły mnie do Warszawy, która stała się moim nowym domem...

.:Marcin Stypułkowski:.
.:foto Wojtek Antonów / WZRR:.

BMX and destroy

ELDO



Eldoka – ceniony za nową wrażliwość niesioną na „Światłach Miasta", nienawidzony po trafnej lecz obraźliwej wypowiedzi w „Mówią Bloki...", jeszcze bardziej znienawidzony po odegraniu roli eksperta graffiti wyznaczonej mu przez Latkowskiego, wyszydzany po bitwie w Płocku, miał siłę psychiczną, by uderzyć ambitną, dobrze przyjętą „Eternią" i otwarcie głosić swoją niepopularną u nas wiarę. U nas korzysta z totalnej swobody dawanej przez Hajdpark, i mimo motywu przewodniego pisma, oraz drobnego akcentu na koniec – nie pisze o religii.



To duża odpowiedzialność, stać na speakers corner i starać się powiedzieć coś, co przykuje uwagę, kiedy w tym samym piśmie znowu napisze coś pewien brodaty recenzent. Raz na jakiś czas, najczęściej w najbardziej nieoczekiwanych miejscach spotykam go i rozmowa często schodzi natychmiast na temat kondycji rapu. Jak jest?

Często czytam i słyszę, że jest fatalnie, komercja, hiphopolo, liroy, umc. Znowu ktoś się sprzedał, ktoś znowu robi coś dla kasy. Mam wrażenie, że mówiący w ogóle nie interesują się muzyką, skoro ploteczki stają się ważniejsze od niej. Zawsze można wyłączyć polskie stacje muzyczne, które z założenia grają muzykę mającą być popularną, muzykę przeznaczoną do tego typu promocji, odpowiednio opakowaną i z roku na rok coraz słabszą jakościowo. Taka ich natura, można zawsze włączyć w czwartek radio i posłuchać audycji Lexusa. Rap to nie tylko Pufly, 50 Cent czy Eminem, ale też Mf Doom, wytwórnia Stones Throw, Rjd2 czy Dilated Peoples. Większość tych płyt można zdobyć w Polsce, to żaden problem, potrzeba tylko chęci. Popularność nie sprawia, że rap się zmienił, w inny sposób jest promowany, stał się powszechnie akceptowany i przez to pojawiło się grono wykonawców skoncentrowanych na dostarczaniu miłych piosenek dla całej rodziny. Taka kolej losu każdej muzyki, która weszła do światowej kultury. Hip-hop jako kultura i rap jako muzyka stał się konwencją wykorzystywaną przez ludzi do sprzedania telefonu, spodni, zainteresowania ich szkołą. Nie jestem fanem tego procesu, czym innym był dla mnie hip-hop, który poznawałem słuchając audycji Bogny Świątkowskiej czy Druha Sławka, ale wiem, że ten proces już się stał, nie zatrzymamy go. Na szczęście ciągle jest to zjawisko prężnie się rozwijające w obszarach nie dostrzegalnych dla kamer telewizyjnych i pracowników odpowiadających za reklamę w wielkich koncernach. Mam wybór, zawsze mogę znaleźć coś interesującego, nie wymagam od telewizji, żeby puściła klip Jurassic 5, bo wiem, że mogę znaleźć go gdzie indziej.

Wesoło jednak nie jest, skoro często zainteresowanie rapem ogranicza się do poznania dwóch płyt, przeczytania magazynu hip-hop i zakupie spodni wyglądających na „hiphopowe". A to nie ma nic wspólnego z zainteresowaniem muzyką. Może więc nie rap jest popularny, ale po prostu „lifestyle" pokazywany w klipach? Może rzeczywiście garstka osób pasjonuje się tym, co napisał Black Thought, a dla reszty istotne jest to, jakiej firmy ma spodnie?

Koncert De La Soul, zespołu bardzo dużo znaczącego dla rozwoju rapu, przyciągnął w trzy milionowym mieście niewiele ponad osiemset osób. To ile miał przyciągnąć koncert Blade'a? Fajnie, że w ogóle ktokolwiek myśli o zrobieniu koncertu Blade'a nawet dla stu osób, ale ile jeszcze? A co, jeśli właśnie tyle osób zna twórczość angielskiego mc i trzeba się z tym pogodzić?

Wydawanie muzyki też zbliża się do granicy opłacalności. Ludzie zarabiają więcej, płyty kosztują coraz mniej, a sprzedaż spadła do żenującego poziomu. Przecież 24.99 za pełen album to cztery piwa w klubie w weekend. Ilu z nas jest gotowych je wydać?

Razem ze sprzedażą płyt umiera też dbałość o stronę estetyczną wydawanych tytułów. Zdjęcie aparatem cyfrowym opatrzone logiem rodem z płyt zespołów metalowych, wydrukowane na najlichszym papierze to standardy rodzimej poligrafii, o ile ściągając płyty z sieci w ogóle kogokolwiek okładka interesuje. Nie tylko słuchanie muzyki, przyjemnością jest też oglądanie sposobu, w jaki płyty wydaje Stones Throw Records (jeff jank) czy daleko nie szukając rodzimy Asfalt. Muzyka, poligrafia, klip, wszystko to stanowi elementy składające się na ogólny obraz płyty, który rozpada się, kiedy jeden element zostaje pominięty.

Myślałem ile zjawisk zaskoczyło mnie na plus w ostatnim czasie, czy można już usiąść i płakać, że zamiast dyskusji o nowej płycie Rjd2, rozmawiamy o tym, że Mezo powiedział „a", Mes „b" i cała Polska czeka z niecierpliwością na to, kto następny się przyłączy.

Świetną inicjatywą, za którą organizatorom biję brawo obiema rękami, była kolejna edycja Wielkiej Bitwy Warszawskiej. Można się czepiać muzyki puszczanej podczas niektórych walk, ocen sędziów w niektórych pojedynkach (chociażby w finałowym) jednak to, co zobaczyłem na sali przerosło moje oczekiwania. Zero agresji, po prostu rap, mistrzowskie panczlajny, raperzy z wyrazistym stylem i publiczność, której udało się być obiektywnym aczkolwiek surowo oceniającym sędzią. Mam nadzieję, że tłumy, jakie zjawiły się na tegorocznym finale zdopingują organizatorów do włożenia kolejnych tygodni ciężkiej pracy w kolejną edycję tego przedsięwzięcia.

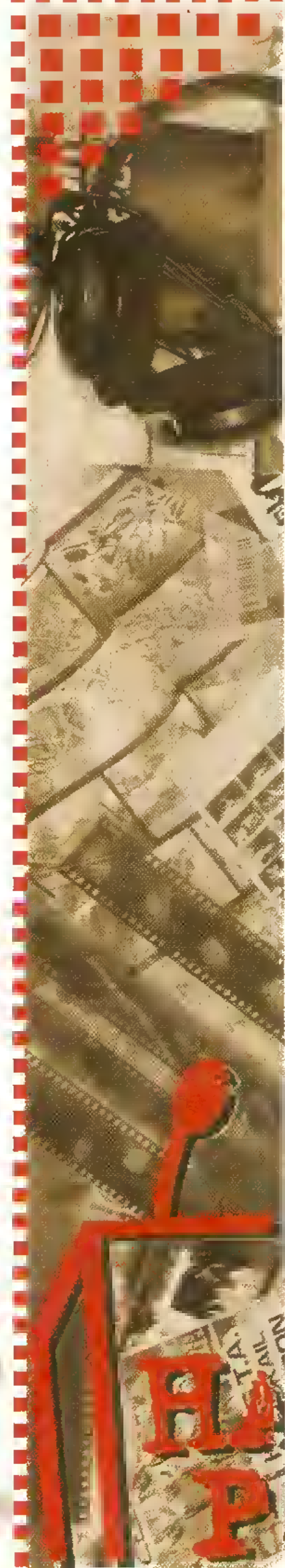
Organizatorzy BOTY Polska po raz kolejny zorganizowali dwie duże i udane imprezy, na których bawiło się kilkuset b-boyów i kilka tysięcy zgromadzonych widzów. Warszawa gościła kilku wykonawców, którzy zostawili po sobie wiele wspomnień. Czymś szczególnym było występowanie przed Preemo i Guru czy De la Soul. Moje pierwsze kontakty z rapem były właśnie kontaktem między innymi z tymi właśnie artystami. Płyty „Hard to earn" czy „De la Soul is dead", dostępne w latach dziewięćdziesiątych na pirackich kasetach robiły szybko osiedlową karierę. To było coś szczególnego móc z bliska obserwować ludzi, których zawsze podziwiałem za muzykę, jaką tworzyli.

Mnóstwo emocji w powietrzu pojawiło się również w Sali Kongresowej na koncercie Eryki Badu. Gwiazdy ekranu, politycy, piłkarze a wśród wszystkich tych sław kilkadziesiąt osób z polskiego światka rapowego uczestniczyło w czymś wyjątkowym. Pamiętam recenzję płyty „Baduizm" w Ślizgu wiele lat temu, którą autor podsumował stwierdzeniem, że ta płyta założyła kościół, którego natychmiast stał się wyznawcą. Myślę, że wielu obecnych na sali czciło każdy moment tych magicznych trzech godzin.

Teatr Rampa gościł z kolei Matthew Herbert Big Band z pełnym dynamizmu spektaklem muzycznym, pełnym zaskakujących pomysłów, żonglującym konwencjami, pokazującym jak najlepiej można ze sobą mieszać różne gatunki i style wykorzystując nawet najprostsze dźwięki. Wszystko to z deserem w postaci rozedrganej, miotającej się po scenie Dani Siciliano.

Jest nieźle, nikt nie zabrał nam naszych kamieniczek jak prorokowano, autobus z płyty Łony ruszył w podróż pełną niespodzianek. Mam nadzieję, że trafi w odpowiednie miejsce. Dużo czasu spędzamy w studio pracując nad nowym materiałem, który ujrzy światło dzienne późną jesienią. Z pomocą przyjaciół uruchomiliśmy stronę eternia.pl, na którą serdecznie zapraszam. Mam nadzieję, że część osób, dla których rap to tylko młodzieńcza lascynacja, odkryje to, co tak naprawdę jest istotą tej muzyki. To nie jest trudne: wystarczy odrobina zainteresowania i pracy. Nadzieja to wspaniała rzecz, jeden mądry człowiek z Królewca napisał, że Bóg chcąc osłodzić nam pobyt na tym świecie, dał nam śmiech, sen i nadzieję. Zawsze ufałem mądrym ludziom. Do zobaczenia na koncertach.

.:Eldo:.



hajd park

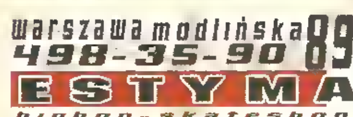
UWAGA!
RUBRYKA AUTORSKA NIECENZUROWANA

sklepy, w których kupisz Ślizg!!!















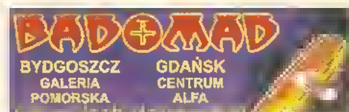
















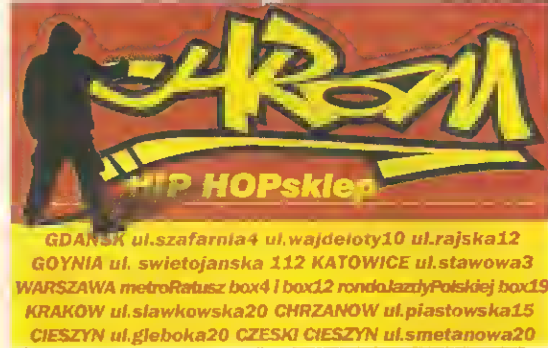






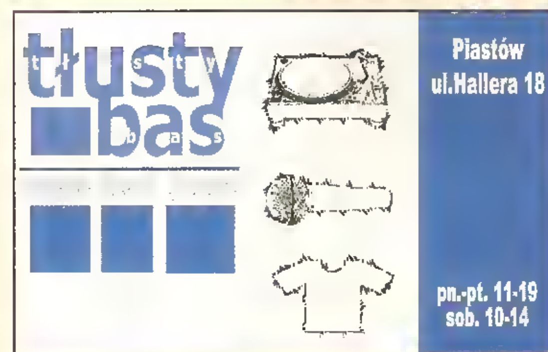












ŚLIZG

SKATESHOP
Al. 1 Maja 19 B
62-510 KONIN
tel./ fax 0-63 242 39 56

Informacje pod telefonem
tel. 0-prefix-22 825 49 07,
e-mail: anette@slizg.com.pl

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
4115001777-1217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres: ____________

zamawiam prenumeratę na:
3 | 6 | 12 miesięcy
17 PLN | 35 PLN | 66 PLN


opłata

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 4115001777-1217700665180000

W P | waluta PLN | kwota

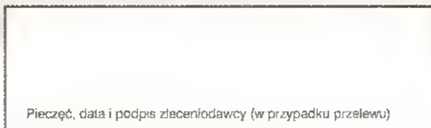
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne + koszt przesyłk


Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
4115001777-1217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota: ____________

Nazwisko i adres: ____________

zamawiam prenumeratę na:
3 | 6 | 12 miesięcy
17 PLN | 35 PLN | 66 PLN


opłata

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 4115001777-1217700665180000

W P | waluta PLN | kwota

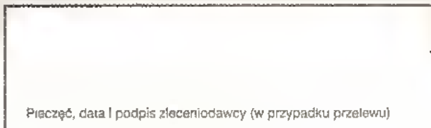
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica | nr domu | nr mieszkania

kod pocztowy | miejscowość

prenumerata: na okres | od miesiąca | numery archiwalne + koszt przesyłk


Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA BANKU WPŁACAJĄCEGO





RYANGALLANT
BIGSPIN BACKSIDE NOSEBLUNT. BLABAC SEQUENCE.

